

# Cham



ELIZA ORZESZKOWA

## Cham

### I

Miał lat przeszło czterdzieści, i widać to było z kilku zmarszczek, które cienkimi linjami przerywały mu czoło wysokie, a wydające się jeszcze wyższym od przeredzonych na niem włosów ciemnych i na skroni trochę siwiejących. Pomimo jednak tych zmarszczek i tej rozpoczynającej się siwizny, wyglądał czerstwo, silnie i razem poważnie.

Rybakiem był — dni całe, a czasem i część nocy spędzał na wodzie: więc słońce, wiatry i wilgotne oddechy rzeki ciemną i zdrową śniadością okryły mu twarz, nieco za długą i chudą, lecz rozświeconą dwojgiem oczu z bardzo błękitną i czystą źrenicą, z trochę nieruchomem, poważnym wejrzeniem. Powagę też i zamyślenie czuć było w ruchach jego wysokiej, kształtnej, silnej postaci.

Kiedy miał lat ośmnaście, ojciec ożenił go z dziewczką ze wsi sąsiedniej dlatego, że gospodni brakło w chacie. Z tą żoną swoją, łagodną i pracowitą, lecz głupowatą i brzydką, żył spokojnie i zgodnie, ale krótko, bo po latach kilku umarła, dzieci mu nie pozostawiając. Wkrótce też odumarł go stary ojciec, a kiedy jeszcze jedyną siostrę, o dwanaście lat od siebie młodszą, zamąż wydał, sam zupełnie pozostał w chacie, w końcu wsi niedużej, na wysokim brzegu Niemna, pod borkiem sosnowym stojącej.

Wołów ani koni nie posiadał i pomocników do gospodarskiej pracy nie potrzebował, bo ziemi prawie nie miał. Ojciec jego od dawnego dziedzica wsi otrzymał tę chatę ze sporym kawałkiem warzywnego ogrodu, a przeważnie żył z tkactwa, które przez czas jakiś w tej wsi kwitnęło i przynosiło niejaki zyski. Ale on z tkackimi krośnami, z niskim sufitem i ciemnymi ścianami chaty żyć się nie mógł. Coś go ciągnęło ku okiem niedoścignionemu szlakowi rzeki, ku błękitnej ciszy jej w pogodę i śpiewnym szumom w czas burzliwy, ku powstającym nad nią co rano różowym wschodom słońca i odbijającym się w niej co wieczór bogactwom zachodu.

Lubił powietrze nieskażone, choćby upalne lub mroźne — niebo otwarte, choćby pochmurne i smutne; w dzieciństwie już czołna strugał, wędy wiązał i, gdy tylko dorósł, rybakiem został. Dawniej, wracając z rzeki, znajdował w chacie ojca żonę, siostrę, czasem sąsiadów i kumów; czasem też i do karczmy zachodził, choć w wódce nie mógł zasmakować nigdy, a w tańcach i gawędach niewielki brał udział. Teraz, od lat już kilku, chata jego była zupełnie pustą; wróciwszy do niej, sam doił krowę, którą wspólny wiejski pastuch do obórki z pastwiska mu przypędzał, sam sobie strawę warzył i, samotnie ją spożywszy, do snu się układał, aby nazajutrz w większym lub mniejszym czołnie płynąć naprzeciw wschodzącej jutrzence lub ku zachodowi pomykającym mgłom i mrokom nocnym.

Do karczmy nie chodził już nigdy i z ludźmi przestawał rzadko, oprócz siostry i szwagra, u których w zimie, gdy rzeka znajdowała się pod lodem, milcząc najczęściej, pod ścianą przesiadywał.

Nie można było powiedzieć, aby ludzi nie lubił, bo nietylko nikomu szkodzić nie chciał i kłótni z nikim nie wszczynął, ale owszem, temu i owemu przysługę jakąś nieraz oddał, w gospodarskiej pracy dopomógł, lub w dzbanku drobnych rybek przyniósł, a każdemu, kto go zaczepił, odpowiadał życzliwie i chętnie. Tylko nie szukał ludzi, nawet unikał ich nieco, jakby mu pierś i usta w długich po rzece wędrówkach przyzwyczyły się do milczenia; ilekroć zaś mówił, głos jego był przyciszony, i słowa powoli ciekły z warg łagodnych, ale uśmiechających się bardzo rzadko. Jednak nie można go też było nazwać smutnym; przeciwnie, wydawał się spokojnym i zupełnie ze wszystkiego zadowolonym.

Tylko układ ust, wejrzenie, ruchy jego posiadały wyraz zamyślenia, co mu nadawało piętno powagi i powolności. O czym myślał? Nie opowiadał nikomu, ale z błyskawiczną szybkością mknąc po zwierciadle spokojnej wody, czy zwolna pomiędzy dwiema utkwionemi w dno rzeki tykami kołysząc się na jej fali, na jutrzeńki, chmury, burze, tęcze, staczając się za pas boru tarcze słoneczne patrząc, myślał.

Krąg tego myślenia był zapewne ciasny, lecz może głęboki, skoro zdawać się mogło, że człowiek ten w niem utonął, i że mu tam najlepiej.

W wsi uważano go za odmiennego od innych, ale też uczciwego i spokojnego człowieka. Gdy młodo owdowiał, powtórne małżeństwo mu doradzono, tę i ową swatano; ale on, raz i drugi na wskazywaną dziewczkę spojrzawszy, głową przecząco trząsł, ręką machał i co prędzej ku rzece z wysokiego brzegu zstępował.

Przez kumę Awdocię, która i jego, i swatowstwo bardzo lubiła, pytaniami, dlaczego żenić się nie chce, obłożony, ze wzruszeniem ramion odpowiedział:

— Ot, co tam! Niebo mnie chatą, a rzeka żoną. Każdy po swojemu żyje, a jak grzechu niema, to każde życie dobre.

Z żartobliwym uśmiechem dokończył:

— A może kumie kilka kielbików na wieczerek przynieść?...

I popłynął.

Żadne namowy i pokusy ani do licznych kompanij go zwabić, ani do ożenienia się nakłonić nie mogły. Nie poddawał się lada jakim wpływom; miał widać wolę.

Właśnie czterdzieści dwa lata na ŚŚ. Piotra i Pawła ukończył, a w parę miesięcy potem wczesnym rankiem ku miejscu rzeki, w które wczoraj sznur z przynętą na rybę pogrążył, płynął, gdy z brzegu doszedł go przeraźliwy krzyk kobiecy:

— Jezus, Marja! ratujcie!

Ranek był wczesny; za czółnem, które mknęło po rzece, nad ciemnym borem stał jaskrawy szlak jutrzeńki, już złotem wschodzącego słońca obrębiony i na powierzchni wody, porannym wiatrem wzruszoną, rzucający rumiane smugi.

Rybak, krzyk usłyszawszy, prędko twarz ku brzegowi obrócił i najprzód ujrzał błękitną rzecz jakąś, która, przez wodę unoszona, w jednej linji z czółnem jego płynęła, a potem kobietę, która, w pobliżu brzegu powyżej kostek w wodzie stojąc, oba ramiona ku tej rzeczy płynącej, czy też ku niemu wyciągała.

Na tle zielonej góry, u której szczytu w gęstwinie drzew stała zgrabna i biała willa, w różowych światłach poranku postać jej, szczupła, zgrabna, wpół naga, z żałośnie wyciągniętymi ramionami, posiadała wydatność doskonale wypukłej rzeźby. Była ona wpół naga, bo wysoko podniesiona spódnica nie zakrywała jej kolan, a ciemny kaftan, z zawiniętymi rękawami i szeroko otwarty, odkrywał całe prawie ramiona, szyję i część piersi, którym blaski wschodu nadawały barwę złotawą. Bardzo czarne włosy podnosiły się bezładnie nad zgrabną jej głowę i obfitymi, krótkimi, krętymi strugami padały na plecy. Zdawało się, że z czarnych jej oczu, wśród śniadej twarzy zapadłych, sypały się płomienie i płynęły łzy.

Spostrzegłszy, że rybak w stronę jej twarz obrócił, wołać zaczęła:

— Zmiłujcie się, człowieku, złapcie tę szmatę i mnie podajcie... Jeżeli Boga kochacie, złapcie... zmiłujcie się nade mną... człowieku, ratujcie!

Rzadko u niego zjawiający się uśmiech pod ciemnym wąsem rozszerzył mu usta i już z nich nie znikał. Może widok tej kobiety, która, jak żywy, gorąco wymalowany i namiętnie nakreślony punkt, zjawiła się wśród porannego krajobrazu, przyjemność mu sprawił; może rozśmieszał go gwałt tak wielki, dla rzeczy tak małej podniesiony.

Płynący po fali przedmiot był istotnie małą sukienką dziecinną, która nakształt błękitnego ptaka muskała powierzchnię wody, a wiatr, niby ptasiemi skrzydłami, krótkimi jej rękawami poruszał.

Rybak parę razy tylko silniej wiosłem o wodę uderzyć i rękę wyciągnąć potrzebował, aby lekki ten przedmiot pochwycić. Czyniąc to przecież, z czółna ku wodzie nisko pochylić się musiał, a ruchu tego dokonał gibko i zgrabnie. Ciało jego, nieskażonem powietrzem żywione i w trudach wiosła ćwiczone, zachowało smukłość i sprężystość pierwszej młodości. Zdawało, w swojej szarej, krótkiej siermiędze, wysokich butach i kapeluszu z szerokimi skrzydłami, wyglądał zupełnie młodo.

Z nieruchomym wciąż uśmiechem na ustach, trochę przyjaznym, a trochę drwiącym, do kobiety w wodzie stojącej podpłynął i mokrą błękitną szmatkę ku niej wyciągnął. Ona, z ramionami już opuszczonymi, w głośnym śmiechu białe zęby ukazując, czarne, zapadłe, pałające oczy w twarzy jego utopiła. Teraz dostrzegł, że tuż za jej pogrążonymi w przezroczystej wodzie, złotawymi stopami, leżał stos lekkich, mokrych gałganków. Z niejakim też zadziwieniem na nią patrzył. Jak mogła tak prędko z płaczu przejść w tak wesoły, aż zanoszący się śmiech? Przytem, niewiadomo dlaczego, i brała mu z ręki swoją błękitną szmatę, i nie brała, niby to dosięgnąć jej nie mogąc, to znowu z ciemnych, cienkich, giętkich palców wypuszczając. A wciąż mu w twarz patrzyła i teraz nawet wejrzenie swoich pałających oczu w same źrenice mu zatopiła. Spotkawszy się z tem wejrzeniem, rybak wstydliwie spojrzął w inną stronę. Rzecz była osobliwa: dziewczyna z zalotnością śmiała i ciekawą patrzyła na mężczyznę, a mężczyzna wstydliwie wzrok od niej odwracał — jednak uśmiech z ust mu nie znikał.

Nie na nią, ale na coraz błękitniejsze fale rzeki patrząc, przemówił:

— No, bierzcie już swoją szmatę; mnie płynąć trzeba. Było czego tak lamentować! Myślałby kto, że Bóg wie, jakie nieszczęście wam się zdarzyło!

— Aha! czego było lamentować — ze szczególnem połączeniem nadąsania i filuterności zawołała ona — byłaby mnie bieda, gdyby ten gałganek, broń Boże, zginął. Już trzy dni, jak mnie pani spokojności nie daje z tem praniem dziecięcych rzeczy... Wczoraj w wieczór wyprałam, a dziś dlatego wstałam tak raniutko, aby je w rzece wypłókać. Aż tu masz! jeden wziął i popłynął!

W czólnie, na wąskiej ławce siedząc, słuchał jej mowy szybkiej, żywej, w której wyrazy zdawały się ścigać i tłoczyć ze sobą.

Powiedział, że dalej płynąć musi, jednak nie odpływał. Nie patrzył na nią, ale widać było, że słuchał pilnie jej cieniowego i trochę ostrego głosu.

— A kto wy taka? — zapytał.

— Ja?

Ku szczytowi góry i bielejącej nad nim willi ręką wskazała.

— U tych państwa, którzy tu na lato przyjechali, w obowiązku jestem, pokojówką... Wzięli mnie zimą, i do końca lata jeszcze wybędę u nich... a jak jesienią do miasta wrócę, odprawię się... dłużej, jak do jesieni nie chcę...

— A czemuż to? czy bardzo łają? — z uśmiechem przerwał.

Wyprostowała się, rumieńcem nagle oblana i z rozbłysłymi oczyma.

— Oho! niechby tylko spróbowali! Na łajanie jest odłajanie! Ja nie taka, abym sobie ubliżać pozwalała! Ojciec mój w kancelarji służył, z dobrej familji pochodzę, niechby mię kto złem słowem skrzywdził, takbym jemu parsknęła, że i dziesięć latby pamiętała. A choćby i do sądu... bywałam ja i w sądach! Nie złęknię się!

Teraz ze zdziwieniem i prawie przerażeniem na nią patrzył, ale wnet znowu wzrok odwrócił, bo z rumieńców tej kobiety i błysków jej oczu żar na niego padał.

— To i czegoż odprawiać się? — zapytał.

— Czego? Ot, tak sobie! Już ja nigdzie długo wybyć nie mogę. Żeby nie wiem jaka dobra służba była, na jednym miejscu znudzę się zawsze i adie! Na Berdyczów drobnymi literami do mnie pisujcie! Taka już moja natura! Ale ja bardzo wiedziećbym chciała, kto wy taki?

— Kto ja taki? Ot, ciekawość! Robak...

Z zamyśleniem uśmiechał się; ona głośno zachichotała.

— Niema czego śmiać się — mówił zwolna — człowiek a robak — mała różnica! robaka ryba je, a człowieka ziemia. Czy pan, czy chłop, czy król, czy parobek, każdego ziemia zjeść musi, jak ryba robaka. Ot, co!

Słuchała ciekawie z trochę otwartemi usty, a gdy umilkł, zauważyła:

— Rozumnie gadacie, ale smutno. Co tam o śmierci myśleć, kiedy i żyć czasem dobrze... nie zawsze, ale czasem... dobrze! A czemuż zajmujecie się?

— Ryby łapię.

— A gdzież mieszkacie?

Wymienił nazwę wsi, w której mieszkał.

— Włościanin? — z niejakim wahaniem w głosie zapytała.

Potwierdzając głową skinął.

— Patrzajcie, moi państwo! Jak żyję, tak długo z żadnym włościaninem nie rozmawiałam! A czemuż gadacie nie po chłopsku?

— A czemuż mnie nie gadać tak samo, jak wy... kiedy umiem?

— Patrzajcie, moi państwo! Włościanin, a taki grzeczny, rozumny! A wiecie, że zbliska wyglądacie daleko starzej, niż zdaleka? Kiedyście na środku rzeki byli, myślałam, że to jakiś młody chłopiec płynie, a teraz widzę, że wam już pewno i ze czterdzieści lat będzie.

Dziwiła się, chichotała, rękoma poruszała, to jedną, to drugą zkolei stopą wyrzucała małe fontanny wody; jak iskra drgająca, mieniła się przed nim złotawością swego ciała, kruczają czarnością włosów, płomiennością oczu, białością zębów.

— To nic — dodała — choć i czterdzieści lat macie, przystojny z was mężczyzna.

A mówiąc to, głosu nie zniżyła ani powiek nie opuściła; owszem, ciemną, giętką, wilgotną rękę o dziób czółna jego oparła, jakby zbliżyć się do niego, lub go przy sobie zatrzymać pragnęła. Ale on i przestał już wstydliwie wzrok od niej odwracać. Z otwartemi trochę usty zapatrzył się w nią, jak w tęczę.

Ona także zbliska mniej młodo wyglądała, niż zdaleka. Twarz jej ze szczupłemi i ładnie zakreślonymi rysami przywiedła była i zmięta, cera niezdrowa, wielkie oczy głęboko zapadłe pod czołem, na którym nici kruczonych włosów krzyżowały się z kilku cienkimi też, jak włosy, rysami zmarszczek. Miała najpewniej lat trzydzieści parę, które też, znać było, ani po różach jej nie przechodziły, ani kąpały się w kryształach. Tylko była w niej żywość, gibkość, ognistość płomyka i w oczach, ruchach, uśmiechach, w zmiętej nawet cerze coś takiego, co wzrok przykuwało i ku niej ciągnęło.

Było też w niej szczególne, ale uderzające połączenie cech, napozór zupełnie sprzecznych: wezbranej siły ciała i jego niezdrowia, rozhasanej prawie swawoli i dręczącego cierpienia. Gdy zaciskała czasem drobne wargi, a oczy jej ponury przybierały wyraz, możnaby myśleć, że wewnątrz jej wstrząsa spazm bólu czy złości.

— I nie nudno wam ciągle pływać i ryby łapać? — rękę o dziób czółna opierając, zapytała.

— Gdzie tam nudno! dobrze! — odpowiedział.

— Weźcie mnie kiedy z sobą na rzekę... ot, tak, na godzinę, na dwie... nigdy nie zdarzyło się tak długo pływać, a zawsze jakaś straszna bierze mnie ciekawość tego, co jeszcze nigdy nie zdarzyło się... Żebyście wiedzieli, jak mnie tu nudno... nudno... nudno!...

— A czegoż tak nudno? Robotę pewno macie...

— Żeby nie! Robotą tylko tu i żyj! Ja u państwa jedna, a kucharka druga, więcej nikogo niema; ani furmana, ani lokaja nie trzymają. Pan stary, ciągle książki czyta; pani ze złości, że pan stary, czepia się tylko do wszystkiego i jak sroka skrzeczy: wszystko jej źle, niezgrabnie, to za prędko, to za pomału, to za zimno, to za gorąco... Dziecisków aż troje, i nieznośne takie, że niech Pan Bóg bron! Goście prawie nie bywają. Ot, tylko jak ten koń w dreptaku, od rana do wieczora kręć się i kręć się, a ciągle to samo... dobrego słowa nawet nie posłyszysz, ludzkiej twarzy nie zobaczysz... żeby tę wieś djabli wzięli! w mieście lepiej!

Słuchał uważnie, potem poważną i powolną swoją mową odpowiedział:

— E! niema czego wsi przeklinać! Dobremu wszędzie dobrze, a złemu źle...

Zapłonęła właściwym sobie, krwistym i szybko znikającym rumieńcem.

— Znaczy, że ja zła?

Aż zatrzęsała się cała i, w wodę spluwając, do siebie wyrzekła:

— Ot, cham!

Nie słyszał, albo też słowa jej wcale go nie obeszły; ręką powoli skinął:

— Ej, nie! A skąd mnie wiedzieć, czy wy zła, czy dobra? Tak sobie powiedziałem!...

A kiedy chcecie, żebym po was przyplynał?

W zaciśniętych jej wargach i ponurem wejrzeniu dostrzegł ów kurcz bólu czy złości, który ją okrywał niedającym się w słowa ująć wyrazem cierpienia; żal mu się jej zrobiło. Oprócz powagi i zamyślenia, w przezroczystych jego oczach bywała też czasem i głębia litości.

— Wszyscy na świecie jedni drugich jedzą, niedziwno, że i was lichy jakieś je... czy ja wiem, jakie? Jeżeli chcecie, powożę was trochę dla wesołości po rzece. Czemu nie? Czółna mi od tego nie ubędzie! Którego dnia po was przyplynąć?

— W niedzielę, oj, bądźcie łaskawi, w niedzielę przybędzie!... Państwo z dziećmi do miasta pojedą, a ja samiutka w domu, tylko z kucharką zostaną... Oj, jaki z was dobry człowiek! Niech wam Pan Bóg nagrodi! Toż będę bawić się! No! nie spodziewałam się, że na tej pustyni dziś taką miłą znajomość zrobię.

Pochwały jej pochlebiali mu widocznie i może dla innej jeszcze przyczyny przyjemność mu sprawiały, bo uśmiechał się coraz szerzej i cały przeradzać się zdawał w jej szybko po smutku i gniewie odrodzonej, gadatliwej, śmiejącej się wesołości.

— W niedzielę przybędzie... dziś co? środa! Aj! Cztery dni jeszcze! No, cóż robić? Na co dobrego i poczekać dobrze. Otóż sobie na Niemnie pohulamy! A teraz bywajcie zdrowi, do widzenia, bo w nogi już strasznie zimno!

— Ej, woda ciepła, nie kapryście! — zażartował.

— Ej, nie! nogi skostniały, i do domu lecieć trzeba samowar nastawić, bo jak obudzą się, a samowara na stole nie będzie, krechtać, jak sroki, zaczną. Do widzenia. Dziękuję.

Stopy jej, jak ryby, plusnęły w wodzie, dwa skoki uczyniła i, na piaszczystym wybrzeżu schylona, stos lekkich gałganków z wody wyjmowała.

On wiosłem zlekka wodę zagarniał i bardzo powoli odpływał. Znacznie już jednak od brzegu odpłynął, kiedy za sobą usłyszał wołanie:

— Poczekajcie, człowieku, hej! poczekajcie!

Obejrzał się; czółno stanęło na fali. Cała w blasku słońca, którego tarcza w pełni już na krawędzi nieba jaśniała, stała ona z więcej jeszcze, niż wprzód, rozrzuconymi włosami, ze zwojem mokrych gałganków w rękach i ku niemu wołała:

— A jak nazywacie się? jak nazywacie się?

— Paweł Kobyccki! — odkrzyknął.

— A ja Franciszka Chomcówna! — zawołała jeszcze i pędem po zroszonej trawie puściła się ku szczytowi góry.

Pośrodku góry stanęła, za pomykającym już wdali czółnem spojrzenie rzuciła, z za warg jej bladawych, przywiedłych, błysnęły białe zęby.

— Przystojny cham! choć nie tak już młody; ale przystojny i jakiś taki miły... miły!...

Głowę pochyliła, palcami mokre gałganki skubała, zamyśliła się.

W niedzielę ani na chwilę nie opuszczała okna kuchni, z którego Niemen widzieć było można. Przez ubiegłe dni cztery bardziej jeszcze zmizerniała, i powieki jej pociemniały. Obuta w cienkie i zgrabne trzewiki, w wykrochmalonej sukni z jasnego perkalu, w jedwabnej żółtawej chusteczce, na gładko dziś uczesanych, lecz tak jak i wówczas rozpuszczonych, niedługich włosach, siedziała u okna, nieruchoma, w rękę zapatrzona, z zaciśniętymi wargami, oniemiała.

W willi było pusto i cicho. Stara kucharka daremnie dziś, krzątając się po kuchni, towarzyszkę do rozmowy wzywała; więc, objad zjadłszy i twarz chustką od much osłoniwszy, usnęła.

Franka nie jadła nic; wypiła zrana szklanekę herbaty, a gdy do obiadu przyszło, parę razy łyżkę do ust podniósłszy, z brzękiem na talerz ją rzuciła i znowu przy oknie usiadła. Widać było, że jadło dziś jej przez gardło przejść nie mogło. Im więcej upływało godzin, tem większe ogarniało ją zniecierpliwienie.

Stopą o ziemię uderzała; wśród ponurej jej twarzy białe zęby błysnęły parę razy w szderskim, wzgardliwym uśmiechu.

— Nie przyjedzie, może i nie przyjedzie! głupiec! chamisko!

Nagle zatrzęsała się od stóp do głowy, ze stolka się porwała i, krzyknąwszy:

— Jedzie! dalibóg jedzie! — jak szalona z willi wypadła, jak ptak z zielonej góry zleciała i na piaszczystym wybrzeżu, krwista, zarumieniona, rękoma ku nadpływającemu czółnu trzepocząc, wołała:

— Dobry wieczór! dobry wieczór! A czemu tak późno? Myślałam, że pan Paweł obietnicy nie dotrzyma i wcale już nie przyjedzie. Czy to pięknie, żebym ja na pana tak długo czekała? Czemu tak późno?

Widać było po niej, że za rozrywką i zabawą, za wrazeniem, wywieraniem na nią przez człowieka, który się jej podobał, na koniec świata polecieć byłaby zdolna, że brak ich o chwilowe przynajmniej szaleństwo mógł ją przyprawiać.

Popłynęli.

Z początku lękała się wody, z którą oswojona nie była, i za każdym zakołysaniem się czółna wydawała piskliwe krzyki, chwyciła towarzysza za ramiona i odzież. Jego to rozśmieszało. Nie pomyślał o tem nigdy, aby ktokolwiek mógł na wodzie doświadczać jakiegokolwiek trwogi. Przytem, gdy ze strachu krzyczała, wyginała się w obie strony, ręce wyciągała, stawała się podobną trochę do elastycznej i miauczącej kotki, a trochę do przelęknętego dziecka. Więc, poważnemi upewnieniami o braku niebezpieczeństwa uspokoić ją usiłując, zaśmiał się też tak głośno i serdecznie, jak mu się to może kilka razy w życiu zaledwie zdarzyło. Ale i ona, widząc, że czółno, pomimo kołysania się, wcale nie wywraca, uspokoiła się wkrótce i wybornie bawić się zaczęła.

Woda była cicha, błękitna, od staczającego się ku zachodowi słońca blado pożłociona, okryta niezliczonym mnóstwem drobnych zmarszczek, które płynęły wciąż jedna za drugą, jednostajnie, bez szelestu, czasem tylko perląc się białemi kroplami lub drobnemi ognikami pobłyskując.

Nad brzegiem czółna schylona, Franka swawolnie w ciemną, małą rękę lowiła te ukazujące się na wodzie perły i ogniki, a potem ciekawie i z przyjemnością przypatrywała się wyciekającym z jej palców strugom roztopionego kryształu.

— Aj-ej! — zawołała — żeby to znizac i zrobić z tego paciorki na szyję i kolczyki! Jedna moja pani miała takie paciorki i kolczyki... mówili, że z kryształu i że drogie, a mnie one tak w guście były, że wytrzymać nie mogłam i, jak tylko pani z domu wychodziła, a mnie do jakiej kompanji zaproszono, zawsze je na siebie kładłam...

— To źle robiliście — zauważył Paweł.

— Ot, nie ukradłam ich przecież, a nawet nie ugryzłam... Przyjdę, bywało, do domu, zdejmę, na miejscu położę, i znaku niema, że brałam.

— To co? zawsze ruszaliście cudzą własność, a Pan Bóg tego robić zabronił. Jabym i wstydził się cokolwiek cudzego poruszyć.

Filuternie na niego patrząc, pełną garść wody nabrała, w twarz mu ją rzuciła i śmiechem parsknęła.

— Oj, oj, jaki srogi!

Nie mógł wcale przy tej dziewczynie powagi swej utrzymać. Twarz rękawem siermiężnego surduta ocierając, zaśmiał się znowu.

— Czyste dziecko! Oj, żeby was! aż mnie dziw bierze, że taka, jak wy, jest na świecie!

Ona zadziwiła się w tej chwili nad ogromną kępą rozłożonych na wodzie liści, nad któremi strzelały żółte i białe kielichy lilij wodnych, i zawrotnie latało nieprzeliczone mnóstwo małych jaskółek. Każdą z tych lotnych postaci podwajało odzwierciedlenie jej w wodzie.

— Oj, co ich jest! co ich tu jest, tych ptaków!

Więcej jeszcze wychyliwszy się z czółna, zerwała żółtą lilję i mokrą jej łodygę do stanika przymocowała.

— Pachnie! — z przyjemnością zauważyła i wnet, palcem jakiś punkt rzeki wskazując, zawołała:

— A to co?

Był to zapewne wielki szczupak, może sum, który, gwałtownie rzuciwszy się nad wodę, wnet ukrył się pod nią, na powierzchni jej pozostawiając szerokie, wzburzone kręgi.

— Aha! ty tu! — na wzburzony punkt wody patrząc, uśmiechnął się Paweł — niedługie panowanie twoje. Jutro cię złapię.

Pokazywał jej potem zkolei skrzynię, do połowy stojącą w wodzie, w której przechowywał drobne, na przynętę złowione ryby, a do której wnętrza przez podziurawione boki napływała woda, rybnie do życia potrzebna. Drugą taką skrzynię, tylko daleko większą, do zachowywania w świeżości połowów, na sprzedaż przeznaczonych, posiadał w bliskości chaty swojej.

Z wielkiem zajęciem wypytując go zaczęła, gdzie towar swój sprzedaje i ile ma zarobku; a gdy chętnie i ze zwyczajnym spokojem wszystko, o czem wiedzieć chciała, powiedział, wargi zacisnęła i głową ponuro zatrzęsała.

— Dobrze wam — westchnęła — chatę swoją macie i zarobek niezły... jak pan żyć sobie możecie. To wcale co innego, niż całe życie włóczyć się ze służby na służbę, cudze kąty wycierać, od ludzkich kaprysów zależeć i ludzkie złości znosić... Bywa czasem, że

człowiek zabawi się i przyjemności jakiej doświadczy, ale zawsze niech takie życie djabli wezmą... podłe!

— Wołoczaszcie życie! liche życie! — patrząc na nią i głową kiwając, przemówił Paweł. Znowu żal mu się jej zrobiło.

— Może chcecie wysiąść trochę i po tej wyspie pochodzić? — zapytał.

Zatrzepotała cała z radości.

— Oj, dobrze, dobrze! Popłyńcie do tej wyspy. Jaka śliczna wyspa! jak tu pachnie! Od czego tu tak ślicznie pachnie? Tak pachnie, że aż w głowie zawraca...

Po samym środku szerokiej rzeki, pomiędzy wysepki gliniastą ścianą z jednej strony, a ciemnym borem z drugiej, na pozłoconym błękitnie wody, leżał owalny szmat piaszczystej ziemi, olbrzymią dziewanną i białymi goździkami cały porosły. Olbrzymie dziewanny na sztywnych łodygach, kosmatemi liśćmi okrytych, podnosiły wysoko ogromne, żółte kity, a spodem rosło takie mnóstwo goździków, że zdawała wyspa zdawała się śniegiem okrytą.

Bił też z niej i daleko po rzece rozlewał się zapach słodki, mocny, leśny, z którym jeszcze mieszały się wonie ziół, liljowym i różowym szlakiem ścielących się u stóp przeciwnielego boru.

Franka, jak oszalała, jak pijana, po wyspie biegła, zrywała goździki, wachała je, kładła we włosy, z których dawno już zsunęła się była i na kark opadła żółtawa chustka, i pełnemi garściami z głośnym śmiechem rzuciła je na Pawła.

On, powoli nachylając się i prostując, porządnie i pilnie układał z nich bukiet. Nieraz z tej wyspy przynosił on takie białe bukiety i stawiał je w małym dzbanku na oknie swojej chaty, albo siostrze oddawał, aby niemi święty obraz przystrajała. Nabawiwszy się goździkami, Franka formalnie przepadła w lesie dziewanny. Rosło jej w jednym miejscu tak wiele, że tylko jasna suknia dziewczyny w tej zielono-żółtej gęstwinie pobłyskiwała.

Paweł przestał rwać goździki, ręce opuścił i zamyślił się.

Franka, jak ptak, szeleszcząc w gęstwinie, co chwila głowę z niej ukazywała, a głos jej cienki, ostry rozlegał się bezustanku:

— Ależ ziele! no, ziele! od człowieka wyższe! jak las! Co to za ziele takie?

— Niedźwiedzie ucho — objaśnił Paweł.

Powoli, powoli, na ogorzale policzki jej wybijał się rumieniec, jakby odbłask krwistego obłoku, który po tarczy słonecznej, za bór już zapadłej, na niebie pozostał.

Swawolnie, chyłkiem, Franka wybiegła z gęstwiny łodyg, których parę zakolysało się w powietrzu żółtymi kitami. Z twarzą w ogniu, z włosami pełnymi białych goździków, z żółtawą chustką na kark zsunietą, przy jednej z nich stanęła i, wielki liść jej w palce ujmując, znowu gadała:

— A! to prawda! zupełnie, jak ucho jakiego zwierzątka. Taki kosmaty, mięciutki, mileński, jak aksamit. U jednej mojej pani był piesek, co miał takie same mięciutki, aksamitne uszka.

Lubowała się miękka, puszystą powierzchnią liścia, głaskała go i pieściła dłonią, tak zupełnie, jakby on był naprawdę miłym jakimś zwierzątkiem. Nagle zwróciła się ku Pawłowi, wprost ku niemu skoczyła i, obu rękoma na ramionach jego zawisłszy, zapadłe swe oczy, w wilgotnej mgłę rozmiękle i przygaszone, wzniosła.

— Jak tu dobrze, ładnie, wesoło! — wołała — jaki z was dobry człowiek, że biednej dziewczynie i nieznajomej zrobiliście taką przyjemność! Ja, widzicie, mam taką naturę, że bardzo wdzięczna jestem, kiedy mnie kto co dobrego zrobi.

Ale w tej chwili, z tym powolnym, poważnym człowiekiem zrobiło się coś dziwnego. Rumieniec, który wprzód okrył mu policzki, rozpostarł się aż na czoło, tak błękitne i spokojne zwykle oczy ściemniały i strzeliły prawie ponurym błyskiem. W silne ramię kibić wątlą jej pochwycił, do piersi swej przycisnął i już, nad głowę jej schylony, usta do ust przybliżał, kiedy, dziwnie zwinna wysunęła się mu z objęcia i, odskoczywszy, znowu pod dziewannami stanęła.

Ręką oczy przysłoniła i trochę z gniewem, trochę ze śmiechem zawołała:

— Ot, taki! Zdaje się dobry, grzeczny, a taki sam, jak wszyscy. Za to, że na spacer powiózł, zaraz zapłaty żąda.

Słowa te ukłuły go snadź dotkliwie, bo ochłonął, głowy ręką dotknął i po chłopsku zaszeptał:

— Ot, tobie na! oś szczo wymyśliła.



Łagodnie za rękę ją wziął.

— Głupstwo! — ze zmieszaniem zaczął — albo ja co takiego myślał? Niech mnie Pan Bóg od takiego grzechu zachowa, żebym ja was z taką myślą na spacer wioził! Ot, tak, fiksjacja jakaś do głowy przyszła. Nie gniewajcie się i bądźcie spokojni. Siądźcie sobie i odpocznijcie, a ja tymczasem czóło tu przyprowadzę i zaraz do domu was odwiozę...

Na goździkach usiadła i z całej siły obu rękoma połą surduta jego schwyciła.

— Ja nie chcę do domu! — wołała. — Jaki to dom? Piekło nie dom! I nie odchodźcie ode mnie! Zlitujcie się, nie odchodźcie! Jabym z wami ani na minutkę nie rozstawała się; jabym za wami do wody skoczyła! Siądźcie przy mnie, siądźcie!

Z ustami trochę od zdziwienia i zmieszania otwartymi, ujęty jednak jej słowy, obok niej usiadł.

— Bliżej — prosiła — bliżej przysuńcie się... ot, tak, bliżusieńko.

Ciągnęła go ku sobie dopóty, dopóki ramię jego nie dotknęło jej ramienia, poczem ucichła i oczy wlepiła w rzekę, która tuż pod ich stopami u piaszczystego skraju wyspy toczyła stalowe wody. Nie była ona już błękitna, bo zmrok nadchodził, niebo zbladło, i tylko płynące po niem jasne obłoki w stalowych jej głębiach przeblyskiwały srebrem.

— Jak ta woda płynie... płynie... płynie... — zaszemrała Franka, i upojone prawie rozmarzenie czuć było w osłabłym jej głosie.

— Powiedźcie mnie... — z zamyśleniem zaczął Paweł i, wnet umilkłszy, palcami w gęstwinie goździków grzebał.

— Powiedźcie mnie, kto wy taka, i jakie wasze życie od urodzenia było? Czy to wy... nu... co to wy takiego o tej zapłacie...

Wyrwał nagle z piasku całą garść kwiatów i z niespodzianą u niego gwałtownością zaszeptał:

— Kab ciebie! kołem język w gębie stanął, taki wstyd!

Franka wyprostowała się i prędko, żywo przemówiła:

— Jeżeli chcecie, to wszystko wam powiem: kto ja i jaka. Kiedy dobry człowiek pyta się, dlaczego nie powiedzieć? Jednego już nie zawstydzę się pewno, to swojej familji. U dziadunia dwa domy własne były; ojciec w kancelarji służył; ciotecznego brata mam bogatego, bogatego! W jednym dużym mieście adwokatem jest, nazywa się Kluczkiewicz, żonkę także z pańskiego domu wziął i jak pan żyje. Ot, z jakiej ja familji! Sroce z pod ogona nie wyskoczyłam, a że w służbę poszłam, to już taka dola moja nieszczęśliwa... Rodziców szelmów Pan Bóg mi dał...

— A o rodzicach, grzech tak gadać! — prawie z przestraczem upomniał Paweł.

— Ot — sarknęła — u was wszystko grzech! a u mnie co prawda, to prawda. Ja nigdy nie łgę. Posłuchajcież sami, czy nie prawda.

Poprawiła się na swoim kwiecistym siedzeniu, wyciągnęła nogi tak, że stopy jej, w prunelowe trzewiki obute, sterczały tuż nad wodą. Jak ta woda, tak i jej mowa, żywa, tłumna, z chichotami i westchnieniami zmieszana, płynęła nieustannie, nieustannie.

Dziad jej, ongrodzki mieszczanin, posiadał dwa własne domy — zapewne domki, bo taką wymieniła ulicę, przy której same drewniane klitki stoją — i za życia jeszcze syna do kancelarji oddał.

Kancelaryjny urząd jej ojca musiał być najpodrzedniejszym, bo brał on pensyjkę matulką i często w podartych butach chodził. Tem więcej w podartych butach chodzić musiał, że był pijakiem. Zamłodu jeszcze, w złych kompanjach podobno, pić polubił, a potem coraz mniejszą w tem lubieniu miarę zachowywał.

Matka była z dobrego domu, Kluczkiewiczówna; na fortepianie nawet grać umiała i, kiedy jeszcze miała fortepjan, to, jak zacznie, bywało, grać jaką polkę czy mazura, to aż na dwóch ulicach wszyscy słyszą. Przystojna sobie była, stroje bardzo lubiła i — kawalerów. Czasem też bywało u nich bardzo wesoło. Jak ojca w domu niema, schodzą się, grają, śpiewają, tańczą, a potem ojciec przychodzi i, pijany albo nawet i niepijany, gości rozpędza, a matkę łaje albo bije. Z początku tylko łajał, a potem i bił.

Sześć lat Franka miała, kiedy po raz pierwszy zobaczyła matkę, całującą się z kawalerem, a ośm, kiedy matka do familji swojej od męża uciekła. Wtedy ona i dwaj starsi jej bracia żyć zaczęli, jak te wróble, co tyle zjedzą, ile gdzie ziarna skubną, i tyle ogrzeją się, ile im pod strych jaki uda się wlecieć. Litowali się ludzie nad nimi, to ten, to ów nakarmił i na czas jakiś przytulił.

Chłopcom lepiej było: jeden, podrosłszy trochę, do wojska wstąpił, a drugi do mularki poszedł, choć ta mularka i przeciwna jego urodzeniu była, ale co robić? z nędzy! Niedługo też w poniżeniu tem pożył. Bładzienki był i szczupleńki, jak robaczek; raz mu widać głowa zakręciła się na rusztowaniu, spadł na bruk, skaleczył się okropnie i, choć narazie go wyleczyli, niedługo potem zmarł. Starszy, żołnierz, na koniec świata powędrował, i żadnego już słyhu o nim nie było.

Chłopcy tedy, jak chłopcy — zawsze im lepiej na świecie; ale ona prawdziwe piekło znosiła i z ojcem, i z głodem, i z chłodem, i z tymi głupcami, którzy, kiedy jeszcze dwanaście lat miała, dawali jej ciastka i orzechy za to, aby pozwoliła im siebie całować. Mówili, że jest ładna, i jej się to podobało; ale oni wcale się jej podówczas nie podobali. Bała się ich bardzo i, wyrzekając się nawet orzechów i ciastek, chowała się od nich, jak mogła; zupełnie jednak schować się nie mogła, bo często na ulicy bywała, to z dziećmi różnemi bawiąc się, to do dobrych ludzi z prośbą o kawałek chleba, albo o parę drewek na opał, chodząc.

Domy ojciec dawno już sprzedał i pieniądze razem z matką jeszcze stracił. A matka, kilka lat u familji swojej zabawiwszy, do męża powróciła. Bo to wujaszek, Kluczkiewicz, wtenczas umarł; a dzieci jego porozjeżdżały się po świecie (jeden syn w dużem mieście adwokatem teraz jest i bogaty, bogaty!). Nie było już gdzie siedzieć: do męża powróciła.

Ale już ojciec wtedy w kancelarji miejsce stracił, do reszty rozpił się i na tę warjacje, co to od wódki pochodzi, pół roku pochorowawszy, w szpitalu zmarł.

Matka jeszcze ze trzy lata żyła, okropnie biedna i mizerna. Robótki różne robiła i po domach roznosiła; czasem i bieliznę do szycia brała. O kawalerach już wtedy nie myślała wcale, po całych nocach kaszlała i płakała, ją też przy sobie trzymała, czytać i szyć uczyła, a przed samą już śmiercią wystarała się dla niej o służbę u jednej pani i, do tej pani ją przyprowadziwszy u nóg jej pełzała, o opiekę dla niej prosząc.

— Ot, nieszczęśliwa! — zauważył Paweł.

— Aha! — z zaciętą i nienawistną zapamiętałością krzyknęła Franka — a pieniądze te, co za domy wzięli, razem z ojcem na stroje i kawalerów traciła, a nas troje jak te szczenięta porzuciwszy, sama do familji na wygodę i rozkosze uciekła. To co, że upamiętała się później i przed śmiercią trzęsła się nade mną, jak kura nad kurczęciem? Ja jej nigdy już tego nie darowałam, co ona wprzód na zgubienie moje robiła. Wielka rzecz, że upamiętała się wtenczas, kiedy już z niej tylko skóra i kości zostały, a nikt i spojrzeć w jej stronę nie chciał. I wtedy, żeby kto choć palcem na nią kiwnął, poleciałaby i o mnieby znów zapomniiała... aj-aj, jakby poleciała! już ja wiem! już ja ją znałam! Tylko, że Pan Bóg i ludzie opuścili, to ona do mnie przykleiła się... a wprzód co? Żeby takich matek świat nie widział!

— To prawda! Kab hetakich matek świat nie widział! — z przekonaniem mruknął Paweł.

Pani ta, do której na pierwszą służbę poszła, dobra była, obchodziła się z nią łagodnie, szydełkowych robót i prania koronek ją nauczyła; ale pan, ot, przyczepił się do niej, i choć wykręcała się z początku, lękając się i wstydząc, nie wykręciła się jednak. Podobał się jej bardzo, był to pierwszy mężczyzna, w którym się jak warjatka zakochała. Był też to pierwszy jej kochanek, bo tamci ciastka i orzechy za całowanie jej dawali. Ten, kiedy ją pani, dowiedziawszy się o wszystkim, odprawiła, dał jej pięćdziesiąt rubli, które ona w miesiąc przeżyła, nic nie robiąc, tylko po nim płacząc i dla pociechy w wesołych kompanjach hulając.

Potem w drugim domu służbę znalazła i — poszło! Gdyby nie wiedzieć jak długo liczyła, nie potrafiłaby przypomnieć sobie i zliczyć wszystkich służb, które od czasu tego zmieniła; najdłużej, jeżeli gdzie rok wybędzie, i to się jej zdarzyło tylko dwa razy. A zwykle za pierwsze złe słowo usłyszane odprawia się; i kiedy roboty ma za wiele, albo czasu na zabawę za mało, odprawia się; i jak ją jedne twarze, na które codzien patrzy, znudzą, odprawia się także. I ją też często państwo sami odprawiają; za dwie rzeczy tylko odprawiają: za kawalerów i za złość.

U niektórych taka srogość, że nie lubią, aby pokojówka w przyjaźni z kim była i, jak tylko co takiego spostrzeżę, zaraz odprawia. Inni znów prędkiego charakteru znieść nie mogą, a ona prędka, ubliżać sobie nie pozwala, na jedno słowo dziesięć odpowie, a czasem to tak parsknie, że państwu z samego zdziwienia i wstydu pozamykają się gęby. Parę razy

jednak za takie parsknięcie proces jej wytoczyli, i przed sądem stawała. Za pierwszym razem bardzo lękała się sądu, ale za drugim była tam już jak u siebie i, choć karę pieniężną zapłaciła, tak zato oskarżycieli swych obmalowała, że do śmierci już pewnie żadnej służącej procesu nie wytoczą.

Raz gorzej z nią było: przez trzy dni w policyjnym areszcie siedziała, i to najniewinniej.

U jednej jej pani drogi pierścionek zginął, a ta, dobrze go nawet nie poszukawszy, zaraz do niej:

— Ty ukradłaś! ty, ty!

Co naprzysięgała się wtedy, co wyplakała! nic nie pomogło; policjantów zawołali, do aresztu wzięli. I cóż, pierścionek znalazł się, pani sama za komodę go zrzuciła. Co ona wtedy wyplakała! co wyplakała! Potem ta pani za niewinne oskarżenie pieniądze jej dawała, ale ona, z rąk jej asygnatkę wyrwawszy, podarła ją, podarła, podarła, nogami zdeptała i, panią wylajawszy, poszła sobie.

Nigdy jej nikt tak nie skrzywdził, jak ta pani. Bo, co prawda, to prawda, a co nieprawda, to nieprawda. Czasem, rzadko nawet, zdarzało się, że jakąś rzecz, do pani należąca, na siebie kładła, ale zawsze ją odnosiła i nietylko nie przywłaszczała sobie, lecz nawet nigdy nie zepsuła. Co jak co, ale trzech rzeczy nie robi nigdy: nie pije, nie kradnie i nie kłamie. Taka już jej natura, że tych trzech rzeczy robić jej się nie chce. Gdyby bardzo jej się chciało, pewnieby robiła, ale pokusy żadnej do tego nie czuje. Owszem, wódki nie cierpi; piękne ubrania choć i lubi, ale nie tak znów bardzo, aby dla nich na kompromitację się narażać; a kłamać, toby, poprostu, nie potrafiła, bo gdy raz zacznie gadać, wszystko wygadać musi, wszystko, co tylko ślina do gęby przyniesie, i gdyby nawet chciała język powstrzymać, nie może — ale nie powstrzymuje, bo co jej tam! Ona o nikogo i o nic nie dba.

I teraz także mówiła, mówiła. Powiedziała, że w życiu swoim kochanków miała wielu, a z tych jeden chciał się z nią ożenić, ale ona odmówiła, bo był mazgaj i sprykrzył się jej prędko. Za dwu innych wyszłaby była chętnie, bo i kochała się w nich, jak szalona, i byli to ludzie delikatni, z dobrych familij pochodzący; ale oni znowu o żenieniu się z nią nie myśleli i porzucali ją właśnie wtedy, kiedy do nich najwięcej przywiązania uczuwała.

Z początku po każdym takim nie przez nią zerwanym związku desperowała, włosy sobie z głowy wyrывała, wszystkie łzy z oczu wyplakiwała. Ale zczasem przywykła do tego, że u ludzi żadnej stałości ani poczciwości znaleźć nie można, i teraz już o nic i o nikogo nie dba. Nie będzie tego, to będzie drugi — mówi sobie, i nie zawodzi się nigdy. Nie widziała jeszcze, żeby do jakiej kobiety mężczyźni czepiali się tak, jak do niej. Mówią, że tańczy ładnie, strasznie też tańczy lubi i nigdy żadnej takiej kompanji, w którejby potańczyć i pohulać sobie mogła, nie opuszcza, choć ją czasem za to nazajutrz po wesołej zabawie ze służby odprawiają. Ale ona dba o służbę, jak pies o piątą nogę. Wie dobrze, że zaraz drugą znajdzie, a zupełnie jej wszystko jedno, gdzie i u kogo służy. Wszędzie ściany cudze i ludzie cudzy, wszędzie jest sierotą, której nikt prawdziwie nie polubi i nie przygarnie.

Teraz płakać zaczęła i z płaczem mówić, że jest sama na świecie; że żadna dusza ludzka nie dba i nie troszczy się o nią; że gdy raz w życiu na gorączkę jakąś zachorowała, była zmuszona pójść do szpitala; że tak samo, jak ojciec, w szpitalu też pewnie umrze, albo i gorzej jeszcze — pod jakimś cudzym płótem śmierć ją zaskoczy, a kiedy umrze, to i pies po niej nie zapłacze, bo komu ona na świecie potrzebna, i kto ją prawdziwie lubi?

Opowiadała także o wszystkich krzywdach, jakich od ludzi doświadczyła kiedykolwiek, o ciężkich pracach, które spełniała, o kaprysach, które znosiła.

— Każdy ma kogoś takiego, do kogo w smutku przygarnąć się może, kto w biedzie pocieszy i poratuje: matkę, czy siostrę, czy brata, czy męża... Ja nie. Sierotą mnie Pan Bóg zrobił i tułać się po tym świecie kazał, a za każdą kropelkę przyjemności cały dzbanek trucizny wypijać...

Łzy, które po twarzy jej ciekły, końcami jedwabnej chustki, na kark zsuniętej, ocierała; chwilami aż zanosila się od płaczu, a mówić jednak nie przestawała, i zdawać się mogło, że nie przestanie nigdy.

We wszystkim, co mówiła, czuć było nie cynizm sumienia, ale prawie zupełny jego niebyt, a zarazem popędliwą, szorstką, hardą szczerłość. Czuć w niej było także przez długie lata dokonywające się nagromadzenie swawoli instynktów i gorzkiej, złej, zniecierpliwionej urazy do świata i ludzi. W łkaniach jej odzywały się histeryczne szlochy i jęki;

pochwyciła się nagle za głowę i krzyknęła, że w skroniach zabolą ją strasznie. Był to może wpływ odurzającego zapachu goździków, albo też tajemniczego procesu choroby, która mózg jej nurtować zaczynała. Nie od dziś zaczynała. Poskarżyła się jeszcze, że już od lat kilku takie bóle głowy chwytają ją zaczęły i chwytając coraz częściej, najczęściej wtedy, kiedy zmartwi się, albo rozgniewa, albo też po jakiej bardzo już wesołej zabawie.

Powiedziawszy to, umilkła nakoniec, skurczyła się trochę i, z łokciami o kolana opartymi, a głową ściśniętą w dłoniach, wśród zmroku, pod ścianą wysokiej dziewanny, nad wodą, coraz ciemniejszą i nieustannie, nieustannie płynącą, z wolna w obie strony kołysała swą wątłą, zgrabną, niespokojną postać.

Słuchając długiej tej mowy, co myślał i czuł ten obok niej siedzący, poważny, spokojny człowiek, którego najdłuższą podróżą bywały wycieczki do pobliskich miasteczek, gdzie sprzedawał swoje połowy — człowieka, którego ciało i dusza żyły się z wolnemi przestworami rzeki i nieba, z niepokalanie czystym powietrzem, z głęboką ciszą samotnych dni i nocy, a źrenice, pomimo lat dość długich, zachowały niewinność i przezroczystość dziecięcia? Czy, obyczajem chłopskim na bok splunawszy, grubiańsko popchnie on ją ku czołnu i niechętnie, w pogardliwym milczeniu tam, skąd wziął, odwiezie? Czy, dowiedziawszy się jej historii, zechce wnet zostać jednym z tych wielu, o których mówiła, i do okrywających ją plam błotnistych przyłączyć jedną więcej? A może zabobonnie za opętana i przeklętą ją poczyta i, przeżegnawszy się wielkim krzyżem, od tego szatana w kobiecej postaci co rychlej ucieknie?

Kiedy mówiła, w oczach jego malowało się nieraz przerażenie; nieraz też wstydliwie twarz odwracał i palcami w gęstwinie goździków grzebać zaczynał. Chwilami wpatrywał się w coraz ciemniejszą wodę i z podziwem, że zgrozą głową kołysał. Najpewniej widział wtedy, zamiast wody, przepaść czarną, a w niej ogniste deszcze gorejącej smoły.

Kiedy umilkła, chwilę tylko pomilczał, a potem mówić zaczął.

— Biedna ty — zaczął — oj, taka biedna! ze wszystkich już, zdaje się, ludzi na świecie najbiedniejsza! Słyszałem ja, że gdzieś tam po miastach ludzie tak żyją, ale nie wierzyłem. Teraz widzę, że to prawda. Wołoczaszce twoje życie, sieroce życie i takie złe, takie grzeszne, że niech Pan Bóg broni! Porzuć, upamiętaj się, popraw się... bo i na tym świecie dobra tobie żadnego nie będzie, i duszę zgubisz.

W głosie tym, tuż nad jej głową wśród zmroku szemrzącym, nic, nic więcej nie było, prócz wielkiej litości. Ją ten brak pogardy i lekceważenia uderzył i zadziwił. Zazwyczaj podobne jej wyznania wprawiały mężczyzn w gniew zazdrosny i grubiański, albo w nich budziły śmiech lekceważący, z zuchwałem obejściem się połączony.

Gdy jednak o poprawie wspomniał, zadziwiła się jeszcze więcej.

— Głupstwo! — zawołała — ciekawa jestem, z czego mam się poprawiać?

Znowu była szczerą; najlżejszego poczucia ani pojęcia jakiegokolwiek winy swojej nie miała.

On na słowa jej uwagi nie zwrócił, w myślach własnych zatopiony.

— I na tym świecie dobra żadnego nie zaznasz i duszę zgubisz — powtórzył. — Czemu pocziwą nie być? pocziwym być dobrze. Kiedy człowiek żadnego grzechu na duszy nie czuje, to taki robi się lekki, jak ten ptak, co pod same niebo lata. I śmierci wtedy niestraszno. Choćby i dziś umrzeć, wszystko jedno, kiedy dusza czysta...

— Co tam dusza! — sarknęła — głupstwo! Jak człowiek umrze, to go w ziemi robaki zjedzą i koniec.

— Nieprawda! — odpowiedział — jest i niebo, i piekło, i wieczne zbawienie, i wieczne potępienie. Ale, żeby już niczego na tym świecie nie było, to zawsze w człowieku jest coś takiego, co w grzechu kąpać się nie chce, tak samo, na przykład, jak ciało w kałuży. Żeby tobie kazali do kałuży wleźć i po uszy tam siedzieć, miło byłoby, a? A toż dusza twoja w kałuży siedzi. Oj, szkoda mnie ciebie, szkoda mnie twojej duszy i na tym, i na tamtym świecie. Wiesz co? Porzuć ty swoje wołoczaszce życie. Jaka tobie ochota coraz to inne kąty wycierać, jak ta ścierka? Aaa! Mnie dziw bierze, bo zdaje się, że człowiekowi najlepiej, kiedy długo na jednym miejscu siedzi. Siedz i ty na jednym miejscu, wszystko już lepiej znosisz, cierpisz, a na jednym miejscu siedz. Przyzwyczajasz się i polubisz, i do siebie przyzwyczajają się, polubią. I na tych, co ciebie do grzechu prowadzą, pluń! Dobrych ludzi widać między nimi niema, bo, żeby który był dobry, toby z dziewczyną, co dla niego o pocziwości zapomniła, ożenił się. Zlitowania oni żadnego w sercu nie mają, czy co?

Pluń ty na nich! I na te wesołe kompanje, co do takich rzeczy prowadzą, pluń! Ustatkuj się, popraw; a i duszę wyratujesz, i zaraz tobie lepiej na świecie stanie.

Umilkł, a ona wzamian zaszeptła:

— Jak żyję, pierwszy raz takiego człowieka widzę. Czy ty jaki przebrany ksiądz albo pustelnik? No, dziwy!

Parsknęła śmiechem i ruchem zwinnej kotki na równe nogi się porwała.

— No, dość tego gadania! — zawołała — dobrze mnie z wami, ale do domu trzeba. Już wieczór. Z miasta prędko powrócą, a jak do kolacji wpierv nie nakryję i samowara nie nastawię, krakać i gdakać zacząć. Płynmy!

Wyspę, która, nakształt rzuconej na rzekę płachty śniegu, w zmroku bieląca, i z której biły mocne goździkowe wonie, opuścili, i pod niebem gwiazdzistym po ciemnej wodzie, mnóstwo gwiazd w sobie odbijającej, długo w zupełnym milczeniu płynęły. Rzecz nawet była dziwna, że Franka tak długo milczała. Można było przypuszczać, że zasnęła, tak skurczona i nieruchoma siedziała na dnie czółna, prawie u stóp siedzącego na wąskiej ławce Pawła; ale błyszczące jej oczy z nieruchomością upartą i osłupiałą tkwiły w rysach jego, zaledwie wśród zmroku widzialnych.

On, milcząc, z nisko pochyloną głową, powoli wiosłem zagarniał wodę, w której odbija gwiazd, przez wiosło roztrącane, rojami złotych wężyków i iskier otaczały pomykające czółno. Otaczał też je szmer ciągły, srebrny, łagodny, niby śpiew ciemnej fali, zranione ciała i skolatanne dusze do spokojnego snu albo czystych marzeń kołyszący.

Kiedy na wysokiej nadbrzeżnej górze ukazały się smukłe i nieruchome drzewa willi, głowa Franki nagle na kolana Pawła opadła. Z włosów jej wypadły białe goździki, a z ust posypały się ciche słowa:

— Oj, jaki ty dobry i jaki ty miły... miły... miły! Takiego dobrego i miłego, zdaje się, że, jak żyję, nie widziałam! Taki przystojny, dobry, miły! Zeby ty przyjacielem moim został, jużbym niczego na świecie nie chciała; nie odstałabym od ciebie nigdy; choćby pomiędzy nami pioruny były! Choćby pomiędzy nami sto światów stanęło, przez góry i lasy biegłabym do ciebie. Choćby między nami wielkie morze było, przez morze płynęłabym do ciebie! A za to najwięcej, że ty taki dobry i tak litujesz się nade mną. Nikt nigdy nade mną litości nie miał, i wszyscy mną poniewierali, choć czasem i lubili, a najwięcej ci poniewierali, co nibyto lubili. A ty mnie nie sponiewierał, niczego ode mnie nie żądał i jak ojciec do mnie przemówił — jak przyjaciel najlepszy! Oj, niech tobie Bóg wynagrodzi za wszystko, mój ty mileńki, złoty, brylantowy!

Rękę jego porwała i do ust swoich przycisnęła. Jemu się wydało, że na rękę spadł mu gorący żużel. Nachylił się, w obie szerokie dłonie głowę jej ujął i usta w gęstwinie jej włosów zatopił.

Pod tym pocałunkiem, jak wpeł żywe ptaszę, zmartwiała zrazu, a potem cała drżeć zaczęła. Ale on zaraz usta od włosów jej oderwał i zaszeptł:

— Uspokój się, dziecino! Oj, biedna ty, dziecino! uspokój się, ucisz się. Spójrz, jak na niebie gwiazdy ślicznie świecą. Posłuchaj, jak woda śpiewa. Ja całe życie na te gwiazdy patrzę i tego śpiewania słucham. Popatrz i posłuchaj ty. Może lepiej zrobi się tobie. Może twoja dusza, tak jak moja, to wysokie niebo i tę czystą wodę polubi. Uspokój się, ucisz się! cicho, cicho, cicho!

Głowy jej z dłoni swych nie wypuszczał, a gdy, drżeć nie przestając, wzdychała i coraz mocniej tuliła się mu do kolan, kilka razy jeszcze powtórzył:

— Cicho, cicho, dziecino! uspokój się, ucisz się, cicho już, cicho!

Potem wziął wiosło i ku brzegowi skierował. Gdy czółno o brzeg uderzyło, Franka zerwała się na nogi.

— A kiedy zobaczymy się? Mileńki mój, kiedyż znów się zobaczymy? — zaszeptła.

Chustką, którą zupełnie już z szyi zdjęła, mokrą od łez twarz ocierała; zarazem białe jej zęby w przelotnych, zalotnych uśmiechach błyskały.

On namyślał się chwilę, nakoniec rzekł:

— Ot, choćby jutro o takiej samej porze w to samo miejsce przyplnę. Przyjdź na brzeg, to pogadamy. Dużo ja z tobą do gadania mam, bo szkoda mnie ciebie, strach, jaka szkoda!

Przyplwał tam o zmroku ze trzy razy, lecz nie na długo. Raz ona czasu nie miała, bo w willi goście byli, i jej potrzebowano więcej, niż zwykle. Z grubym przekleństwem

powiedziała o tem Pawłowi, a ten, za przeklinanie ludzi, u których chleb jadła, surowo ją upomniął, aby co prędzej do domu wracała, zagnął i, ani na prośby jej, ani na gniewne tupanie nogami nie zważając, odpłynął.

Drugiego wieczora ona miała czasu wiele, dłużej więc nieco z sobą rozmawiali, ale wśród tej rozmowy on znowu stawał się takim niespokojnym, jakim nie bywał nigdy; ciągle poruszał się w czólnie, wzdychał parę razy, jakby go coś zabolalo, syknął i, nie pożegnawszy się z nią wcale, zanim spostrzec i opamiętać się mogła, na środku rzeki się znalazł.

Za trzecim razem, kiedy dziewczyna, więcej niż kiedykolwiek roztęskniona i rozswawolona, ręce mu na szyję zarzuciła i ten sam żużel, który już raz czuł na ręku, do twarzy jego przykleiła, odepchnął ją tak silnie, że aż zachwiała się i za dziób czółna pochwycić musiała, aby nie upaść.

— Słuchaj, Franko, — posępniej i surowiej, niż zwykle, zaczął — ty do mnie tak nie czepiaj się, bo jak będziesz, to nie przyjadę nigdy, i oczy twoje mnie nie zobaczą. Ja do dobrego chcę cię doprowadzić, nie do złego... Ja duszę twoją wyratować chcę, a nie gorzej jeszcze zgubić. Od tego czasu, kiedy ty mnie na wyspie wszystko powiedziała, dzień i noc tylko o tem myślę, jak tu tobie doradzić, jak pomóc i co takiego zrobić, żebyś ty swoje przeklęte życie porzuciła... A ty jeszcze i mnie do grzechu kusisz... Pfe! jaka brzydka! czysta pijaczka... choć i wódki nie pije.

W wodę splunął i do dziewczyny, która oniemiała ze zdziwienia, rzekł jeszcze:

— Jutro przyplynie i, kiedy będziesz dobra, to i długo z tobą pogadam, a kiedy taka, jak dziś, to bywaj zdrowa: giń i przepadaj! Widać, że dla ciebie, tak jak dla tego ostatniego pijaka, żadnej już rady i żadnego ratunku nie będzie.

Ale nazajutrz nie popłynął już w to miejsce, na którym poznał ją i dotąd widywał, bo właśnie po całodziennem łowieniu ryb na chwilę do chaty swej zajrzawszy, od wsi zstępował ku rzece, kiedy spostrzegł Frankę, od rzeki ku wsi dążącą. Zmrok już zapadał, lecz on ją poznał po jasnej sukni i po ruchach.

Zdaleka już widać było, że wątlej i do gładkich chodników miejskich przyzwyczajonej, tchu do wstępowania na wysoką i stromą górę brakło. Zdziwiony, kilku szerokimi krokami obok niej się znalazł.

— A ty tu czego przyszła? — zapytał surowo, nawet szorstko, ale w głosie jego każdyby uczuł dławioną radość.

Ona, chwytając go za rękę, wnet zawiodła:

— Oj, mileńki! bieda na mnie spadła, taka bieda, że już nie wiem, czy wytrzymam... Jak tylko dowiedziałam się o swoim nieszczęściu, zaraz do ciebie pobiegłam. Brzegiem biegłam i człowieka jednego spytałam się, gdzie ta wieś i ta chata, w której Paweł Kobycycki mieszka. Chyba już ty mnie wyratujesz, chyba już ty mnie poradzisz... bo, jeżeli nie, zginę, jak Boga kocham, niech ziemia zaraz rozstąpi się pode mną, jeżeli nie zginę...

Mówiła zcicha i głosem od płaczu przerywanym.

— Aaaa! — zadziwił się Paweł — jakaż to bieda? Gadajże...

Obejrzał się. U szczytu góry tu i owdzie ukazało się kilka kobiet z wiadrami i dzbanami.

Za rękę ją wziął i krętą ścieżką prowadzić zaczął ku ciemniejszym za wsią sosnom.

— Tędy po wodę chodzą, ciębie zobaczą i Bóg wie, co gadać zaczną...

Kiedy pomiędzy sosny weszli, Franka drgnęła i wtył się rzuciła.

— Aj, aj! cmentarz! — krzyknęła.

Był to niewielki borek sosnowy, wśród którego istotnie sterczały większe i mniejsze krzyże grobowe.

— To co, że cmentarz? — uśmiechnął się Paweł — czego lękać się? Grzechu lękaj się, nie cmentarza. Żywych lękaj się, nie umarłych... No, gadaj teraz, jaka tam bieda na ciebie spadła?

U skraju borku stanęła tuż pod wysokim krzyżem, którego ramiona rozpięły gałęzie dwóch wysmukłych sosen.

Wieczór był pochmurny i trochę wietrzny, więc pomiędzy sosnami w grubym zmrroku rozlegały się cicho szmery, do westchnień i szeptów podobne. Na szarem tle świata Niemen tylko nisko u stóp góry stalowemi smugami pobłyskiwał, i w wiosce po chatach zapalały się tu i owdzie żółte światelka.

Franka, z całej siły do ramienia towarzysza swego uczepona, drząc ze strachu i płaczu, prędko opowiedziała, że ojciec jej pani w mieście zachorował, i dlatego państwo nie za miesiąc, jak zamierzali wprzódy, ale za dni trzy willę opuszczają. Kiedy dowiedziała się o tem, myślała, że zaraz martwa na ziemię padnie, taki żal jej serce ścisnął.

Ona teraz za nic, za nic stąd jechać nie chce! Zginie, a nie pojedzie; jak pies na brzegu rzeki położy się i z głodu zdechnie, a nie pojedzie! Niech tam oni sobie choć do samego piekła jadą, jeszczeby im konie zaprzęgać pomogła; ale dla niej teraz dopiero tu niebo otworzyło się, jak w jakim śnie ukazało się szczęście, i ona go nie porzuci... nie porzuci!...

— Nie rozstanę ja się z tobą, gołąbku mój, przyjacielu ty mój najmilszy, ojczulku! nie rozstanę się z tobą!... Odpychaj ty mnie od siebie, bij, zabijaj, a nie rozstanę się... nie pojedę!...

Ręce mu pocałunkami i łzami okrywała, głowę do piersi jego tuliła.

On z początku słuchał w milczeniu z głową zwieszoną, widocznie też usłyszaną wiadomością zgnębiony. Potem namiętnym wykrzykom jej i łkaniem wtórował szeptem:

— To prawda, że bieda! Ja i sam nie spodziewał się tej biedy i nigdy o niej nie pomyślał.

A potem gwałtownie, ponuro, tak jak nie mówił nigdy, po chłopsku mówić zaczął:

— Nie chacz! nie puszc! daliboh nie puszc! Znów na niedolę i poniewierkę pójdziesz. Nie puszc! I ciała, i duszy twojej na zginienie nie dam!

Słowa te usłyszawszy, z dzikim prawie krzykiem radości u szyi mu zawisła i całym swym wążem, gibkim ciałem, jak węzowemi skrętami, silną jego postać owinęła. Wtedy i on ją podniósł, jak dziecko, w ramionach zakołysał i z jakimś zachwyconym, bezpamiętnym śmiechem twarz jej pocałunkami okrywał. Wkrótce jednak opanował się znowu i, zlekka usunąwszy ją od siebie, cicho rzekł:

— To i pobierzmy się chyba? a co? przyjacielem tobie będę do śmierci i nigdy nie skrzywdzę. Chatę własną będziesz miała, kawałek chleba i życie pocziwe. Nu, Franka, a co?

Czuć było, że mówił to z trwogą. Czy lękał się jej odmowy? czy strachem przejmowały go własne słowa?

Dziewczyna oniemiała zrazu, zmartwiała i, po minucie zaledwie rękoma plasnąwszy, ze spazmatycznym śmiechem do niego przypadła. O własnym dachu i zapewnionym kawałku chleba przez parę sekund może pomyślała, ale, co pewna, to, że życie z tym człowiekiem, ciągle i jawne, rajem wydało się jej w tej chwili.

On silnie, lecz spokojnie ramieniem ją objąwszy, mówił:

— Bo to, widzisz, innej rady i innego ratunku, ani dla ciebie, ani już dla mnie niema. Widać tak Pan Bóg chciał, żebyśmy spotkali się, żebyś ja ciebie od ostatniej zguby wyratował i sam na tym świecie jeszcze troszkę radości miał. Nigdy mnie do żadnej kobiety tak nie ciągnęło, jak do ciebie. Żonę ja miałem pocziwą, ale lubienia żadnego pomiędzy nami nie było, i żyła ona niedługo. A potem już, co swatali, co dziewcząt pokazywali, do żadnej ochota nie brała... Każda, zdaje się, nietaka i nietaka, a jakiej ja chciał, to i samby powiedzieć nie umiał... Pierwsza ty... jak zorza, pierwsze światło dzienne... Widać już tak Pan Bóg chciał, takie przeznaczenie nasze... A do tego taki mnie żal, taki żal, takie zlitowanie nad tobą bierz! Odrazu, tam na wyspie, do głowy mi wlało, aby wyratować ciebie; a jakże ja ciebie wyratuję, kiedy ty pojedziesz i znowu swoje nieszczęśliwe i grzeszne życie zaczniesz... To już niech będzie tak! Pobierzem się i żyć będziem, jak Pan Bóg przykazał.

Chciała go znowu obejmować i całować, ale on ją powstrzymał, znowu nieco od siebie usunął.

— Słuchaj, Franka — zaczął — a upamiętasz się ty? poprawisz się? będziesz pocziwa; będziesz żyć, jak Pan Bóg przykazał?

— Będę! będę! — pośpiesznie zaszepiała.

— Przysięgnij! złóż palce na krzyż i przed tym krzyżem przysięgnij, że grzech porzucisz, pocziwą będziesz, djabłu do siebie przystępku nie dasz.

Kiedy to mówił, wysoka jego postać poważnie wyprostowała się w cieniu; głos także nabrał brzmień poważnych i głębokich.

Franka, z twarzą zwróconą ku krzyżowi, który wyniosłą linją odrzynał się od tła zmroku, z palcami skrzyżowanymi, przy towarzyszeniu przelotnych szepców boru, jak zwykle, porywczco, śpiesznie, z uganianiami się i tłoczaniem w ustach jej wyrazami, wymówiła:

— Tak mnie, Boże, dopomóż, żebym ja tak po śmierci oblicze Boga oglądała, żeby tak djabeł duszy mojej nie chciał, jak będę ciebie wiecznie i aż do śmierci kochać i szanować, mój ty gołąbku mileńki, złoty, brylantowy!

Przysięgi tej wysłuchawszy, Paweł uspokoił się zupełnie. W szczerą jej bezwarunkowo wierzył; nigdy mu przypuszczenie nawet do głowy nie przyszło, aby ktokolwiek na świecie przysięgać mógł fałszywie. Zresztą Franka istotnie fałszywie nie przysięgała; czuć to było w jej głosie i widać w postawie. Wydało mu się więc, że od tej chwili już zaślubionym jest z tą kobietą i opuszczać jej nie powinien. Zapewne też i ciężko mu było choć na chwilę ją opuścić. Dlatego wahającym się głosem zapytał:

— A jakże będzie... gdzie ty podziejesz się, nim ślub nasz nastąpi?

— Jakto gdzie? — zawołała — polecę zaraz, za służbę podziękuję, rzeczy zabiorę i za minutkę nazad przylecę...

— Ale! przylecisz! a gdzie podziejesz się?

— A u ciebie! a w twojejże chacie!

Uśmiechnął się.

— Dziecina, oj, biedna ty dziecina! Co ty wiesz? Widzę ja, że wiele ty nawet nie wiesz. Jakby w lesie urodziła się, jakby pomiędzy ludźmi nie żyła. Jakże ty w mojej chacie żyć możesz, kiedy my jeszcze przed ludźmi nie jesteśmy mąż i żona? Oczyby tobie w tej samej wiosce ludzie wyjedli, i sprawiedliwie, bo takich rzeczy robić nie trzeba.

Po kilku minutach myślenia powiedział jej, że, gdy państwo wyjadą, on ją do siostry swojej zaprowadzi, gdzie też dwa albo trzy tygodnie, nim zapowiedzi w kościele przeczytają, przebędzie.

O tem, że ma on siostrę zameżną, Franka wiedziała już wprzód. Prosić zaczęła, aby dziś zaraz do niej ją zaprowadził. Jutro poleci za służbę podziękować i po rzeczy, a dziś już w wiosce nocować będzie, blisko niego. Ale on na układ taki nie przystał. Państwo przed wyjazdem pewnie więcej niż zawsze sługi potrzebują. On pańskie zwyczaje zna dobrze, bo zamłodu z ojcem tkaczem kilka lat we dworze mieszkał, a i teraz zdarza mu się często po dworach ryby sprzedawać. Otóż wie on, że gdy panowie wybierają się w drogę, wiele tam jest u nich zachodu i lataniny, a ona, co państwu swemu przyrzekła, to i spełnić powinna; potem zaś, no, skoro zamąż wychodzi, to i oni sami zrozumieją, że odprawić się musi.

— No, idź już, idź! Wszystko im tam, jak należy, zrób, a we czwartek rano ja tam przyplnę, czajką przyplnę, aby i ciebie, i twoje rzeczy zabrać.

Musiła mu być posłuszną, choć zrazu zatrzęsa się cała od zniecierpliwienia i przykrości. To tylko uprosiła, że przed czwartkiem, jutro, koniecznie jutro, zobaczą się z sobą.

— Jakbym ja te trzy dni przeżyła bez ciebie?

O to długo prosić nie potrzebowała. Sam pragnął widzieć ją jak najprędzej.

Nazajutrz, przy końcu dnia, na zwykle miejsce przyplnął i z czółnem u samego brzegu stanął. Jej jeszcze na brzegu nie było. Przybiegła niebawem, w krwistych rumieńcach, cała od gniewu tym razem wzburzona.

— Żeby jej dobra na świecie nie było! Żeby ją kolki spary! Żeby ją diabli porwali!

Przeklinała tak swoją panią za to, że przy układaniu rzeczy do drogi, jak konia na deptaku, jak wołu w jarzmie, dziś ją pędzała, ani na minutkę od roboty nie puszczając. I teraz także kazała jej książki pana do kufra składać, ale ona już nie posłuchała, myśląc, że on może czeka na nią, wszystko porzuciła i pobiegła.

Paweł, jak zwykle, z niezadowoleniem słuchał jej skarg i przekleństw, jednak, nie upominając jej tym razem, ręką tylko machnął.

— No, już to ostatnia twoja służba była, już więcej nikomu służyć nie będziesz, to i złość w tobie ustanie. Wiadomo, kiedy wiatr dmie, woda podnosi się i szumi, a kiedy dąć przestanie, opada i cichnie. Uciszysz się i ty we własnej chacie, na jednym miejscu siedząc, uciszysz się... A powiedziałaś państwu, że zamąż idziesz?

Powiedziała i słyszała potem, jak pani panu, śmiejąc się, mówiła, że Franka mezalijans robi.

— A co to znaczy? — zapytał Paweł.

Wy tłumaczyła, że panowie zawsze tak mówią, jeżeli człowiek wyższego urodzenia żeni się z niższą i naodwrot. Pani wyraźnie panu mówiła:

— Franka głupia, że za chłopa idzie. Taka delikatna dziewczyna, do miasta i do wygód przyzwyczajona...



A pan z nad książki nos podniósł i odpowiedział:

— To prawda, szkoda jej, nieszpeta.

Opowiadała to Pawłowi z triumfującym zrazu chichotem i filuternymi spojrzeciami, a potem nadąsała się czegoś. Usta wydeła i, brodę w palce ujmując, dodała:

— I mnie już to samej na myśl przychodziło. Chłopów ja nigdy nie znałam i z chłopami nie żyłam. Familja, jak dowie się, wyrzeczy mnie się zupełnie, a żeby matka w grobie zobaczyła, jaki ja sobie los obrałam, przewróciłaby się w trumnie... pewno!

Wszystkiego tego Paweł słuchał zdziwiony, niewiele rozumiejący, ale po chwili ręką znowu machnął, zaśmiał się.

— Głupstwo! panowie głupstwa gadają, a ty powtarzasz. Jaka tam twoja wyższość i jaka tam moja niższość! Z chłopami ty nie żyła, a z kim ty żyła? Z łajdakami. Albo to lepiej żyć z łajdakami, niż z chłopami? Dziecina ty. Z inszem życiem tobie i inszy rozum przybędzie. Zobaczysz.

Mówić zaczął o tem, że siostrze i szwagrowi już przybycie jej zapowiedział, że oni chętnie na ten krótki czas do swojej chaty ją przyjmą, że po papiery do miasta pojechać trzeba będzie, bo bez papierów ksiądz ślubu nie da, że dziś na ryby nie jeździł, bo przez dzień cały chatę swoją mył i bielił.

Słuchając go, patrząc na niego, prędko nadąsaną minę utraciła i, gdy odpływać miał, z taką samą, jak wczoraj, namiętą radością u szyi mu zawisła, dziękowała, że ją za żonę brał, najśliczniejszym, najmilszym, złotym, brylantowym go nazywała.

Paweł, odmłodzony i rozpromieniony, choć i w rozpromienieniu tym nawet cichy i poważny, odpłynął.

To jego odmłodzenie i rozpromienienie zauważyli w nim szwagier i siostra odrazu, gdy wczoraj w wieczór do chaty ich wszedł.

Była to chata niezbyt dostatnia, ale też i nie uboga, przedewszystkiem zaś w porządku utrzymywana. Stała ona na samym skraju wsi, piaszczystą drogą tylko od borku i cmentarza oddzielona, a dziedzińcem do ogrodu Pawła przytykająca. Dlatego to może Filip Koźluk, wysoki, przystojny, czarnowłosy chłop, tak skwapliwie, gdy tylko szesnaście lat miała, pochwyił siostrę Pawła, że tak blisko siebie mieszkali.

Roli miał niewiele i młodszego brata, ale po niedawnej śmierci ojca gospodarzem w chacie został i przewożeniem podróżnych przez Niemen na własnym promie trochę pieniędzy zarabiał. Prom ten przed ożenieniem się jeszcze zrobił sam z mocnych desek, do dwóch wielkich łodzi przytwierdzonych. Pomieścić się na nim mogło cztery konie z wozami albo z bryczkami, a Filip był tak silny, że z pomocą tylko piętnastoletniego brata długimi drągami, noszącymi nazwę szosty, po rzece go przeprowadzał. Dawniej nigdy tu promu nie było, ale pomysł zbudowania go był widać trafny, bo sporo ludzi teraz z niego korzystało. Zdobyć się na ten pomysł dowodziło w młodym Koźluku roztropności i przemyślności, które łączył on z zupełną trzeźwością, i dlatego, pomimo małej ilości należącego do tej chaty gruntu, nie była ona wcale ubogą. Owszem, w wewnętrznym jej urządzeniu znać już było dążenie ku niejakiemu pięknu i budzenie się potrzeb, nad zupełnie pierwotne liczniejszych. Na czystych ścianach wisiały tam jaskrawe obrazy świętych, na stole stała naftowa lampka, u okna czarny krzyżyk, owinięty wiankiem z nieśmiertelników; śmiecia pod progiem i wieprzaka pod ławami charkającego nie było. Na służących za łóżka tapczanach leżały poduszki, nie sianem, lecz pierzem wypchane; blaszany samowarek połykiwał w kącie na czerwonej szafce; kury tylko nocowały zawsze pod piecem, w którym pieczono chleb i gotowano strawę; u drzwi stały wiadra z wodą; jedynymi sprzętami, oprócz tapczanów, były grube zydle i stoły.

Kiedy Paweł, zaraz po rozmowie z Franką na cmentarzu, do tej chaty wszedł, siostra jego, Ulana, o kilkanaście lat od niego młodsza, więc niespełna trzydziestoletnia, hoża kobieta, z niemowlęciem na ręku przed ogniem stała; Filip, tylko co z promu wróciwszy, plecami na zydłu leżał i obu rękoma trzymał stojącego mu na piersi trzyletniego malca; brat jego piętnastoletni, Daniłko, do rybołówstwa ogromny pociąg mający, przy lampie sieć wiązał.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków! — odpowiedziały trzy głosy.

Ulana podeszła i, od zdrowej młodości swej, zarówno jak od ognia, gorąco rumiana, brata w rękę pocałowała.

Filip podniósł się na zydłu, usiadł prosto i z rąk wypuścił malca, który izbę z wielkim krzykiem przebiegł, matczynej spódnicy uczeplił się i ucichł.

Wtedy Paweł, na zwykłym swym miejscu pod ścianą usiadłszy, z dłońmi na kolanach i z oczyma ku ziemi zwróconemi, powoli mówić zaczął:

— Przyszedłem ja dziś do was, moje dziatki, z jenteresem i proszę was bardzo, abyście zrobili tak, jak ja powiem.

Ulana, z dziećmi na środku izby stojąc, słuchała; Daniłko głowę z nad siatki podniósł; Filip odezwał się uprzejmie:

— A czegoż to chcecie?

— Niechaj ja wprzód wszystko, jak potrzeba, wyluszczę — ciągnął Paweł i na Ulanę wzrok podniósł.

— Czy ja tobie Ulanko, kiedy nasze baćki pomarli i ciebie małeńką na moich rękach zostawili, złym bratem był?

— O, Jezu! a któż to mówi? — krzyknęła młoda kobieta.

— Nikt nie mówi, a ja tylko sam chcę przypomnieć i sobie, i wam, moje dziatki, że wszystko, co mogłem dla was zrobić, zrobiłem. Nie krzywdziłem ja ciebie nigdy, moja gołąbko, nie opuszczałem, złego nie nauczałem, przeciwnie, lubiłem, głaskałem i dobra, rozumu uczyłem. Kiedy zamaż wychodziłaś, trzy części ogrodu swego wam oddałem, dwie krowy i dziesięć owieczek kupiłem i kilka groszy dałem... Czy prawdę ja mówię?

Ulanka znowu, tym razem już z dwojgiem dzieci, podeszła i w rękę go pocałowała, a Filip odpowiedział:

— Prawda! a któż to mówi, że nieprawda? Ale i my, zdaje się, źli dla was nie byli i, zdaje się, nigdy nie będziem.

— A któż to mówi, że wy źli? — powtórzył Paweł. — Dlategoż to, że wy mnie zawsze dobre serce i życzliwość okazywali, ja teraz do was z tym jenteresem przyszedł.

I powoli, z rozważą, bez najlżejszego wahania się, to, z czem przyszedł do nich, wypowiedział.

Kiedy umilkł, przez dobre dwie minuty panowało w izbie milczenie, skwierczeniem niemowlęcia tylko przerywane. Ulana tem, co słyszała, była tak zdziwiona, że nawet na upominające się o pokarm dziecko uwagi nie zwracała. Czarne oczy Filipa pod gęstemi brwiami słupem stanęły; Daniłko aż krzyknął i zaraz twarz swawolną i roześmianą w swojej sieci schował.

Jakkolwiek Paweł miał tylko czterdzieści dwa lata, z powodu powagi i odludności jego wszyscy przywykli poczytywać go prawie za starca, i nikomu zrazu w głowie pomieścić się nie mogło, aby mógł się on jeszcze ożenić.

Po ochłonięciu przecież ze zdziwienia, Ulana pierwsza zawołała:

— Przyjmiam! czemu nie przyjmiam? oj-ej! albo to chata ciasna? Wielka rzecz, że sobie ze trzy tygodnie posiedzi. Jeszcze i weselej będzie.

Filip słowa żony potwierdził:

— My dla was i nie to, ale choćby i co więcej zrobić gotowi... Czemu nie? Mało to my dobra od was mieli? Tylko...

Zawahał się, z zydła wstał, do szwagra podszedł i, jedną rękę na biodrze opierając, a drugą ku głowie podnosząc, z wahaniem przemówił:

— Dziewier! Czy wy tylko dobrze robicie, że z taką żenicie się? Z miasta pochodząca, nieznajoma, niewiadoma... Kto wie, jaka? żebyście tylko, broń Boże! nie nabrali sobie jakiej biedy!

— Otóż to — blisko do brata i męża przysuwając się, powtórzyła Ulana — otóż to, żebyście czasem, Pauluczku, jakiej biedy nie nabrali.

Paweł wstał, przyjaźnie na dwoje młodych popatrzał i stanowczo rzekł:

— Nie lękajcie się. Biedy nijakiej nie będzie. Przysięgła mnie jednego szanować i lubić aż do śmierci. Przysięgła. A co do tego, jaka była, to nic. Ja ją i lubię, i wyratować żądam. Ot, co; już inaczej nie będzie. A za dobroć waszą dziękuję wam, dziatki, i da Bóg, może czem jeszcze odsłużyć. We czwartek ją przyprowadzę. Dobranoc.

Kiedy do drzwi szedł, głowę trzymał wyżej, niż zwykle, ani jednej zmarszczki na czole nie miał i tak jakoś młodo i gibko wyglądał, jakby mu dziesięć lat wieku ubyło.

Ulana i Filip w milczeniu naprzód na siebie spojrzeli. Filip końcem palca czoła swego dotknął.

— Sfiksował Pauluk, czy co? — zcicha wymówił.  
Kobieta z niezadowoleniem oczy odwróciła.  
— Jego wola — szepnęła.  
— A czyjaż? Jego, ale żeby tylko jemu z tej woli ciężka niewola nie wyniknęła? Wywłokę jakąś z miasta za żonę brać, i to na starość! Tfu!  
Splunął.  
Ulana ku ogniovi znowu odeszła. Szanowała i lubiła brata. Słowa męża o nim trwożyły ją i trochę gniewały. Jednak po kilku minutach odezwała się pierwsza:  
— Pilip!  
— A co?  
— A Pauluk jakiś inny, niż zawsze... zdaje się, młodszy zrobił się i weselszy...  
— Ale! — piskliwym głosem i parszcząc śmiechem, zawołał Daniłko — jak z chaty wychodził, zdaje się, że aż głową do sufitu dostawał.

Dziwili się długo. Nie wiedzieli, że we krwi tego człowieka, z pozoru jak Niemen w pogodę spokojnej, zawrzała pierwsza w życiu namiętność, że w sercu jego, jak Niemen głębokiem i cichem, rozlała się litość niezmierna, że przed wzrokiem jego, przywykłym do ścigania nieścignionego szlaku Niemna i do wpatrywania się w widnokregi wysokie, dalekie — powstało zadanie ludzkie, dobre, święte i blask swój rzuciło mu na oblicze.

## II

Wydatnie i prawie jaskrawo postać Franki uwypukliła się na tle wiejskiej ludności kobiecej. Kiedy po raz pierwszy do chaty Koźluków przybywała, Ulana, z jednym dzieckiem na rękę a drugim do spódnicy jej uczepionem, oczekiwała na nią wśród zielonego i przez światło słońca zalanego podwórka. Obok tej młodej matki, w bogatym rozwinięciu kształtów i siły nieco ciężkiej, a krasą rumieńców i spokojnym blaskiem oczu jaśniejącej, zmalowała ona i przygasła, jak drobny, przywiedły goździk obok pysznie rozkwitłej piwonji. I potem zawsze, na ulicy, w izbach, na stoku góry, z której po wodę schodzono, miała wśród wiejskich niewiast i dziewcząt pozór szczupłej, zwinnej, ruchliwej pliszki, wypadkiem pomiędzy kokosze ciężkie i niesmiałe gołębice wmieszanej. Najwątlesza z mieszkanek wsi, młodziutka żona Aleksego Mikuly, była jeszcze w ramionach i w pasie dwa razy szerszą i grubszą od niej; sześćdziesięcioletnia Adwocia, z pomarszczoną, lecz jak jesienne jabłko rumianą twarzą i czarnymi błyszczącymi oczkami, wyglądała przy niej, jak upostaciowanie zdrowia i siły; nawet bardzo już stara kątnica, Marcela, o kiju po zebraniu chodząca, przedstawiała uwiędłość i słabość natury wcale innej, bo w kwadratowych kształtach jej ciężkiego ciała i grubym brzmieniu ochryplego głosu widać było niegdyś wielką i tylko przez długie lata i trudy zniszczoną siłę.

Ze swą cienką i gibką kibicią, z elastycznymi ruchami, ze zniszczoną, niezdrową cerą, wśród której ogniem uczuć i pożądań, oddawna w stan nieustannego podniecenia wprawionych, gorzały zapadłe oczy, w miejskiej sukience, cienkiej i lichymi ozdóbkami okrytej, Franka na tle nowego otoczenia swego wyglądała, jak dziecię całkiem innego świata i rodu.

Ubranie zresztą wkrótce zmienić musiała na takie, jakie we wsi noszono.

Wraz z nią, Paweł na łódź zabrał i do chaty siostrzynej przywiózł skrzynkę niedużą, z której Ulana, ciekawie rzeczy miejskiej dziewczyny rozpatrująca, wyjęła małą poduszkę, podartą kołdrę, dwie suknie i trzy koszule. Było to wszystko, co posiadała Franka.

Przez szesnaście lat służby taki tylko zgromadziła sobie majątek; reszta poszła na częstowanie przyjaciół i przyjaciółek i na to jeszcze, co napełniało na dnie skrzynki znajdującą się szkatułkę. Napełniały ją świecące szpilki, kolczyki, grzebyczki, różnokolorowe wstążki i chusteczki, zbrudzone rękawiczki, pachnące mydełko; a wszystko to było połamane, zgniecione, podarte i przy pierwszym dotknięciu grubych rąk Ulany z niezamkniętej szkatułki wysypało się na jej kolana.

Wśród powszechnego zachwycenia, Franka znaczną część tych skarbów obecnym rozdawała i, ponsową chustkę zawiązawszy na głowie Ulany, starej Awdoci nawet wstążką szyję przyozdobiła. Dzieciom, których zgromadziło się wiele, rzuciła garść paciorków i połamanych szpilek; do Filipa uczepiła się, aby sobie koszulę błyszczącym szkiełkiem zapięła. Wszystko to uczyniła, chichocząc i szczebiocząc, Ulaną, Awdocię i dzieci całując.

Wspiąwszy się na palce, Filipa nawet w policzek pocałowała i, ku Pawłowi poskoczywszy, z ramieniem dokoła szyi jego zarzuconem, na kolanach mu usiadła. On przy tylu świadkach przedślubnej tej poufałości zawstydzil się, wzrok odwrócił i przy sobie na ławie ją posadził.

Wszyscy patrzyli na nią z ciekawością i zdziwieniem. Nikt tu, jak żył, nie widział kobiety, tak ruchliwej, głośniejszej i hojnej. W hojności tej czuć było naprzód, że przywykła o nic nie dbać, nic nie zgromadzać i o jutrze nie myśleć, a potem, że czuła się niezmiernie szczęśliwą. Uszczęśliwienie to wybuchało nazewnątrz śmiechem, skokami i gwałtownym rozczuleniem się dla ludzi, pośród których się znalazła. Zdawać się mogło, że gdyby teraz ktokolwiek z otaczających był bardzo głodnym, samą siebie do zjedzenia mu oddała.

Ułana, bardzo z darów otrzymanych zadowolona, skrzynki przetrząsać jednak nie przestawała i, coś białego rozwijając, od zdziwienia aż krzyknęła. Zdziwiły ją koszule Franki, cienkie, ale bardzo podarte. Pełną szkatułkę kosztownych szkiełek i wstążek miała, a koszuli całej nie miała. Suknie też jej z mnóstwem falban i kokardek poplamione były i u dołu obłoczone.

— Aaaa! — zdziwiła się Ułana — jakże wy w tem chodzić będziecie? To już innego odzienia nie macie?

Franka sięgnęła do kieszeni i z rogu chustki, w węzełek związanego, killkorublową asygnatę wyjęła. Była to zapłata, którą za ostatni miesiąc służby otrzymała i której na wsi stracić nie mogła.

Prosić zaczęła Ulanę, aby jej za te pieniądze takich samodziiałowych spódnic, fartuchów, grubych, lecz całych koszul, jak te, które na sobie miała, kupiła.

— Moja, mileńka, złocienka, brylantowa, kupcie! — prosiła.

Ułana zawahała się i na męża spojrzała, a widząc, że potakująco powiekami mrugnął, uprzejmie rzekła:

— Na co kupować? u mnie, chwała Bogu, wszystkiego dosyć jest. Ja wam i tak bez nijakiej zapłaty parę spódnic i płótna na koszulę dam.

I, śmiejąc się, dodała:

— A potem, kiedy zechcecie, tkać was nauczę, to i sami natczecie sobie wszystkiego, co potrzeba.

Paweł malutkiego siostrzeńca z ziemi podniósł i na kolanach huścić zaczął.

Obecni ledwie uszom swoim wierzyć mogli, słysząc, że wesoło zagwizdał, tak to ze zwykłym jego zachowaniem się sprzeczne było.

— Dobre, Ułanka! — przyjaźnie na siostrę patrząc, przemówił — daj jej tymczasem, co trzeba, a później policzymy się. Jak nie krzywdziłem ja ciebie do tego czasu, tak i teraz krzywdzić nie będę. A tkać i co tam więcej w stanie naszym potrzebne, ją naucz. Ona biedną sierotą od urodzenia swego była, i nikt jej nigdy dobra, rozumu nie uczył. Uczycy teraz będę ja. Ucz i ty. Pan Bóg tobie wynagrodzi!

Ułana, Filip, Awdocia, nawet swawolny Daniłko, głowami po kilka razy kiwnęli. Wyrzaz sierota do serc im trafił.

Ubranie, od Ułany otrzymane, za które Paweł z miasteczka dla siostry ładne rude cięły przyprowadził, włożyła jednak nie prędzej, jak w parę tygodni po ślubie. Dotąd z przebraniem się tem ciągle zwlekała, często po grudzie lub błocie ulicy wiejskiej paradując w prunelowych bucikach i falbanach miejskiej sukni. Ale teraz nie było już rady: buciki podarły się, koszule prawie spadały z ciała, sukni do reszty zniszczyć nie chciała. Wszak już, jak dawniej, pensji, za którą gałganki sobie kupowała, otrzymywać nie będzie; to zaś, aby Paweł je dla niej kupował, wprost na myśl jej nie przyszło, tak bardzo nieprzyzwyczajoną była, aby w potrzebach życia ktokolwiek jej dopomagał, i aby do stosunków swych z ludźmi jakąkolwiek rachubę przywiązywać. Przeciwnie, sama, w formie poczęstunków lub pożyczek, oddawała zwykle ludziom, którzy się jej podobali, wszystko, co miała. I teraz także, choć wiedziała o tem, że Paweł zarabia sporo, a stara Marcela dawno już wyszeptala przed nią, że podobno w jego chacie pod piecem znajduje się, przez ojca tkacza jeszcze zakopany, garnek ze srebrnymi rublami, wcale o tych dostatkach męża nie myślała i, miejską sukienkę starannie w skrzynce złożywszy, aby w niej choć do kościoła móc jeździć, ubrała się nakoniec po chłopsku.

Kiedy już płytkie trzewiki skórzane i samodziałową spódnicę w różnokolorowe paski na siebie włożyła, a na grubą koszulę narzuciła perkalową, kwiecistą chustkę, plasnęła rękoma, po ubraniu tem wzrokiem rzuciła i żałośnie zawiodła:

— Otóż i chłopianka ze mnie! Otóż i przemieniłam się w chłopiankę! Jużby mnie teraz rodzony ojciec nie poznał a matka, żeby z grobu na mnie spojrzęła, na drugi bok przewróciłaby się w trumnie! Ot, już i po mnie! Pochowana ja i zakopana na wieki, i nie będzie już dla mnie innego życia na świecie, jak to chłopskie, którego ja nigdy nie znała i znać nie chciała!

Twarz rękoma zakryła i rozplakała się na całą chatę. Tym wybuchem rozpaczy, który po bardzo wesołym ranku nastąpił, Paweł zrazu był tak zdumiony, że z otwartymi ustami przez chwilę na ławie siedział. Ale potem uśmiechnął się i ręką machnął.

— Czysta dziecina! — rzekł — niewiadomo czasem, czego śmieje się, i niewiadomo, czego płacze. Ot, głupstw tobie w głowę nakładli, a ty wierzysz i powtarzasz. Rozumu nikt nie uczył, a głupstw ponuczali. Niech im Pan Bóg tego nie pamięta. A ty, jak pochodzisz troszkę w tem odzieniu, to i przywykniesz, i poznasz, że między panami, czy między chłopami, lepsza koszula cała, niż dziurawa.

Wstał, kilka kroków uczyniwszy, obok niej usiadł i, objąwszy ją, do piersi swej przygarnął.

— Cichoż, Franka, — mówił — no, cichoż już, cicho, uspokój się, ucisz się... niema czego lamentować.

Płakać przestała, całem swem ciałem gibkiem i drgającym przykleiła się do niego i, na szyję ramiona mu zarzuciwszy, okryła go pieścotami.

On schwycił ją na ręce i, jak piórko, aż pod niski sufit podniósł. Błękitne jego oczy, tak dawniej przezrocyste i spokojne, gorzały; ona zanoszącym się śmiechem i odgłosami pocałunków napelniła izbę. W godzinę potem razem szli ku rzece, do czółna wsiedli i popłynęli, a niebawem widać było, jak na przeciwnym brzegu rzeki oboje wędę na wodę rzucili.

We wsi zauważono, że Paweł po ożenieniu się nie tak ciągle na rzece przebywa, jak przedtem, i daleko mniej często do miasteczek i dworów ryby na sprzedaż wozi. Nikt się jednak temu bardzo nie dziwił, bo wszyscy się domyślali, że w samotnym i skromnym życiu, przy niezłym zarobku, trochę grosza mógł on uzbierać; ale i ten ojcowski garnek, pod piecem zakopany, dla nikogo tajemnicą nie był. Dlaczego Paweł dotąd go nie odkopał? Ot, potrzeby widać nie było. Siostrę i bez tego po ludzku i po ojcowsku z chaty wyprawił, a później, jak wilk samotnie żyjąc, byle czem się obchodził. Garnek ten może na czarną godzinę, czy na zbudowanie kiedykolwiek nowej chaty schował, albo po śmierci na kościół oddać umyślił. Dość, że biednym nie był, zapas posiadał: czemużby więc, przez całe życie pracując i harując, a pod starość młodą żonkę wzięwszy, odpocząć trochę nie miał? Słuchający rozmów tych parobcy z młodości Franki śmieli się trochę.

— E! — mówili — jaka ona tam młoda? Już nawet on młodszym od niej wygląda.

Istotnie znać było po Pawle, że ze stanu biernego spokoju przeszedł w stan nieustannej, gorącej radości. W ruchach i sposobie mówienia powagi nie utracił, ale z ludźmi chętniej i dłużej rozmawiał, a w oczach i uśmiechu miał cichą, lecz ciągłą wesołość. Sprawiało to, że wyglądał młodziej, niż wprzód. Można go było teraz wziąć za człowieka, któremu niedawno trzydziestka minęła.

Raz stara Awdocia, spotkawszy go samego u brzegu rzeki, z której wodę do wiader czerpał, brodę na rękę podparwszy, zagadała:

— A co, kumku, dobrze tobie teraz? Kontent, że ożenił się? a?

Rumianą, choć starą Awdocię, o czarnych błyszczących oczkach, wszyscy we wsi lubili i poważali. Była ona ciekawą, gadatliwą, w cudze sprawy wtrącać się lubiącą, ale wesołą, usłużną, doświadczoną i w wielu wypadkach użyteczną. Nie potrzebowała przytem niczyjej łaski, mieszkając przy synu, porządnym i statecznym gospodarzu. Pawłowi sprzyjała zawsze i kiedyś swatostwami swemi mu dokuczała, ale on ją lubił i kilka razy u sąsiadów dzieci z nią do chrztu trzymał.

Wyprostował się też zaraz z nad wiader i z uśmiechem odpowiedział:

— A dobrze, oj-jej, jak dobrze! Czego chciałem, to i dostałem, czemuż nie ma być dobrze?

— To ty dlatego nie żenił się, że chciał takiej, jak ta? — zapytała Awdocia.

— Ale, widać dlatego...

— To czemuż nie gadał... możeby prędzej znalazła się — zachichotała baba.

— Albo ja wiedział?... ja sam nie wiedział i czego ja chcę, i jakiej ja chcę... a teraz jak znalazł, to i dowiedział się...

— Nu, dobre, daj Boże, żeby zawsze tak było — życzliwie mówiła kobieta.

Ale teraz on jej przerwał. Dawniej nigdy nie zdarzało mu się, aby komu mowę przerywał, bo słowa miał leniwe i niechętne; teraz z pełnego widać serca wyrywały się mu one na usta:

— Bo to widzicie, kumo, wszystko dobrze... mieć do kogo w chacie zagadać i z kim poweselić się... dobrze... i przyjaciela do śmierci mieć dobrze... ale za co już ja najwięcej Panu Bogu Najwyższemu dziękuję, to, że duszę ludzką wyratowałem...

Tak jak i Awdocia brodę na rękę oparłszy, z zamyśleniem kończył:

— Duszę ludzką od męki na tym świecie i od potępienia na tamtym wyratować... czy to mała rzecz!... O, Jezu, jaka wielka!

— A toż — potwierdziła Awdocia, ale widać było po niej, że, o co właściwie chodziło, nie rozumiała.

— Dobre, dobre! Kab tylko Pan Bóg dał, żeby zawsze tak było! — winszowała, ale tej sprawy z duszą nic a nic nie rozumiała. Jedno tylko swemi żywemi, okrągłemi oczyma dostrzegła: że na twarzy Pawła jakby luna od księżycowego światła zajaśniała.

— Nu, nu! — dziwiła się — jakby ciebie, Pawluku, matka drugi raz na ten świat narodziła!

I, chichocząc, przez cały wieczór roznosiła po wsi, jaki ten Pawluk szczęśliwy, jak z żonki kontent, jak odmłodniał.

Zresztą wszyscy mieszkańcy wsi, zjawieniem się wśród nich obcej i całkiem odmiennej kobiety zrazu bardzo zaciekawieni, przekonali się wkrótce, że w chacie Pawła nie dzieje się nic niezwykłego. Cicho tam było, jak i dawniej, a tylko na podwórku Koźluków, albo w ogrodzie, dwie chaty rozdzielającym, rozlegał się często cienki głos i donośny śmiech Franki, rozmawiającej z Ulaną, lub głośnie swawole wyprawiającej z Daniłkiem. Na ulicy wiejskiej widywano ją rzadko, do sąsiadów nie chodziła wcale, wiele czasu z mężem na rzece spędzała.

Już teraz najmniejszego nie doświadczała strachu, znajdując się na wodzie; owszem, pływanie i łowienie ryb z właściwą sobie popędlivością gustów i chęci polubiła. Ilekroć Paweł z udaniem się na rzekę ociągał się nieco, chwyciła go za rękę i wyciągała z chaty, poczem żądała, aby z nią na wyścigi biegł ku rzece, i zawsze, zdyszana strasznie, ale prędzej od niego u brzegu stawała. On był silny i krok miał szeroki, ale ona, jak piórko lekka, tak szybko biegła, że zdawało się, iż, ziemi nie dotykając, powietrzem leci. Ramiona przytem, jak skrzydła, rozpościerała i wydawała ostre, piskliwe, prawdziwe ptasie krzyki. Wiosłem robić nauczyła się prędko, ale długo nie mogła, bo sił jej nie starczyło; jednak często dwoma członkami, przywiązana do nich siecią złączonemi, na rzekę wypływali. Czółna, jak bliźnięta, ku sobie przybliżone i nierozłączone, równo i niezbyt prędko po szlaku pogodnej wody mknęły; sieć, pomiędzy niemi w wodę opuszczona, ciężarem wpadających w nią ryb nabrzmiwała, a Franka, powoli wiosłem wodę zagarniając i wzrokiem ciekawym po wodzie i brzegach wodząc, widziała, że to zajęcie, które zniedawna dopiero z posiadaniem człowieka dzieliła, daleko lżejszem jest i przyjemniejszym od dmuchania w samowary, sprzątania pokojów i prasowania cudzych sukni, w ciasnych i dusznych kuchniach. Że zaś wszystko, co czuła, czemkolwiek było, prawie bez woli i jej wiedzy wylewało się z niej nazewnątrz, o doznawanych przeto miłych wrażeniach nieustannie prawie Pawłowi mówiła.

— Ot, odpoczywam sobie, — mówiła — ot, jak królowa, panuję i o nic głowa mię nie zaboli. Jakby mnie matka drugi raz na świat ten narodziła. Jakby mnie Pan Bóg na jakimś drugim świecie posadził.

Był to dla niej istotnie świat zupełnie nowy. Parę razy w życiu zaledwie opuszczała miasto i za każdym razem przez kilka tygodni kręciła się tylko dokoła letnich mieszkań swoich państwa, nic prócz ich dziedzińców i drzew najbliższych nie widząc.

Teraz, gdy przed jej oczyma otworzyły się widnokreśli swobodne i krajobrazy, pełne szczegółów, nigdy dotąd nie widzianych, wszystko, na co spojrzała, budziło ciekawość jej i zdziwienie.

Ciekawość i zdziwienie, nie zachwycenie.

Piekący głód wrażeń, który ze wszystkich nędz i rozkoszy przeszłości swej wyniosła, czynił ją namiętnie ciekawą każdej nowości, bez względu, czy był nią świeżo poznany a ponętny człowiek, czy po raz pierwszy widziana fala, chmura, barwa, błyskotka.

Była zaś tak ciemną, tak początku i natury żadnej rzeczy nie znającą, że wszystkiemu, co wzrok jej pociągało i ciekawość obudziło, dziwiła się głośno, namiętnie, bez granic, jak człowiek dziki, jak dziecko. Istotą dziką każdemu wydałby się mogła ta kobieta, wśród wiejskiego spokoju ruchliwa i krzykliwa, ta wychowanka wysokich murów miejskich, nie znająca nic z tego, co powstawało, kwitło, świeciło, śpiewało pod niebem od krańca do krańca otwartem. Ale dzieckiem, wesołość budzącem, ciągle i coraz bardziej wydawała się towarzyszeni swemu, który w rzeczach, dla niej nieznanach i dziwnych, tak był biegłym, że na parę dni z góry przepowiadać mógł stany, w jakich znajdować się miały powietrze, niebo i woda.

Czasem, rano z chaty wyszedłszy, po niebie wzrokiem wodził, na słońce z pod dłoni spoglądał, w nozdrza powiewy wiatru wciągał, a potem ludziom spotkanym — swoim poważnym, przyciszonym głosem mówił, aby ze zbieraniem zboża, siana czy warzywa pośpieszali, bo już tylko dni dwa, trzy pogoda potrwa, poczem rozpoczną się deszcze.

W porze dżdżystej, kiedy jeszcze ciężkie obłoki rozpościerały się u góry, a u dołu przez wiatry chłostany Niemen toczył ciemne i spienione fale, do chaty z podwórza wracając, Frankę na ławie skurczoną i poziewającą pocieszał wieścią, że za dni dwa, trzy rozpogodzi się i pociepleje. A gdy zawsze stawało się tak, jak przepowiedział, Franka z trwożnym prawie spojrzeniem pytała:

— Czy ty prorok, czy co, że wszystko zawsze wyprorokujesz?

On śmiał się z zadowoleniem.

— Ja nie prorok, — odpowiadał — ale rybak. A jakiżto rybak byłby ze mnie, że-bym nie wiedział, kiedy trzeba na rzekę wypływać, a kiedy nie trzeba; kiedy przeszkody w robocie będą, a kiedy ich nie będzie.

Wiedział wybornie, z jakiej chmury deszcz spadnie, a z jakiej pioruny bić będą, jaka niewinnie nad ziemią przepłynie, a jaka nad nią wichrem potężnym powieje, lub gradem niszczącym sypnie!

Wiedział, w których miejscach woda na rzece głęboką bywa lub płytką, w których dno jej kamieniami jest usiane, białym i pomarszczonym piaskiem usłane, lub gęstwiną długich, śliskich, splątanych wiklin porośle. Wiedział, gdzie najłatwiej poławiają się kielbie i plotki, lub w największej obfitości mieszkają szczupaki, u jakich brzegów raki najgęściej obsiadają podwodne mchy i kamienie, w jakiej porze dnia i roku jakie gatunki ryb na jakie biorą się przynęty. Po doniosłości pluśnięcia i szerokości kół, roztoczonych na wodzie, poznawał, jaka ryba wyskoczyła na jej powierzchnię, a z kierunku, wysokości i szybkości fal odgadywał, czy połów będzie szczęśliwy.

O wszystkim tem mówił France, a gdy się wszystko, cokolwiek powiedział, sprawdzało, znać było po niej, że przejmowała ją trwoga przesądna.

— Czy ty jasnowidzący, czy co? — pytała.

On, znowu śmiejąc się, odpowiadał:

— Ja nie jasnowidzący, ale ta rzeka przez całe życie żonką moją była. Innej ja nie miał i nie chciał, aż póki ciebie nie zobaczył.

Wybornie więc Franka bawiła się, pływając z mężem po rzece, wcale też nieźle, gdy czasem bez niego w domu zostawała. Przychodziła wtedy do niej żebraczka, Marcela, w tym roku u Koźluków na kącie siedząca, i prawila rzeczy, dla niej przyjemne i zajmujące.

Kiedy pierwszy raz niewiele przed południem, bosa, ciężka od łachmanów, które ją okrywały, garbata, weszła do izby, Franka wyciągała się jeszcze na pościeli, poziewając i przecierając oczy. Marcelę widziała już nieraz, więc na powitanie jej życzliwym skinieniem głowy odpowiedziała.

Baba miała twarz wielką, prawie kredowo białą, w grube zmarszczki pofałdowaną, kosmykami siwych włosów z pod brudnego łachmana, którym głowę obwiązywała, zarzuconą. Zapewne z jakie już siedmdziesiąt lat miała i żyła w nędzy, jednak żywości i bystrości nie utraciła. Poruszała się tylko powoli i ciężko, ale mówiła wiele i małe jej oczki z pod nabrzmiąłych powiek rzucały połyskliwe, bystre, ciekawe spojrzenia. U progu sto-

jąc, na kiju wsparta, głosem ochryplym, w którym jakby zgrzytanie piły słyhać było, zaczęła:

— Aaaa! to wy jeszcze nie wstali! Może wy milenkie, a toż ludzie dawno już odpołudniowali i znów do roboty poszli. A ogień rozpalony, i strawa gotuje się, i w izbie sprzątnięto. A któż to wam wody przyniósł i garnki do ognia przystawił, kiedy wy do tego czasu spali?...

— Mąż — na pościeli jeszcze siedząc i leniwie nogi swe oglądając, odpowiedziała Franka. — Do miasteczka dziś z rybą pojechał, a przed wyjazdem wody przyniósł, ogień rozpalil i obiad nastawił...

— Aaaa! otóż dobry z niego człowiek! — zadziwiła się żebraczka i bliżej przystąpiła ku gospodyni, która, w płaskie trzewiki stopy już wsunawszy, niedbale, poziewając, samodzielną spódnicę zawiązywała.

Ręce, których skóra do kory drzewnej podobną była, na kiju składając, z wlepionemi we Frankę oczyma, żebraczka dziwiła się dalej:

— Ależ ty, moja milenka, śliczna, to śliczna! Nie dziwno, że twój za tobą świata nie widzi. Bożeż mój, Boże! nóżki u ciebie bielsze, niż twarz u drugich, a oczka, jak pacioreczki błyszczące, a w pasie cienka taka, jak jaka panienka, kiedy gorsetem ściśnięta.

— A tyś widziała kiedy gorset? — zaśmiała się Franka, drząc trochę, jak zwykle z nią bywało, gdy z pościeli wstawała.

W izbie ciepło było, ale to drżenie już od lat kilku zrana szczególnie ją napadało. Cera jej wtedy żółkła, i wargi bladły. Przed ogniem przysiadła, chustką otuliła się, poziewała, a żebraczkę poprosiła, aby sobie na ławie usiadła. Pochwały, przed chwilą usłyszane, życzliwie ją dla ochryplej baby usposobiły.

Marcela pod ścianą naprzeciw ognia siadła, ręce znowu na kiju oparła i, w szerokim uśmiechu bezzębne dziąsła ukazując, zawiodła:

— Czy ja gorset widziałam? Oj, Bożeż, mój Boże! czego ja na świecie nie widziałam? Różne piękności i bogactwa widziałam... wszystko widziałam, wszystko słyszałam i wszystko wiem. Jaż calusienką młodość swoją w dworach pańskich przesłużyłam, a teraz już może i piętnaście lat będzie, jak o kiju ciągam się po szerokim świecie...

Franka żywo odwróciła się i, plecami do ognia z twarzą ku niej zwrócona, z błyskiem oczu zawołała:

— We dworach służyłaś!... A ja myślałam, że ty taka sama prosta chłopka, jak tutaj wszystkie...

— Chłopka, to ja chłopka — trzęsąc głową, prawiała baba — ale małą dziewczyną do dworu mnie wzięli, i tam młode moje lata przeżyłam. A kiedy w tym dworze wybyć już nie można było, do innych w służbę poszłam, aż ot, lat będzie może piętnaście, jak do żebraczej torby przysłałam... Temużto ja odrazu i poznałam, kto ty taka... Inni nie poznali, a ja poznałam...

— A któż ja taka? — z wybuchem śmiechu zawołała Franka.

— Panienka!... oj, panienka ty, delikatna, śliczna, jak ta królowna... Jak tylko on ciebie do Koźlukowej chaty przyprowadził, ja zaraz pomyślałam sobie: ot, Boże mój, Boże! chłop, taki prosty, a zachciało się jemu królowny. Mnie nawet dziw bierze, że ty za takiego prostego chłopca poszła...

Z rozpromienionej twarzy Franki nagle stała się posępną.

— Czy ja wiem, jak to się stało? Widać, już takie przeznaczenie moje było. Sama nigdy nie spodziewałam się za chłopca wyjść i żyć pomiędzy chłopami. Z pięknej familji pochodzę... Dziadunio dwa domy własne miał, ojciec w kancelarji służył... a cioteczny brat adwokatem jest w wielkiem mieście i bogaty, bogaty!

Przy żebracze usiadła i o wysokiej edukacji matki, o bogactwie ciotecznego brata, o tem, jak w mieście bawiła się i jakich kawalerów miała, opowiadać zaczęła.

Baba z wyrazem uwielbienia głową trzęsła i wykrzyki, pełne zdziwienia, wydawała. Po kwadransie Franka poskoczyła z ławki.

— Wiesz co, Marcelko? nastaw ty samowarek: herbatki sobie wypijem.

U Pawła, jak u Filipa, jak w kilku zresztą najporządniejszych chatach tej wioski, był blaszany samowarek i zawsze jakaś szczypta herbaty i trochę cukru w zapasie. Paweł nawet na prośbę żony zapas ten powiększył. Franka o jedzenie wogóle mało dbała. Jadła byle co i bardzo niewiele; zdarzało się nawet, że przez dzień cały, szczególnie gdy była



czemś zajęta albo wzruszona, nic w usta nie brała. Ale bez herbaty żyć nie mogła i za cukierkami tęskniła, które w mieście, jak opowiadała Pawłowi, kupowała sobie zawsze, albo od kawalerów otrzymywała. Innych podarunków nikt jej nie przynosił, ale cukierki przynosili, a ona je przyjmowała, bo panie nawet od panów zawsze cukierki przyjmują. Dziś właśnie, kiedy Paweł do miasteczka wyjeżdżał, zarzuciła mu ręce na szyję i poprosiła:

— Przywieź cukierków! Mój miłenki, złoty, brylantowy, przywieź!

O suknie albo pożywienie inne, niż to, które powszechnie we wsi jadano, nie prosiła go nigdy; o herbatę i cukierki poprosiła.

Tymczasem Marcela, z pod opuchłych powiek radośnie oczyma błysnąwszy, żwawo, bez pomocy nawet kija, po izbie chodząc, rozkaz jej spełniła.

Na dworze deszcz padał; dwie kobiety, jedna w lachmanach, druga w grubej chustce na plecach, przy małym oknie herbatę z zielonawych szklanek popijały, trzaskami ją mieszając. Żebraczka przytem pochłaniała dużo razowego chleba, i znać było po niej, że cieszyła się czegoś bardzo. Może odwiedziny te powiodły się jej lepiej, niż spodziewać się mogła, i pomyślność jakąś na przyszłość zapowiadały. Wzamięn w rozmowie z nią Franka stawała się posępną. Z dna przeszłości, o której rozповідаła, podnosiły się jakieś męty i z siłą upajającego trunku uderzały jej do głowy; krwiste rumieńce wybiły się na jej policzki, oczy nabiegły łzami.

— Ot, do czego przyszedłam! chamką zrobiłam się i żyjącą do grobu wstąpiłam! Już niema dla mnie innego świata, jak ta wioska, i innego życia, jak chamskie!

Ręce załamała i ocierała niemi mokre od łez oczy.

— Nu, chodzi! nie płacz! co tam! — pocieszała stara. — Kiedy mąż dobry i miły, to nie zginiesz... A czy miły?

I, pochyliwszy się do jej ucha, z brzydkim uśmiechem o coś jej zapytała.

Franka zaśmiała się, oczy odwracając.

— Oj, oj! — szepnęła — oj, oj, zdaje się, że mu od urodzenia dwudziestu lat jeszcze niema!

Wzajemnie do samego ucha szepcząc coś babce, śmiała się zcicha i zębami białymi błyskała.

Tegoż wieczora Paweł, z miasteczka wróciwszy, wyjął z kieszeni trochę owiniętych w papier, wpół roztopionych karmelków. Rok już może przeleżały one na straganie Żydówki i kilkanaście groszy kosztowały. Ale Franka, na gatunek przysmaku nie zważając, z rąk go mężowi wyrwała i z namiętą chciwością głośno gryźć zaczęła. Gdy nasyciła się, kilka pozostałych karmelków do chaty Koźluków zaniosiła, gdzie jeden z nich przemocą w otwarte usta Daniłka wepchnęła, a inne oddała dzieciom.

Koźlukowie znajdowali się względem niej obojętnie; zadziwiła ona ich nieraz, lecz ani nieprzyjaźni, ani szczególnej przyjaźni w nich nie budziła. Szkody im nie sprawiała żadnej, korzyści także, a Filip w polu i na promie, Ulana przy gospodarstwie i dzieciach tyle mieli roboty, że śledzenie jej, badanie, zastanawianie się nad nią, wprost do głowy im nie przychodziło. Brata była wola wziąć ją za żonę; jeżeli dobrą się okaże, jego będzie szczęście, jeżeli złą, jego bieda. Im co do tego? Jednak od czasu do czasu życzliwość jej okazywali, rozmowy z nią zaczynając, do chaty swojej zapraszając.

W początku jesieni Filip ze szwagrowego świrna wyniósł krosna, po pierwszej żonie Pawła pozostałe, i w izbie je ustawił, a że były stare i zepsute, przez całą godzinę piłką i ćwieczkami je naprawiał.

Ulane w niedzielę do miasteczka jeździła, za pieniądze brata kupiła lnu i farbowanych nici, a zaraz nazajutrz kądziel na kołowrotku przyrządziła i krosna zasnuła nićmi. Aż zanosiła się od śmiechu, aż rękawem koszuli oczy, z których śmiech łzy wyciskał, ocierać sobie musiała, patrząc na niezgrabne i nieumiejętne ruchy, z jakimi Franka brała się do przędzenia i tkania. Jak żyła, nie widziała, aby kobieta nie umiała prząć i tkąć; nigdy nawet na myśl jej nie przyszło, aby taka kobieta istnieć mogła.

Pokładała się tedy od śmiechu, niemniej przecież pilnie i cierpliwie robót tych nauczała Frankę, która zrazu z zapałem rzuciła się ku nim, prząć nauczyła się prędko, ale kiedy do tkania przyszło, zniechęciła się i sposepniała.

— Ciężko! — sarknęła.

— Przywykniesz! — perswadowała Ulana.

Nieustanne przytłaczanie nici przednią częścią krosien i przydeptywanie stopami ich podnóży, męczyło ją istotnie; po kwadransie tego zajęcia krople potu występowały jej na czoło. Najpewniej, tak jak przepowiadała Ulana, przywykłyby z czasem i coraz mniej doświadczałyby trudności, ale o przywyknienu do tego, co przykrość jej sprawiało, ani myślała. Jeżeli robota podobała się jej, to dobrze; jeżeli nie, to niech ją djabli wezmą!

Po kilku próbach, przy których Ulana śmiać się już przestała, a ze znudzoną twarzą i zmarszczonem czołem patrzyła na nią, Franka zerwała się od krosien i, ramionami trzepocąc, krzyknęła:

— Nie chcę! nie będę! ręce bolą i nogi pomdlały! Na jakie lichy tkanie to mi potrzebne? Dość już napracowałam się i naharowałam z ciężkiego musu, a teraz, kiedy musu niema, niech sobie djabeł nad temi krosnami siły nadweręża! Ja nie będę!

— Jak sobie chcecie — obojętnie rzekła Ulana i, głową na pożegnanie jej kiwnąwszy, z izby wyszła.

Dnia tego pod wieczór, po wodę idąc, Ulana brata na stoku góry spotkała i, z wiadrami na ramionach zatrzymując się przed nim, przemówiła:

— A Franka tkać nie chce.

— To niech sobie nie *tcze* — obojętnie odpowiedział Paweł.

Ale Awdocia, która, pomimo sześćdziesięciu swych lat, wyręczając synowę, także spuszczała się z góry po wodę, krótkiej rozmowy brata i siostry wysłuchała tak ciekawie, że aż na bok przechyliła głowę, a potem wiadra na ziemi postawiła i, Pawła po imieniu zawoławszy, gdy odwrócił się, z tajemniczą miną palcem kiwnęła, aby ku niej podszedł. Aż jej czarne oczy wśród rumianej twarzy błyszcząły, tak zadowoloną była, że w czyjąś sprawę wtrącić się może.

— Pawluku! — z palcem, do zwiędłej wargi przyłożonym, zaczęła — ej, Pawluku, coś ci ty żonco za wiele panować pozwalasz. Patrzaj, aby z tego panowania biedy jakiej nie było.

Już i wprzódy to i owo o sposobie życia Franki od Marceli słyszała i długiem jej spaniem, herbatą, cukierkami bez granic zdziwiona i zgorziona była.

Paweł poważnie odpowiedział:

— Nie biadajcie, kumo; już ja wiem, co robię. Z męki ja ją wyrwał i nie na to wyrwał, żeby znów w mękę pogrążyć, ale na to, żeby jej dobrze na tym świecie było. Jak człowiekowi na tym świecie źle, to i on sam zły, a jak dobrze, to i on dobry. Czemu dobrym nie być, kiedy do żadnego gniewu ani grzechu przyczyny niema? Ot, co!

Tak był pewnym tego, co mówił, jak tego, że słońce świeci, a woda płynie; ale Awdocia filozofji jego nie zrozumiała wcale, — swoją zato miała.

— Ej, Pawluku, — zeszepotała — patrzaj, żeby z tego panowania biedy jakiej nie było. Skąd ty ją wziął? Czy od baćków (rodziców) wziął? Czy z chaty rodzonej? Jaka ona była, nim ty ją wziął? Nie bój się, ja wszystko wiem. Spojrzawszy się tylko na nią, jaką ona była, poznałam. Może kto nie poznał, ale ja poznałam.

Wpół z triumfem, wpół z politowaniem, mądrymi oczkami swemi mrugała i, wspiąwszy się prawie do ucha Pawła, tajemniczo zaszepotała:

— Patrzaj, żeby z tego panowania, co ty jej dajesz, znów jakie lichy nie przyczepiło się do niej.

Na Pawle ostrzeżenie to, którego sens wybornie rozumiał żadnego wrażenia nie uczyniło.

Uśmiechnął się, ręką machnął i z zupełnym spokojem odpowiedział:

— Tego, to już pewno nie będzie. Przysięgła!

Widać było, że zupełnej, nieograniczonej ufności, przez ostatni wyraz w nim obudzonej, nic na świecie zachwiać nie mogło. Widać było, że w mniemaniu jego, ktokolwiek przysięgł, uczynić musiał tak, jak przysięgł, i że, aby inaczej być mogło, nigdy nie pomyślał.

Awdocia ramionami wzruszyła, wiadra podniosła i z niejaką trudnością, dość jednak rzeźko z chropowatej góry znowu nadół schodzić zaczęła. Kilkanaście kroków uszedłszy, za Pawłem, prędko na górę wchodzącym, obejrzała się i głową pokręciła.

— Durnyj! oj, durnyj! — szepotała.

U Koźluków częściej, niż wprzódy, o France mówić zaczęto, bez żadnej nieprzyjaźni wprawdzie, ale tak, jak ludzie o wszelkiej osobliwości mówić zwykli.

Swawolny Daniłko, który w jesieni i zimie mało roboty miał i wszystko, co się działo we wsi, wypatrywał i podsłuchiwał, z chichotem opowiadał, jak Paweł, żonkę mając, sam ogień w piecu rozpala, strawę gotuje i krowy doi, a ona, albo wyciągnąwszy się na pościeli leży, albo na ławce pół dnia z nim obejmuje się i całuje, albo różne skoki i śmiechy wyprawia.

Filip za boki brał się od śmiechu, ale Ulanie przy opowiadaniach tych robiło się trochę markotno.

— Jemu z tego dobra nie będzie — do męża rzekła.

— Komu? — zapytał.

— A Pawlukowi.

I, na dziedziniec wyszedłszy, kury do chaty zwoływać zaczęła, a Franka stała wtedy przy płocie, ogród na dwie połowy rozdzielającym, i gruszki jadła. Pochodziły one z jedyne drzewa, które w ogrodzie przy samej chacie Pawła rosło. Dawniej Paweł sprzedawał je w miasteczku, albo siostrze oddawał, teraz zostawił w chacie, bo Franka je lubiła. Może widok gruszek, które lat zeszłych stanowiły drogocenny przysmak dla jej dzieci, wzmógł niezadowolnienie Ulany.

O parę kroków przed płotem stanęła i do bratowej przemówiła:

— Czy tobie nie wstyd, że twój sam krowy doi? toż nie muzycka, ale kobiecka robota.

Jakkolwiek mówiła to głosem umiarkowanym i więcej żartobliwie, niż gniewnie, na twarz Franki wytrysnął zwykły jej, krwisty i szybko przemijający rumieniec.

— A tobie co do tego? — krzyknęła. — Nie wtykaj nosa tam, gdzie ciebie o to nie proszą. Ja wszystkich chamskich robót nigdy nie robiłam i robić nie będę! Adie!

Od płotu odskoczyła, ale Ulana, zaczerwieniona również, kilka słów także za nią rzuciła:

— A ty od chamów nie łaj! Jakie ty masz prawo chamstwem ludziom oczy wypiekać, kiedy sama od chamki byłaś gorsza?...

Znaczenie słów ostatnich Ulana czerpała z domysłów Awdoci i długich szeptów, które Marcela, po każdej u Franki bytności, w ucho jej kładła.

Było to pomiędzy dwiema kobietami poróżnienie pierwsze, prędko zaś minęło, bo Ulana z bratem różnić się nie chciała, oprócz lubienia i to na względzie mając, że zawsze tam od niego jakieś kropelki dobra padać na nią mogły: jeżeli już nie coś więcej, to choć obwarzanków dla dzieci z miasteczka przywiózł, jeden zagonik w swojej połowie ogrodu kartoflami lub konopiami zasiał pozwolił, na zapłacenie podatku, albo inną pilną potrzebę kilka groszy pożyczył. Filip zaś nietylko o tych drobnych przysługach, ale i o ojcowskim garnku, w chacie Pawłowej pod piecem zakopany, może pamiętał, bo, dowiedziawszy się o kłótni żony z bratową, żonę wykrzyczał tak, jak mu się to nigdy jeszcze nie zdarzyło, i z Franką pogodzić się jej rozkazał. Ulanie łatwiej to przyszło, niżli spodziewać się mogła, bo Franka, bez cienia zawziętości, na pierwszą jej zaczepkę, wesoło odpowiedziała i, wieczorem do chaty Koźluków wpadłszy, a kilku sąsiadów i sąsiadek tam znalazłszy, takich im rzeczy naopowiadała, że od zdziwienia oczy wytrzeszczali i do samej północy gadaniu jej przysłuchiwali się, jak cudownym bajkom.

Przez całą zimę potem dość często zbierające się u Koźluków gromadki Franka w podobny sposób zabawiała. Widok to był ciekawy.

Izbę, oświetloną płonącym w ogromnym piecowisku ogniem i na stole palącą się lampką naftową, napełniali mężczyźni w siermięgach lub kożuchach i kobiety w granatowych sukienkach i kaftanach. Pierwsi sieci wiązali, kołki do płotów lub zęby do bron strugali, beczułki i wiadra naprawiali, albo, nic wcale nie robiąc, fajki i papierosy palili. Kobiety na kołowrotkach przędły, albo niemowlęta u piersi trzymały, czy w rękach huśtały. Wszyscy siedzieli na zydlach i stołkach pod ścianami lub przed ogniem.

France niewygodnie było na twardym i wąskim zydlu siedzieć, więc, z nogami na stołku wyprostowanymi, a plecami o ścianę oparta, miała postawę osoby, niedbale na szezlongu wyciągniętej. Pończoch codziennie nie nosiła, więc z pod samodzielowej spódnicy nagie jej nogi sterczały nad stołkiem z obutymi w płytkie trzewiki stopami; kibić jej ścisła, tak jak u innych, granatowy kaftan, a na głowie, tak jak inne, miała perkalową chustkę kwiecistą, za uszyna związaną. Jednak ubranie to miało na niej pozór przebrania. Można by myśleć, że wybierała się pójść w niem na maskaradę lub inną jaką kostjumową zabawę. Krucze, kędzierzawe jej włosy ze wszech stron wymykały się z pod kwiecistej

chustki, opadając na szyję, czoło i pierś, ubraną w rzędy paciorków takich, jakich tu nikt nie nosił; przy uszach także połyskiwały świecące blaszki; ręce drobne i wobec wszystkich tu innych prawie białe, a zawsze bezczynne, poruszały się nieustannie i niespokojnymi gestami; na twarzy przywiedłej i szczupłej miała zawsze albo żółtawą bladość, albo rumieńce, ogniem buchające, jakie tu widywano tylko u ludzi, którzy w gorączce leżeli.

Gorączkowemi też snami wydawały się otaczającym jej opowiadania, tak przecież dla nich ciekawe, że z wieczornic, odbywających się w Koźlukowej chacie, wygnały zimy owej zapelniające je zwykle śpiewy i bajki. Cóż bowiem bajki, w większej części wszystkim tu od dzieciństwa znane, znaczyć mogły wobec opowiadań o teatralnych przedstawieniach, którym z najwyższego piętra, w ścisku, upale, potokach światła, Franka często przypatrywała się niegdyś; o maskaradach, pełnych przebrań i śmiesznych albo potwornych maszkar, w których też nieraz udział brała; o świetnych tanecznych wieczorach, które w domach swoich dawnych państwa widywała; o tłumnych hulankach, w zamiejskich ogrodach, z huśtawkami, karuzelami, djabelskimi młynami, przez mnóstwo razem kawalerów i panien odbywanych; o różnych głośnych zbrodniach, samobójstwach, romanсах, kłótniach, śmiesznych lub przerażających wypadkach, kiedykolwiek i gdziekolwiek wydarzonych, a przez nią w niezmiernej obfitości znanych i zapamiętanych, bo ich, jak wszelkich innych drażniących i podniecających wrażeń, od lat najwcześniejszych chciała być zaczęła.

Pośród słuchaczy jej znajdowali się tacy — kobiety szczególnie — którzy, oprócz rodzinnej i kilku zupełnie do niej podobnych wsi, żadnych innych miejsc pod słońcem nie widzieli; inni do miasta, z którego pochodziła ona, nierzadko nawet jeździli, ale oprócz rynków i kościołów nic wcale w niem nie znali. Niektórzy, jak naprzykład przystojny, śmiały i trochę już surdutowo siermięgę swą przykrawający, Aleksy Mikuła, do znajomości świata niejaką pretensję roszcząc, opowiadaniom Franki potwierdzającym wstrząśnieniem głowy wtórzili, lecz w gruncie, tak samo jak inni, bawili się niemi, gorszyli lub zdumiewali.

W izbie niskiej i dusznej, ze stłoczonych i prawie tuż przy sobie oddychających piersi, z ust, w gapiowatym zdziwieniu rozwartych lub okrążonych szyderczemi czy zadumanemi uśmiechami, wyrzywały się okrzyki zdziwienia, zgorzienia, przerażenia, rozweselenia.

Boże mój, Boże! toż bogactw wszelakich na świecie, jak tego śmiecia w izbie, kiedy przez cały tydzień jej nie zamieść. Toż tam ludzie dokazują, weselą się i grzeszą! Chyba oni nigdy nic nie robią, że im to wszystko do głowy przychodzi. Chyba oni Pana Boga nie lękają się i wstydu w oczach nie mają, kiedy takie rzeczy robić mogą. Człowiek i sto lat przeżyć mógłby, a w pracy i biedzie do głowyby mu nie przyszło, że są na świecie takie bogactwa, piękności, dziwy i grzechy.

Oj, grzechy! Te szczególnie ludzi tych w oczy klóły i w głowach im zamęt sprawiały. Nie dlatego, aby człowiek sam nigdy już Pana Boga nie obrażał i, szczególnie upiwszy się, siakim takim grzechem duszy nie obarczył. Ale zawsze takie marnowanie darów boskich, rozpusty, kłótnie, zabijanie siebie i innych, o jakim ta opowiada, to już piekło, czyste piekło!

Czasem ręce niewiast z wrzecionami, a mężczyzn z toporkami, iglicami i heblami, wdół opadały; z kątów izby w donośny i piskliwy głosik opowiadającej Franki, niby podmuchy wiatru, wpadały basowe westchnienia.

Awdocia, mądre swe czarne oczki, wśród twarzy, do jesiennego jabłka podobnej, szeroko wytrzeszczając, pomarszczoną choć jeszcze rzeźwą rękę ku czołu podniosła, szepcząc: — W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego...

A szept jej głośny, od rozbudzonych uczuć i myśli szepleniący i syczący, zdawał się być szelestem uschłych liści, na glinianą podłogę izby sypanych.

Sama tylko żebraczka Marcela, u stolka, na którym Franka nogi swe wyciągała, na ziemi siedząc, ani dziwiła się, ani gorszyła, tylko bawiła się wybornie. W czerwonej smudze światła, z ogniska na nią spływającej, ze swą czworokątną, ciężką postacią, wyglądała jak kupa łachmanów, z której ku opowiadającej wychylała się głowa, łachmanem owinięta, z szerokim uśmiechem ust bezzębnych. Wśród zoranej zmarszczkami twarzy, w oczach jej spłowiałych i przebiegłych zapalały się migotliwe światełka, nabrzmięte powieki potakująco mrugały, głos ochrypli, do przesuwania piły po drzewie podobny, od czasu do czasu wymawiał:

— Ale! a toż! prawda! wszystko prawda!

Ona tylko to wszystko, o czym mówiła tamta, widziała, słyszała, doświadczała. One dwie były istotami innego rodzaju i świata, rzuconymi w ten ród gruby, ciężki, w ten świat, niczego nieświadomy, naiwny. Tylko gdy starsza, prawie zgrzybiała i łaski ludzkiej potrzebująca, wiedzę swą rozrzacać leniła się i często nie śmiała — młodsza, harda i wiecznym niespokojnym życiem wrząca, czyniła to z uczuciem nieskończonej swej nad otaczającymi wyższości. Gdyby umiała, byłaby ją nazwała wyższością umysłową. Wyrażenia tego przecież w głowie nie posiadając, pełną była pojęcia, przez niego przedstawianego. Pochlebiali jej to niezmiernie i zwiększało w niej wzgardę, którą dla tych ludzi uczuwała. Bawiła się też wybornie. Z wieczornicy wracając, śmiechem głośnym i zanoszącym się chatę napelniała.

— Ot, głupie chamy! ot, bydło! O takich zwykłych rzeczach im gadam, a oni gęby pootwierają i dziwią się, tak jakbym im Pana Boga albo diabła pokazywała! Jak królowa między pastuchami, tak ja między niemi wyglądam. Ale to nic. Wesoło. Czasem mnie zdaje się, że na komedji jestem albo sama komedję odgrywam. No, ciemny lud! No, bydło! Przed każdym z miasta, choćby i najgłupszym, świnie im tylko paść.

I opowiadań jej w siostrzynej chacie, i wesołych drwin z chamskiej ciemnoty i głupoty Paweł słuchał w chmurnym milczeniu.

Ze słyszenia wiedział o tem, że gdzieś na świecie są wielkie bogactwa i rozkosze; ale, jako rzecz niedościgną i niepożądaną, nie obchodziły go one wcale. Nędzy nie znał i zbytków nie pokosztował nigdy: więc ani przeciw razowemu chlebowi goryczy, ani na słodkie przysmaki chciwości nie doświadczał. O tych ostatnich, poprostu, nie myślał nigdy, a kiedy teraz żona mu je pod postacią wspomnianych mieszkań wspaniałych, obiadów smacznych, strojów drogocennych, światła olśniewających na myśl nasuwała, z wyobraźnią na te nieznanne rozkosze całkiem tępą, z duszą zupełnie im obcą, ręką machał i z zamyślnym na ustach uśmiechem powtarzał chłopskie przysłowie:

— Ot, zwyczajnie! Boh z ludźmi robić ihrysko, odnoho wysoko, druho nisko.

Co innego wcale, gdy mowa była o hulankach, romansach, kłótniach, zbrodniach, o tem wszystkim, słowem, co on ogarniał jedną nazwą: grzech. To wszystko w ustach Franki sprawiało mu taką przykrość, że albo kręcił się na zydłu, jak w bólach stękając, albo, łokcie o kolana wsparłszy, a twarz w dłoniach zanurzwszy, w głębokiej medytacji kołysał się w strony obie.

Przez zaciśnięte zęby zcicha wymawiał:

— Pohane życie! Przekłęte życie! Żeby takiego życia ludzie nie znali! Żeby ono wskrósł ziemi poszło!

Czasem, gdy tak medytował, dziwnych doświadczał wrażeń i złud wyobraźni. Słuchając opowiadania o tem, jak wesoło ludzie bawią się na zamiejskich karuzelach, huśtawkach, całonocnych tańcach, i jakie na tych zabawach powstają pijatyki, bójki, choroby, romanse, nagle pod zamkniętymi swemi powiekami spostrzegał wodę błękitną, czystą, cichą, taką, jaką Niemen toczy w nieskazitelnej pogodzie, a nad nią albo różany pas jutrzeńki, albo wełniste obłoki, do stada białych owiec podobne, albo chóry jaskółek, wkółko, wkółko zwijających się nad wodnemi liljami. Czasem ni stąd ni zowąd gołębie nad uchem mu zagruchały, lub jednostajnym, łagodnym szmerem zaśpiewały fale. Wtedy z nad dłoni podniósł twarz zmartwioną, zbrózdzoną i, gdy Franka z nim razem do chaty wróciwszy, nad głupotą chamską od śmiechu się kładła, nie sprzeczał się, wyrzutów jej nie czynił, tylko do umilknięcia skłonić ją usiłował.

— Cichoż już, cicho! — mówił — wolałbym ja, żebyś ty nie pamiętała, że na świecie żyłaś, nim do tej chaty weszłaś. Oj, rozumu nikt nie nauczył, a głupstw tak powyuczali, że i zapomnieć ich nie możesz. Może Pan Bóg Najwyższy da, że kiedykolwiek zapomnisz!

I ze szpumatycznie rozchichotaną tak samo postępował, jak gdy ją nagle płacze porzywały.

Przy sobie ją sadzał, ramieniem obejmował i łagodnie, ojcowsko upominał:

— Cichoż już, cicho! cicho! Hodzi, dzieciatko, hodzi!

Nie sprzeczał się, nie gniewał, nic jej nie wyrzucał, ale częstych wieczornic, wśród których ona królowała, znosić nie mógł, tem więcej, że wydało mu się, iż ona do Aleksego Mikuły zalecać się zaczęła.

Był to najprzystojniejszy i najrezolutniejszy mężczyzna we wsi, a choć parę już lat żonaty i z żoną dobrze żyjący, czasem jeszcze na żart i dla popisu z dziewczkami i młodemi mężatkami poigrać lubił. Z Franką wprawdzie żadnych zaczepek nie szukał, owszem, żartował z niej sobie, w oczy jej mówiąc, że jest już starą i że wcale nie potrzebuje popisywać się przed nim ze swoją miastową mądrością, bo on jeszcze więcej o wszystkim wie, niż ona. Ale jej wydawał się on najpodobniejszym jakoś do dawnych znajomych i przyjaciół; przytem, jak zwykle wypowiadając wszystko, co jej na myśl przychodziło, głośno i bez wahania się trajkotała, że się jej jego butna postawa i szafirowe oczy bardzo podobają.

Razu pewnego, gdy się z nią przekomarzał, garść suszonych wiśni w twarz mu rzuciła, a innym razem ze swego zaimprovizowanego szezlongu nagle zerwawszy się, tuż przy nim usiadła i, białymi zębami błyskając, a czarne kędziory całym lasem z pod chustki wywijając, w samą twarz mu zajrzała.

Tego wieczora Paweł, z chaty Koźluków wychodząc, tak silnie rękę jej schwyił, że aż krzyknęła z bólu i prosić zaczęła, aby ją puścił.

Lecz on mocniej jeszcze dłoń zacisnął i, na piskliwe jej skargi, ani na giętkie u boku jego zwiżanie się nie zważając, do chaty ją wprowadził, drzwi zamknął, lampkę zapalił i obie już jej ręce, tak samo jak wprzód, ścisnąwszy, tonem zapytania przemówił:

— Przysięgłaś?

Nigdy nie przypuszczała, aby oczy jego tak płomiennie pałać mogły, a stłumiony głos brzmieć tak groźnie.

Pomimo bólu, w ściskanej ręce uczuwanego, zapatrzyła się w niego, jak w tęczę.

— Przysięgłaś? — zapytał po raz drugi.

— No, to i co? — spróbowała zuchwale się postawić.

— Odpowiadaj... chuczej, chuczej, odpowiadaj! Przysięgłaś?

Teraz dwie sine żyły przerznęły mu pogodnie zwykle czoło, a oczy stały się czarnemi i czemś czarnem z głębi patrzyły. Ale ona, zamiast bojaźni, uczuła nagle odżycie swoich dla niego zapalów, które przedtem już w niej zwolna ostygają zaczynały. Podobał się jej, okropnie podobał się znowu w tej zupełnie innej, niż zwykle postaci. Było to dla niej coś nowego i zaciekawiającego: jakaś siła, która ją podbijała, i namiętność, która warem po żyłach jej przebiegła.

Z okrzykiem miłości, z tłoczącemi się na ustach wyrazami pieśczości na pierś mu opadła i do ust jego ustami się przykleiła.

On, tak samo jak wtedy, gdy w ciemnym borku, przed mogilnym krzyżem, po raz pierwszy w ramiona ją pochwyił, jak pijak do brzegu czary, do niej przyłgął. Po długiej dopiero chwili zapytał:

— A o grzechu nie pomyślałaś? Aleksego nie polubiłaś? ha?

— Niech tego chama djabli wezmą! tak mnie on w głowie, jak przeszłoroczna zima! Ciebie, Pawełku, lubię! ty mój mileńki, drogieńki, złoty, srebrny, brylantowy!

Uspokoił się zupełnie; wiedział, że nie kłamała nigdy i nawet nic z tego, co myślała lub czuła, utaić nie była zdolną.

Istotnie też i tym razem nie skłamała. Do przystojnego i od innych nieco światowszego mężczyzny czepiać się zaczynała z przyzwyczajenia, z chęci triumfowania, z odrobiny pociągu, który wnet zagasł przy odnowionym zapale do Pawła. Na wieczornice przez czas jakiś wcale nawet nie chodziła i kilka razy sama zamiotła izbę i zgotowała obiad. Po wodę tylko chodzić i krów doić za nic nie chciała; Paweł też jej do zajęć tych nie zwał i na odmowne jej odpowiedzi z pobłażliwym gestem mówił:

— Nu, nu, głupstwo! Niech sobie będzie po twojemu, byle tobie dobrze było, i byle ty sama dobra była.

Zresztą zaniósł raz do niej dość dziwną prośbę.

Było to w niedzielę po powrocie Franki z kościoła. Do kościoła, znajdującego się w pobliskim miasteczku, jeździła ona najczęściej, jak tylko mogła, to z mężem, to z Filipem i Ulaną, to z którymkolwiek sąsiadem, na którego wóz wpraszała się z umizgami i grzeczными słowy. Choć małe, było to zawsze miasteczko, które ciągnęło ją ku sobie. W czasie nabożeństwa przypatrywać się mogła zebrany w kościele różnym ludziom, a potem na sklepiki z towarami popatrzeć, z czegoś pośmiać się, coś zabawnego, albo osobliwego usłyszeć.

Jadąc tam, ubierała się w swoje miejskie odzienie, a do rąk brała książkę do nabożeństwa, wydetą od włożonych w nią świętych obrazków i biletów z powinszowaniami, które niegdyś na imieniny swe otrzymała.

Miejskie odzienie w nikim tu zachwycenia nie budziło, lecz na trzymaną w ręku książkę wielu spoglądało z ciekawością i podziwem. Na książkę tę spoglądając, Ulana więcej uprzejmą, niż zwykle, stawała się dla bratowej, obok niej na wozie siedzącej; wzrok Filipa, zatrzymując się też czasem na czarnych okładkach i złożonych brzeżkach książki, stawał się zamyślonym i poważnym; Awdocia, po raz pierwszy ją ujrzawszy, w pomarszczone ręce klasnęła i zawołała:

— Ot, szczęśliwa, ot, łaskę swoją Pan Bóg Najwyższy tobie okazał, że i z książki chwalić Jego możesz!

Aleksy nawet, gdy raz Frankę razem z żoną swą wieźć miał do kościoła, na widok książki spokojnie trochę, żartować z Franki przestał i, na znak uszanowania, więcej nieco siana w to miejsce, które ona na wozie zająć miała, zgarnął. W nikim przecież ta książka takiego zajęcia i pociągu nie budziła, jak w Pawle. Ilekroć brał ją w ręce, zawsze wprzód ze schyloną twarzą dmuchnął na nią ze stron obu, końcami palców startł z niej resztki niespędzonego przez dmuchnięcie pyłu, a potem, na ławie usiadłszy, powoli, ostrożnie w różnych miejscach ją roztwierał, po drukowanych kartkach wzrokiem wodząc i czasem błogo uśmiechając się, a czasem z milczącą żalnością głową trzęsąc.

Kwadransie niekiedy upływały mu na tej kontemplacji, którą zazwyczaj kończył głębokim westchnieniem i pełnym uszanowania złożeniem książki na miejscu w chacie najparadniejszym, to jest na olchowej, czerwonej szafie, pomiędzy lampką z wysokim kominkiem i samowarkiem z połyskującej blachy.

Raz, kiedy Franka po powrocie z kościoła, jak zwykle, książkę swoją niedbale na stół porzuciwszy, ze szczebiotem i śmiechem kręciła się po chacie, Paweł, od książki wzroku nie odrywając, przemówił:

— Franka! Wiesz co, Franka? Ja ciebie dawno już o jedną rzecz chciał prosić.

W wybornym dnia tego była humorze, bo dziś w miasteczku, kiedy kręciła się po rynku, jakiś pan w zgrabnem futerku — podobno pisarz z sąsiedniego dworu — wskazując ją drugiemu, powiedział:

— Ot, szelma przystojna!

A drugi, starszy, podobno ekonom, głową kiwnął:

— A niczego sobie fryga!

Krótką ta rozmowa, którą usłyszała, sprawiła jej wielką przyjemność.

W dodatku za dwanaście groszy, które jej od kupienia krup i soli zostały, kupiła sobie ze straganu karmelków, które teraz, na ławie jak kotka zwinięta, jak wiewiórka w zębach chrustała.

Usłyszawszy więc słowa męża, uprzejmością i czułością wybuchnęła:

— Ja dla ciebie, Pawełku, wszyściutko na świecie zrobić gotowa!

— Nu, kiedy już ty taka dobra, to bądź łaskawa, naucz mnie czytać.

Ostąpiła zrazu ze zdziwienia, ale potem uczyła się bardzo dumną. Co to znaczy z dobrej familji pochodzić! Gdyby ze złej pochodziła, czytałby nie umiała. Dobrze! Czemuż nie? Wyucz Pawła czytać. Oj-oj! wielkie rzeczy! W domach swoich dawnych państwa ona takie guwernantki widywała, co w głowie mniej rozumu miały, niż ona w małym palcu, a jednak uczyły. Tylko że do tego elementarza trzeba.

O elementarz Paweł jednego znajomego sobie człowieka poprosić miał, a teraz z rozczwienioną twarzą nalegał na nią, aby mu tymczasem na książce do nabożeństwa litery pokazała.

Pokaż, Franka! bój się Boga, choć na książce tymczasem pokaż. Jaż tak długo tego szczęścia żądał!

Znowu zdziwiła się niezmiernie. Cóż to za takie szczęście: umieć czytać?

Ale Paweł tłumaczyć jej zaczął, że niczego ludziom nie zazdrości, tylko tego, jeżeli który umie na książce w kościele Pana Boga pochwalić, a w chacie, kiedy jest czas, różne ciekawe historie poczytać. Po świecie nigdy tułać się nie lubił, to też i nic prawie nie wie, co dzieje się tam za górami, za lasami, a wiedzieć chciałby. W książkach to wszystko napisane stoi, wie o tem, bo, gdy z nieboszczykiem ojcem jeszcze po dworach przebywał, dużo książek widział i ludzi, na nich czytających, słyszał. Ekonom tam czasem żoncy swojej

na głos czytywał i ochmistrzyni, kiedy w dobrym humorze była, w niedzielę, czy święto jakie, ojca jego do swego pokoju wołała i głośno z książeczek różnych czytała. Słyszał też czytające głośno panienki, i pod ganek, na którym one siedziały, zakradłszy się, słuchał. Często rozmyślał, jakby to nauczyć się? ale nie było jak i od kogo. W tej wsi dwaj ludzie są tacy, co czytać umieją, ale do nauczania kogoś ani czasu, ani ochoty nie mają. Teraz przecież on razem z żonką i to szczęście do swej chaty wziął. Ona go nauczy i Boga lepiej chwalić, i z ciemności na światło wychodzić, i może lepszym zrobić się, niż do tego czasu był, bo, słyszę, w książkach różne sposoby takie podają, przez które ludzka dusza, jak ta gołąbka, bielutką stać się może.

— Głupstwo dusza i głupstwo gołąbka! — zeskakując z ławy, zawołała Franka — ale, że w książkach ciekawe historie opisują, to ciekawe!

Ona sama lubiła czasem poczytać sobie, a u niektórych jej pań dużo książek było: więc je brała i czytywała, albo nocami, w pościeli leżąc, albo w świąteczne dni z kimkolwiek ze swoich gości w garderobie lub kuchni.

Jedną z tych przeczytanych historii teraz Pawłowi opowiadać zaczęła. Czytała ją, jakgdyby to wczoraj było, tak pamięta, z jednym lokajem, w którym kochała się podówczas. Był to romans jakiś, pełen zdumiewających i okropnych przygód i wrażeń. Figurowali w nim zbójcy, trucidziele, zgubione kobiety, podrzutki, niezmiernie cnotliwe księżne i do najwyższego stopnia szlachetni hrabiowie. Franka opowiadała go dokładnie z ognistą gestykulacją i mimiką, najszerzej i z największą lubością rozwodząc się nad romansami i zbrodniami; aż jej oczy pałały i drgały mięśnie twarzy. Tyle ze swojej umiejętności czytania skorzystała.

Paweł, choć w części tej ślicznej, jak ją Franka nazywała, historii, nie zrozumiał, a w części jej się przeląkł, wcale się do przedsięwzięcia swego nie zniechęcił.

Zima była tęga; na rzece, grubą warstwą lodu opancerzonej, mało co robić było można; czasu więc miał wiele i odtąd codziennie to w południowych, to w wieczornych godzinach od Franki żądał, aby mu czytać „pokazywała”.

Ona zrazu chętnie tę prośbę spełniała. Przy sosnowym stole, starannie przez Pawła wytartym, przed małym oknem, za którym na ogrodzie wzdymały się puchy śniegowe, i stała szronem okryta grusza, w surowym, bo niczem nie przyćmionem świetle białej zimy, nad otwartą książką lub elementarzem oboje zasiadali.

W chwilach tych, ten wysoki, silny, przeszło czterdziestoletni człowiek w dziecko pokorne i lękliwe przemieniać się zdawał. Z zydła, nad stołem tak pochylony, że na dwoje jakby złamany, w litery, które mu Franka końcem palca pokazywała, z takim wyężeniem oczy wlepił, iż zdawać się mogło, że z pod szeroko rozwartych powiek wyskoczą. W twarzy jego, bibuły prawie dotykającej, dziwne zachodziły zmiany: brwi podnosiły się wysoko, czoło w dwie grube zbiegało się zmarszczki, wykrzywiały się policzki i wydymały wargi.

Kiedy już pierwsze głoski alfabetu rozpoznawać się nauczył i monotownie, powoli wymawiał: a, b, c... oderwane dźwięki jego głosu podobnymi były do stękań, z trudnością z piersi dobywanych. Z trudnością wielką rozróżniać mu przychodziło te drobne, czarne, kręte linje, wzrokowi jego dotąd zupełnie nieznanne; z powolnością niezmierną mózg jego rozpoczynał czynność, dotąd zupełnie mu obcą.

— D... e... f... — stękał i wzdychał, nie czując i nie wiedząc sam, że ręce, pod stołem na kolanach złożone, tak silnie łamał, iż stawy palców na całą izbę trzeszczały.

— G... h...

Nad następną literą siadywał długo w milczeniu, kurcząc się coraz bardziej, z wielkimi kroplami potu na zmarszczonym czole. Trudno mu było odróżnić ją od jednej z następujących. Nakoniec zcicha, lękliwie wyszeptał:

— L...

Franka, która przy każdym utknięciu męża nad którą z liter niecierpliwie kręciła się na stolku, z krzykiem teraz zerwała się z siedzenia:

— Ot, dureń! L... l... l... jakież to l, kiedy kropka na wierzchu stoi! Ot, chamska głowa! Taki ty do czytania zdalny, jak wół do karety!

Na obelżywe jej wyrazy wcale uwagi nie zwracając, jedną palącą chęcią ogarnięty, pokorne spojrzenie ku niej wznosił.



— Nu, Franka, nie gniewaj się! cichoż już, cicho! już ja sobie przypomniał, że to i... z kropką na wierzchu... nu, siądź i jeszcze troszkę pokaz... cicho! cicho!

Za rękę ją ku stolowi przyciągał i rozkrzyczaną pokornie uspokajał:

— Widzisz, Franka, ja do tego nie przyzwyczajony... ale ty poczekaj troszkę... poczekaj... moja mileńka... niechaj trochę przywyknę...

Siadała znowu, ale już nadąsana, niechętna i za każdą omyłkę coraz srożej go gromiła. On i to znosił cierpliwie.

— Poczekaj, mileńka — powtarzał — poczekaj troszkę... niechaj przywyknę.

Przywykał istotnie dość prędko i, cały alfabet wybornie już umiejąc, raz wieczorem przy świetle naftowej lampki dość biegle już bąkał: b, a, ba, b, e, be, — kiedy Franka, jak sprężyną podrzuciona, ze stołka się zerwała i krzyknęła:

— Nie chcę! nie będę! Dość już tego! niech to czytanie djabli wezmą! Czy ja u ciebie za guwernantkę najęła się? Nuda mnie taka żre, że chyba jak pies wyc zaraz zacznę!

Na pościel jak długa upadła i, z twarzą do sufitu obróconą, z rękoma nad głową wyprężonemi, poziewać zaczęła. Poziewanie to, przeciągłe i głośne, istotnie do wycia podobnym było.

Paweł, zmartwioną twarz z nad elementarza podniósłszy, milcząc, na nią popatrzał, głową kiwnął, ręką lekceważący gest uczynił.

— Ot, jeszcze do ciebie czasem złe przystępuje. Musi spać chcesz, kiedy tak drzesz gębę. Nu, i dobrze, kiedy spać, to i spać.

Lampkę zgasił i po kilku minutach głęboko już usypiał.

Ale jej wcale do snu nie było.

W długie zimowe noce napadały ją trwogi i przerażenia, zarówno przez grobową ciszę, jak przez napełniające ją niekiedy głosy obudzane. Gdyby choć jeden turkot kół, choć jedno gwizdnięcie nocnego stróża, choć jedno zatętnienie śpieszących się stóp ludzkich po zmarzłym chodniku ulicy, choć najbledszy odbłysek ulicznej latarni, choć najsłabsze echo muzyczki, zabawie nocnej kędyś przygrywającej!

Gdzie tam! Nie było tu nic, nic z tego, co ją niegdyś uspokajało i rozweselało, ilekroć rozmarzona, wzburzona lub chora, usnąć nie mogła.

Tu w mroźne, spokojne noce panowały takie ogromne, rozległe cisze, z taką bezdennością, zda się, ciemnością czasem połączone, że jej się wydawało, jakby głęboko pod ziemią leżała. Niekiedy w tę ciszę i ciemność wpadało silne stuknięcie, do wystrzału z pistoletu albo do uderzenia kamieniem o ścianę chaty podobne. Franka wyprostowana i z natężonym słuchem na pościeli siadała, a gdy stuknięcie powtarzało się, ramię śpiącego męża targać zaczynała. Z trudnością rozbudzonemu Pawłowi przerażonym szeptem mówiła, że do chaty ich dobiegają się rozbójniki. On w to nie wierzył, bo, odkąd żył na świecie, w tej wiosce żadnych rozbójników nie bywało; w ciszę i ciemność wsłuchiwał się przecież, a gdy stuknięcie powtórzyło się jeszcze, ze śmiechem żonie oznajmiał, że to z takim hukiem ściany chaty od mrozu pękają. Przekonała się zczasem, że tak było istotnie, ale nigdy z temi nocnymi głosami oswoić się nie mogła.

Mróz, jak lodowy olbrzym, gniewnie i smutnie tułał się po wsi. To w jedną ścianę chaty, to w drugą, to daleko, to blisko uderzał; pękaniem i cichym trzaskiem odzywał się dokoła małych okien; za oknami po płotkach ogrodu chodził, i z oddalenia jeszcze słychać było, jak dokoła chaty Kozłukowej błędził. Wprawdzie to tułanie się po wsi i wśród czarnych nocy lodowatego olbrzyma zdarzało się nieczęsto, lecz i odwilże niememi nie były.

Mróz stukał, pękał, trzeszczał, one zaś wzdychały, szeptały, szlochały. Wiatr wzdychał, u okapu chaty roztapiające się sople lodu cichym pluskiem płakały, u ściany stara grusza szeleściła, i zaledwie dosłyszalne szeptu rozbiegały się nad topniejącym śniegiem po suchych badylach ogrodu. France zdawało się wtedy, że słyszy dokoła chaty ciche zmywy zaczajonych złoczyńców, albo westchnienia błędnych i udręczonych duchów. Przypominała sobie cmentarz pobliski i wszystkie historie o duchach i strachach, których znała mnóstwo. W ciemnej izbie rozlegał się szept głośny i przerażony:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego... Jezus, Marja i wszyscy Święci Pańscy, ratujcie!

Przy świetle dziennem, w humorze dobrym, gotowa zawsze ze śmiechem zawołać: — Głupstwo Pan Bóg! głupstwo dusza! — w nocnych ciemnościach wierzyła w powracającą z tamtego świata dusze i przyzywała na pomoc nie tylko Boga, ale i świętych, których imiona poznała ze znajdujących się w jej książce do nabożeństwa litanij.

Najgorzej jednak bywało, gdy nad uśpioną wioską rozhulały się wielkie zimowe wichry. Z pól szerokich, z głębokiej kotliny Niemna, z pod utopionego w ciemnościach nieba przylatywały one, powstawały, spadały i nad szeregiem niskich, pod śniegowymi koldrami śpiących dachów, dokoła ciemnych, śniegowymi wałami otoczonych ścian, odbywały się szalone orgje. Powietrze napełniało się wtedy kotłowaniem i wrzaskiem wszystkich głosów świata. Były to uganiające się z sobą olbrzymie kule czy kłęby, które w szalonym rozpędzie uderzały o siebie z trzaskiem piorunów lub hukami armatnich wystrzałów: grzmoty, z nieustannym turkotem od końca do końca ziemi pędzące, przeraźliwe wycia smaganych psiarni, krzyki mordowanych, płacze zrozpaczonych, przeciągłe błagania topiących się w groźnych szumach, łopoty mnóstwa skrzydeł, połączone z trzaskiem walących się gmachów.

Wszystko to piekielnym hałasem i szaleństwem napełniało ciemne przestworza, lecz ludzi usypiających pod niskim szeregiem dachów, w śniegowe koldry otulonych, nie budziło wcale. Pod wszystkimi tymi dachami, spokojnie i bezpiecznie w srogich, lecz dobrze znanych ramionach natury usypiającymi, jedna tylko istota siedziała na pościeli, wyprostowana, ze wzrokiem w ciemność utkwionym, z wyprężonym słuchem, z oddechem zamierającym w piersi i z potem na czole. Teraz była pewną, że zaraz, zaraz roztworzą się na oścież trzeszczące i skrzypiące drzwi i okna chaty, a przez nie wleci cały tłum wściekłych szatanów, lub, że wnet, wnet, te szalejące wichry chatę wywrócą i dach jej i ściany na nią zwałą.

Znowu męża za ramiona targąła:

— Chata zawali się! Paweł! Paweł! uciekajmy gdziekolwiek, chata zawali się!

Sennym i zdziwionym głosem zapytywał:

— Czemu?

— Posłuchaj! — odpowiadała.

Słuchał chwilę, a potem, na drugi bok przewracając się, mówił:

— Głupstwo! nie zawali się! czy to pierwszozna?

— Pawełku, — prosiła wtedy — zapal lampkę... mój drogieńki, złoty, brylantowy, zapal!

Ale długo go prosić nie potrzebowała. Wstając i zapalając lampkę, zapytywał:

— Czemuż sama nie zapaliłaś?

— Aha! ja i oddychać bałam się, nie tylko co!

— Głupstwo! — powtarzał — przeżegnaj się i śpij.

Zaledwie to wymówił, usnął znowu, a ona, przez zapalone światło trochę uspokojona, nie kładła się jednak; na pościeli siedząc, ze wzburzonymi włosami i nieoschłym jeszcze potem na czole, śpiącemu obok niej człowiekowi przypatrywać się zaczynała.

Paweł sen miał, z łatwością przychodzący, twardy, a kiedy nieruchomy i z zamkniętymi powiekami leżał, wydawał się znacznie starszym, niż wtedy, gdy poruszał się i patrzył. Gibkość ruchów i przezroczysty błękit oczu nadawały mu czasem pozór prawie młodzieńczy. Teraz zmarszczki, które miał na czole, stawały się wydatniejszymi, a poważny układ warg całą twarz czynił surową.

Franka, z wlepionymi w niego oczyma, przez zaciśnięte zęby wymawiała:

— Bałwan! znów zasnął!

Przytem, jaki on teraz brzydki! Wcale inaczej wyglądał, kiedy go po raz pierwszy w czólnie na Niemnie ujrzała. Taki jej wtedy wydał się zgrabny i tak na nią ładnie patrzył. A teraz...

Znowu przez zaciśnięte zęby wymówiła:

— Stary!

Dokoła chaty wiatr hulał, świstał, grzmiał, wyl i turkotał, złe błyski przelatywały po czarnych źrenicach kobiety, która, ze wzburzonymi włosami na pościeli siedząc, przypatrywała się uśpionemu obok niej mężczyźnie.

Jednak kiedy o świcie budził się i, zaledwie zaczynając usypiać, ku sobie ją przyciągnął, jak rozpieszczona kotka poddawała się jego uściskom, pocałunkami go zjadała,

miłosnemi szeptami upajała, a w kilka godzin potem, ze śmiechem i szczebiotem z pościeli zeskoczywszy, ochotczo związała się około rozpalonego ognia i przyrządzania stawy.

Ale zdarzyło się, i coraz częściej zdarzać się zaczynało, że, niedawno uspięnej nie budząc wcale, Paweł wychodził z chaty, aby do przerębli, w której, wczoraj sieć był zapuścił, zajrzeć, albo, gdy lód pękać już zaczął, na kry płynące popatrzeć, a z nich możliwość i kierunek najbliższy połowów wymiarkować. Zmysłowość podstawowym czynnikiem natury jego nie była i, choć podniosła się w nim gwałtownie, tem gwałtowniej, że późno i po raz pierwszy, ustępowała teraz pod ociążałym nieco spokojem ciała i ducha, przed skłonnością i przyzwyczajeniem do długich, milczących zamyślań się i kontemplacji.

Kiedy po pęknięciu lodów po raz pierwszy na brzegu rzeki stanął, całą może godzinę, z brodą na dłoni opartą, nieruchomie przestał, oczyma tylko po roztaczającym się przed nim widoku wodząc. Niebo miało już wtedy ciepły błękit nadchodzącej wiosny, a na niem wzbijało się z nad boru samotne, bladawe, lecz już ciepłe słońce.

Za rzeką płachty i wzgórze roztapiającego się śniegu białeły wśród ciemnej zieleni sosen, po których wierzchołkach z urywanem, radosnem krakaniem skakały z podlatywaniem wrony.

Rzeka wyglądała, jak nieścigniony szlak płynącego srebra, okryty żeglującymi po nim tafłami, pagórkami, domkami z kryształu. Gdzie niegdzie słychać było kipienie i warczenie wody, jeszcze pod grubą szybą lodu uwięzionej; lecz środkiem szerokim, to tłumnie i szybko, to samotnie i poważnie, płynęły te kryształowe twory, lśniące, przezrocyste, tu i owdzie przez promień słońca pozłoczone, albo barwami tęczy nalane i opasane. Było ich tak wiele, że wydawać się mogły fantastycznym i nieprzeliczonym ludem, w pośpiechu i milczeniu z jakichś nieznanych i niesłychanych stron uciekającym. Zaledwie przepłynęły jedne, napływały inne i, gdy tamte u jednego widzialnego końca rzeki zdawały się stłaczać w gród, wieżami i dachami nastrzępiony, u drugiego końca takież gród rozdrabniał się na cząstki i niemi szlak płynącego srebra okrywał. Wszystko to odbywało się w wielkiej ciszy powietrza, którego chłody podszywało słabe i chwiejne ciepło, a napełniała słaba także, lecz stała woń już odmarzłej i pod śniegowymi roztopami zaczynającej swobodnie oddychać ziemi.

Co rok Paweł widok ten miewał przed sobą i co rok witał go przyjaznym uśmiechem i radosnym błyskiem oczu. Nie tyle było w tem zachwycenia, przez piękność natury obudzonego, ile przyjemności, ze spotkania się z czemś dobrze i dawno znanem płynącej.

Możnaby mniemać, że dla przyrody uczuwał on to potężne przywiązanie, z którym niemowlę, imienia matki wymówić nie umiejące, rękoma i usty czepia się jej piersi — które może ślimak do swego wapiennego domku i robak do swojej rodzinnej grudki uczuwa. Jednak, oprócz tej serdecznej przyjaźni z naturą, doświadczać on musiał na widok jej zjawisk rozkoszy i zachwyty, bo kiedy, z góry zstępując, po raz pierwszy tej wiosny płynące kry zobaczył, jak wryty stanął i taki okrzyk z rozwartych ust wydał, jakby je zobaczył po raz pierwszy w życiu. Potem przypatrywał się im z brzegu całą godzinę tak pilnie i bacznie, jakby je liczył.

Za temi, które miały osobliwe kształty, dłużej niż za innymi wzrokiem wiodł; na widok jednej, do kapliczki ze szkła podobnej i tęczowemi błyskami u szczytu połyskującej, głową pokiwał i językiem mlasnął.

— Ot, śliczna!

Stukiem siekiery z tej kontemplacji obudzony, obejrzał się i zobaczył Filipa, który prom swój naprawiać i do puszczenia go na rzekę przysposabiać zaczął.

W robocie tej trudność snadź jakąś spotkał, bo do szwagra zawołał:

— Pomaży, dziewier! zmiłujśia, pomaży!

Paweł drugą siekiere, dla Daniłka przygotowaną, z ziemi podniósł i pilnie, choć z powolnemi ruchami, ogromne gwoździe w grube deski wbijać zaczął.

Tak obadwaj w cichem, porannem powietrzu siekierami gorliwie stukali, aż i Ulana z dwoma wiadrami po wodę zesła, i inne kobiety z wiadrami też albo dzbankami ukazały się na brzegu, a kilku mężczyzn tu i owdzie poczęło ściągać z góry łodzie i czółna, które już wkrótce potrzebnymi być miały, i albo siekierami rozluźnione ich deski zbijać, albo poczynione w nich otwory smołą zalewać.

Brzeg zawrzał życiem, robotą, zamaszystemi ruchami ramion, głośnemi rozmowami. Przed rozpoczęciem zajęcia wszyscy choć przez chwilę na płynące kry patrzali, głowami kiwali, palcami sobie wzajem największe i najdziwniejsze z nich ukazywali.

Kobiety, z głośnym piskiem w ledwie odmarzłą wodę bose stopy pogrążając, odważnie przecież i pośpiesznie napełniały nią wiadra i dzbany.

Kilku chłopców, pod przewodnictwem swawolnego Daniłka, na krę najbliżej brzegu płynącą dostawszy się, z krzykiem triumfu i trwogi naprzemian po ruchomej tafli lodu ślizgać się próbowało; Filip, podniósłszy się z nad roboty, donośnie młodszego brata za swawolę i próżniactwo gromił, a Paweł, także na chwilę robotę przerywając, kilku najbliżej znajdującym się ludziom przepowiadał, że wiosna w tym roku rychłą i ciepłą będzie; już on to według zapachu ziemi i pory, w której kry płynąć zaczęły, miarkuje. Temu gwarowi, na jednym brzegu powstałemu, odpowiadał na drugim gwar wron, które rozkrakały się, jak opętane, i czarnemi stadami nad borem latały, a na szczycie góry od końca do końca wsi płynąć zaczęły, stłumione ścianami obór, ryk krów i beczenie owiec. Koguty też tam piał, i psy szczekały w zawody ze stukającymi u dołu siekierami, budząc w dalekich głębiach boru przewlekłe echa.

Franka w tej porze, skrzygnięciem otwierających się drzwi obudzona, rozczochraną głowę od poduszki odrywała i zaspanym wzrokiem spostrzegła naprzód kij sękaty, o podłogę izby ze stukiem uderzający, a potem u samego progu przysiadającą na ziemi kupę lachmanów.

— Niech będzie pochwalony... — ozwał się głos, do pociągnięcia piły po drzewie podobny.

Franka, leniwie wyciągając się na pościeli, mówiła:

— Zmiłuj się, Marcelka, ogień rozpal, niech ja sobie jeszcze troszkę poleżę.

Z żebraczki tej, za misę strawy, niekiedy szklanek herbaty albo kawał słoniny i garść mąki, służę sobie uczyniła. Była też ona jej powiernicą i ze wszystkich mieszkarek wsi jedyną, której towarzystwo lubiła i której nigdy nie nazywała chamką. Wzajemnie zwierzały się przed sobą. U progu na ziemi siedząc, albo na ławie z zielonawej szklanki mętną herbatę popijając, Marcela oddawna już życie swoje France opowiedziała. Wypadkiem, wśród wiejskich kobiet zupełnie wyjątkowym, nigdy zamężną nie była, przez całą młodość po dworach przetułała się, to ciężko harując, to hulając sobie i panując, jak zdarzyło się, jak dola zrządziła.

Był bowiem taki czas, w którym i ona panowała i szczęśliwą była, w pięknych sukniach chodziła, tyle tylko pracowała, ile sama chciała. Pan był młody i jak swoją duszę ją lubił. Nie żenił się z nią, bo chłopką była, ale lubił i byłby może nigdy lubić nie przestał, byłby może kiedykolwiek i ożenił się, gdyby majątku nie stracił i w dalekie strony do wielkiego miasta nie wyjechał. Gdzież mu już było, kiedy i sam był biedny, ją z sobą do wielkiego miasta brać? Pojechał i zapomniał. Ona także zapomniała, i różne potem szczęścia i nieszczęścia ją spotykały; ale, kiedy już całkowicie postarzała i na żebractwo zesła, coraz częściej sobie to pierwsze swoje szczęście przypomina, jaką była wtedy, i jaki on był, i co w te dawne, dawne lata widziała i doświadczała.

Oj, cudności i dziwy wszelakie ona wtedy widziała i rozkoszy wszelakich doświadczyła; o nich też, o zabawach i przysmakach pańskich, o pokojach pięknych, o muzykach wesołych, naprzemian wdychając, to chichocząc, głowę żałośnie trzęsąc, to w same ucho słuchaczki coś szepcząc, France rozpowiadała. Franka zaś rozwartemi ustami, z za których białe zęby błyskały, i rozbłysłymi od współczucia i ciekawości oczyma zdawała się pić i pochłaniać te zwierzenia, które w jej własnej pamięci rój wspomnień budziły. Zkolei więc przypominała sobie i swoją szybką, gorączkową mowę przed Marcelą malowała lata swej pierwszej młodości i napełniające ją miłosne wrażenia.

Smutnie, gorzko zamysłały się potem obie, Franka głośnie wyrzekać zaczynała:

— Oj, czemu mnie całe życie tak samo nie przeszło, jak wtedy przechodziło! Czemu ja teraz taka nieszczęśliwa, że i nadziei tej mieć nie mogę, aby ono kiedykolwiek jeszcze do mnie powróciło!

A stara żebraczka, która imię nadziei oddawna już wymawiać zapomniła, z rękoma na kiju splecionymi, w ziemię patrząc, wdychała:

— Oj, chciałabym ja przynajmniej wiedzieć, czy ten mój gołąbek mileńki po świecie jeszcze nóżkami swemi chodzi? Czy główka jego spokojna i szczęśliwa? Czy robaki pod ziemią oczek mu nie wyjedli?

Czasem, gdy tak wzdychała i zawodziła, łzy wypływały z pod jej opuchłych powiek i po kredowych, pomarszczonych policzkach, jak mętne krople ciekły.

Raz w chwili takiego rozczulenia powiedziała France, że dwoje dzieci miała: syna, który, zaledwie dorósłszy, umarł, i córkę, która żyje, ale głupowata, niezdarna, po najpodlejszych służbach chodzi i jej w niczem pomocą być nie może.

Powiedziała to bez wahania, bez zawstydzenia, ot, tak, jako rzecz zupełnie prostą, i która w tej chwili na pamięć jej przyszła. Ale wnet przypomniała sobie także, ile biedy, pracy, kłopotów z dziećmi temi miała, jak jej dla wyżywienia ich i przyodziania ręce od pracy mdlały, jak musiała i za nich i za siebie wysługiwać się ludziom, i jak za to wszystko na starość nic jej, oprócz żebractwa, nie pozostało.

Brwi siwe nasepiła, źrenice jej z za powiek opuchłych i czerwonych srogie błyski ciaskały.

— *Kab im dobra na tym i na tamtym świecie nie było! Kab ich paralusz naruszył! Kab im kości pokrucilo!*

Po chłopsku zlorzeczyła dachom, pod którymi kochała, weseliła się, pracowała, cierpiała i z pod których w ostatecznym wyniku nic nie wyniosła, oprócz samotnej, żebraczej, okrutnej starości.

Franke też porywały gorzkie urazy i gniewy. Zrywając się ze stolka, z żywymi gestami szczupłych ramion, przekleństwom i skargom żebraczki wtórzyć zaczynała.

— A jaż co zyskała u nich! Figa, rożek i pierożek zostawały mi zawsze z każdej tej miłości i z każdej tej służby. Kiedy najwięcej lubiłam, lubić przestawali. Kiedy chorowałam, do szpitala mnie rzucali. Kiedy zamąż szłam, trzy dziurawe koszule miałam. Oj, świat! oj, ludzie! Żeby taki świat pioruny spalili! Żeby tacy ludzie wskrósł ziemi przewalili się!

Na sferę świata, w której spędziły młodość i z której uniosły nagie ciała i puste dusze, z serc i ust wyrzucały namiętne przekleństwa, ale za kwadrans, za godzinę, najdalej naza-jutrz, znowu o powabach jej, uciechach i zaznanych wśród niej wzruszeniach i rozkoszach wspominały z zachwytem, tęsknotą i żalem.

Raz, o szarej godzinie, Marcela, u progu izby na ziemi siedząc, po zjedzeniu kawałka chleba i sera, w długie wpadła milczenie. Tylko co powiedziała France, że do miasta jutro pójdzie, aby przez nadchodzący wielkanocny tydzień trochę groszy od dobrych ludzi nazbierać, jest to bowiem pora, w której ludzie najwięcej żebrakom dają. Franka aż zatrzepotała cała, o wycieczce Marceli do miasta usłyszawszy. Onaby także tam poleciała, na skrzydłachby poleciała, aby domy i ulice, przyjaciół i przyjaciółki zobaczyć, choć raz po dawnemu poweselić się i pohulać. Ale gdzie jej tam teraz o takim szczęściu myśleć. Już za nią kłamka zapadła, już ona sama siebie w grobie zagrzebała. Siedzieć jej teraz tylko w tej chacie, wiatrów wiejących słuchać i na chamów patrzeć. Ot, co ona z sobą zrobiła...

Długo mówiła w ten sposób, ale, od Marceli odpowiedzi żadnej nie otrzymując, w kącie izby na ławie skurczona w ponure milczenie zapadła.

Cisza i zmrok napełniały izbę. Ze wsi dochodziły odgłosy do monotonnego szmeru podobne; na przeciwnym brzegu rzeki głos męski i donośny, każdą zgłoskę przewlekłe jakby śpiewając, wołał:

— Po-rom! po-rom!

A wnet potem dało się słyszeć szybkie zbieganie z góry Filipa i Daniłka. Na świecie wiosna roztapiała resztki chłodu, pachniała odżywiającymi igłami sosen, zieleniała młoda trawą. Na dworze bawiące się dzieci Koźluków u bliskiego płotu wybuchały czasem płaczem lub śmiechem.

Dwie kobiety, w mrocznej izbie zdala od siebie siedząc, milczały, i po długiej dopiero chwili z szarzejącej u drzwi kupy łachmanów wydobyło się coś naksztalt śpiewu:

Powiej, wietre, powiej, wietre, z zielonoho haju,  
Powiernisia nasz panoczek z dalokoho kraju!  
Jak ja maju powiewaci, koli haj wysoki,  
Jak ja maju powiernuścia, koli kraj daloki!

Dziwny to był śpiew: basowy, ochryply, dygoczący, do wywodzenia tonów sił nie mający, jednak pełen żalości i skargi. Wnet też, po prześpiewaniu jednej strofy pieśni, Marcela wzdychać zaczęła tak głośno, że to wzdychanie, jak przedtem śpiew całą, coraz ciemniejszą, izbę napełniło.

— Och, och, och! Och, och, och!

Ale wkrótce wzdychanie to zastąpił świszczący szept:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Ojcie nasz, któryś jest w niebiesiech...

W szepcie tym słyhać było skrucę, pokorę, szczere i błagalne wznoszenie się sierocęj i znękanęj duszy ku Niebieskiemu Ojcu.

Odmówiła cały pacierz, przeżegnała się znowu i wnet potem innym już zupełnie tonem przemówiła:

— Aaa! a jaż tobie nowinę powiedzieć zapomniałam!

Głośno i przeciągle poziewając, Franka zapytała:

— Jakaż to nowina?

— Już jakieś państwo z miasta pałac na lato najęli.

Franka wiedziała, że chłopci tę willę, w której zeszłego lata parę miesięcy spędziła, i z której wziął ją Paweł, pałacem nazywają.

Z ławy poskoczyła, w ręce klasnęła.

— Już najęli! a, moją ty mileńka, czemuż ty mnie pierwej tego nie mówiła? Ot, ciekawość, kto to taki ci państwo? Może znajomi? Może kogo znajomego z sobą przywiozą? Jak tylko przyjadą, polecę dowiedzieć się i popatrzeć! Nie wiesz czasem, Marcelko, czy bogaci, czy młodzi, czy dużo służby trzymają?

### III

Dzień jesienny zbliżał się do końca, powietrze chłodne i nieruchome napełniał zmrok przedwczesny, zaprawiony sinawą barwą, od ciężkich, ciemnych, niskich kłębow chmur spływającą. Kłęby te, ogromne i mniejsze, jakby roztopionym ołowiem nalane, ciężko, leniwie, bardzo powoli przewalały się po gdzieś niegdzie bardziej widzialnej białości obłoków, a u zachodniej strony widnokręgu stawały jedną grubą, wysoką ścianą, po której mętnych, sinawych szarzyznach płynęły fale i plamy brudnego granatu i smołowej prawie czarności.

W tym przedwczesnym, smutnym, sinawym zmroku, w powietrzu chłodnym, nieruchomym, jakby zamarłem, bo dźwięków, woni, nawet oddechów wiatru pozbawionem, szereg niskich domostw, u szczytu nadrzecznej góry wyciągnięty, stał cicho, nieruchomie, jakby sennie.

Kędyś tam na szerokich polach, gnijącym ścierniskiem usłanych i uschłemi łodygami roślin nastrzępionych, ostatni w roku i dniu oracze zatapiali jeszcze lemieszce w pociemniałej od deszczów ziemi i przewlekłymi wołaniami zachęcali zmęczone zwierzęta do przeciągnięcia pługów po ostatniej, jeszcze nie zoranej, bródzie. Ale na ulicy i podwórkach wsi ludzi widać nie było.

Wszystkie nazwąttr chat roboty pokończone zostały, ogrody stały pustką, żadna gałąź nie poruszała się na żadnym z drzew, огоłoconych z liści i na granatowoczarnem tle nieba rysujących ciemne, koronkowe wzory. Tu i owdzie nisko nad ziemią okna zapalały się, jak złotawe lub czerwone ogniki, a wyżej z kominów wypływały dymy, lecz zamiast wstęgami rozwijać się ku górze — smutno i ciężko takimiż kłębami, jak te, które wisiły pod niebem, staczały się ku ziemi.

Wśród tego zmroku i tej nieruchomości rzeczy i ludzi Paweł stał tak przede drzwiami swojej chaty w postawie słupa, wkopanego w ziemię. W rękę trzymał krótką fajkę i bezwiednie podnosił ją czasem do ust, ale za każdym razem ręka jego ciężko wdół opadała, a z fajki nie wydobywało się ani trochę dymu, bo oddawna już ona zagasła.

Z pod daszka czapki, nisko na czole zsuniętej, wyrazu i kierunku jego spojrzenia dostrzec nie było można, ale po ustach i dolnej części ściągłych policzków przebiegały wciąż krótkie drgania, jakby od wewnętrznych łań czy bólów pochodzące. Czasem drgania te wykrzywiały mu usta tak, jak, to bywa u dzieci, które wzbierający w nich płacz powstrzymują, lub wrywają z nich ciche, przeciągłe okrzyki bezgranicznego zdziwienia.

Oślupiały, jak w ziemię wkopany, wszelkiego ruchu pozbawiony, Paweł wymawiał czasem:

— Aaaaa!

I znowu milcząc, z pod daszka czapki kędys daleko na pola, za ostatnimi płotami wsi leżące, czy na wijącą się wśród nich i daleko uciekającą drogę spoglądał.

Za Niemnem ozwało się i w głębokiej ciszy przeciągle, posępnie popłynęło wołanie:

— Proooooom! Proooooom!

Drzwi Koźlukowej chaty ze stukiem otworzyły się i zamknęły, dwóch ludzi przebiegło wąskie podwórko, i dwie pary męskich stóp zatętniły na stoku góry.

Za Niemnem parę razy ozwało się jeszcze wołanie:

— Proom! Proom!

I umilkło, bo pokład z desek, do dwóch dużych łodzi przytwierdzony, szybko już mknąć zaczynał ku piaszczystemu brzegowi, na którym mętnie ciemniały zarysy parokonnej bryczki. Pod ciemnymi, niskimi chmurami, na ciemnej wodzie, toczącej się zwolna i ciężko, prom i prowadzący go ludzie wyglądali jak widma.

Rytmicznie, cicho — bez najlżejszego plusku i szelestu, Filip i Daniłko odginali wtył wysokie swe postacie i znowu je prostowali. Rysy i odzież ich zmrok zacierał tak, że wydawali się czarnymi, z czarnym promem zrosniętymi linjami, a długie szosty od rąk ich ku wodzie rysowały suche, czarne, ukośne linje. Wtedy dopiero, kiedy prom całą szerokość rzeki przepłynął, na przeciwległym brzegu ozwały się niewyraźne, bo przestrzenia zgłuszone, rozmowy.

Wtedy też Paweł, przede drzwiami swojej chaty stojący, przeciągle i cicho przemówił:

— Jezuz mój! Jezuz! Jezuz!

Niewiadomo było, czy wołanie o prom słyszał, lub czy dźwięk jakikolwiek mógłby mu w tej chwili przedrzeć się do świadomości i na świat zewnętrzny wydobyć duszę, pogrążoną w jakiejś głębokiej topieli.

Tylko powolnym ruchem ręki wyżej nieco na czole czapkę podniósł, i wtedy dopiero dojrzeć było można, że patrzył na drogę, po polu wijącą się i aż pod daleki ciemny skłon chmur uciekającą.

Od rzeki na górę powoli i z przytłumionym przez wilgoć turkotem wjeżdżała parokonna bryczka; w tej samej chwili z za węgla Koźlukowej chaty wyszedł Filip. Dla pośpiechu widać naokoło płotka, rozdzielającego ogród, nie obszedł, lecz, przestąpiwszy go z łatwością, puste zagony kilku szerokimi krokami przebył i przed Pawłem stanął.

— Dziewier! — przemówił — nie gniewaj się na nas, bądź łaskaw, ale my teraz uradnika przez rzekę przewozili i wszystko jemu powiedzieli.

Z trudnością widoczną głos z piersi dobywając, Paweł zapytał:

— A cóż wy takiego jemu powiedzieli?

Filip głowę trochę pochylił i rękę do włosów podniósł.

— A że Franka gdzieś podziała się, i już tydzień, jak jej w chacie niema... — zcicha powiedział.

Paweł głowę podniósł, i z pod daszka czapki oczy mu błysnęły ostro, popędliwie.

— Czort was za język ciągnął! — ze śpiesznym oddechem przemówił.

— Jaby to może i nie gadał... co mnie do tego? — usprawiedliwiał się Filip — ale Daniłko zaczął: tak i tak, panie uradniku, tak i tak... jak ten mówił... uciekła!

Teraz parokonna bryczka z za Koźlukowej chaty wyjechała i przed zamkniętymi wrotami podwórka stanęła.

Na bryczce siedzący człowiek, w płaszczu, z mętnie połyskującymi guzikami, głosem, w którym czuć było drwiący uśmiech, zawołał:

— A co, Kobycy? żonka tobie, slysze, przepadła... Uciekła, czy co? A może ją rozbójniki gdzie zabili? albo utopiła się? ha? Czemuż policji znać nie dał? Możeby, dobrze poszukawszy, i znaleźli. Czy tobie jej nie szkoda? ha? taka ładna kobietka przepadła, a on nic. Wstydzilby się... cha, cha, cha!

Śmiał się, a trzy osoby, przed chatą stojące, z widocznym wyężeniem ciekawości odpowiedzi Pawła oczekiwały. Może spodziewały się, że przekleństwem na tą zginioną on wybuchnie, albo policjanta błagać zacznie, aby wyszukano ją, choćby z pod ziemi wykopano, a do niego na karę i pomstę przyprowadzono.

Ale Paweł, u bryczki stojąc, milczał dopóty, dopóki uradnik śmiać się nie przestał; potem zaś poważnie, spokojnie przemówił:

— Ona nie uciekła, nie utopiła się, i nijakie rozbójniki jej nie zabili. Do familji swojej poszła...

— Ehe! — cienkim i przekornym głosem zagadał we wrotach Daniłko — do familji poszła... niewiadomo tylko, kiedy powróci!

Filip syknął na brata, aby milczał, Paweł zaś, na policjanta patrząc, mówił dalej:

— Policji ja nie oznajmiał i oznajmiać nie będę, bo tu nijakiej policji nie potrzeba... ja dla niej policja...

Podniósł trochę głowę, w głosie jego zabrzmiał gniew.

— Ot, jaki hardy! pchi! — drwiąco syknął urzędnik i z niezadowoleniem zapytał:

— To ty jej, znaczy, pozwolenie dał? ha?

— Dałem! — bez chwili wahania odrzekł Paweł.

Daniłko w obie garście śmiechem parsknął.

— No, kiedy tak, to i ja tu nie mam nic do roboty! Wio! ruszaj!

Bryczka potoczyła się i po ulicy wsi głucho dudniała; Paweł ku trojgu ludziom, za nim stojącym, zwrócił się; oczy mu z pod czapki jak świece gorzały.

— A wy języki mocno w gębach trzymajcie! — z gwałtownym ruchem ramienia zawołał — bo i ja, choć spokojny, gniew swój pokazać mogę... Co wam do tego, że ona poszła, i co was obchodzi, kiedy powróci: prędko czy nie prędko? Jeżeli ona co złego zrobiła, to mnie zrobiła, nie wam. Ot! Ale ona nic złego nie zrobiła... Do familji poszła, z mojem pozwoleniem poszła! Ot, wam wiadomość. Stulcie gęby, i żeby ja nigdy waszego gadania o niej nie słyszał...

— Oj, Pauluczku! — żałośnie zajęczała Ulana — musi ty już nas ze wszystkim nie lubisz, kiedy nami tak poniewierasz... a wszystko — ciszej dodała — przez tę szelmę, lajdaczkę...

Żałosny głos siostry, którą na rękach swych wyhodował i jak ojciec z rodzonej chaty wyprawił, trochę go ulagodził.

— Nie poniewieram ja wami — spokojnie odpowiedział — a tylko proszę i każe, abyście nie robili tego, co mnie niemiłe... Ja wam nigdy tego nie robił, nie róbcież i mnie... A ona do familji poszła, z mojem pozwoleniem poszła, i czy prędko wróci, czy nieprędko, to już mnie bardzo dobrze wiadomo. Ot, wam wiadomość, pamiętajcie!

Odszedł, płot w najbliższym miejscu przestąpił i znowu przed swoją chatą stanął, plecami o ścianę oparł się i ciężko, śpiesznie, jak człowiek bardzo zmęczony, dyszał. Czapkę aż do połowy czoła podniósł i na drogę, zaledwie już dostrzegalnym białawym szlakiem ciemne pola przerzynającą, patrzył.

Koźlukowie zniknęli we wnętrzu swojej chaty, której dwa małe okna pozłacał blask płomienia.

Chata Pawła stała za jego plecami, ciemna, zamknięta, milcząca; milczenie razem ze zwiększającym się coraz zmrokiem zapanowało znowu od nieba do ziemi, a przerwał je dopiero powiew wiatru, który przed samem zapadnięciem nocnej ciemności nie wiedzieć skąd się zerwał, po badyłach ogrodu zaszeleścił i w borek sosnowy, krzyżami i mogiłami napełniony, poleciał. Sosny zatrzęsły gałęzmi i przeciągle zaszumiały; drobna, deszczowa mgła spuściła się od chmur, które, coraz bardziej ciemniejąc, zlewały się w jedną czarną, nisko wiszącą oponę.

Dla mieszkańców wsi zaczęła się noc jesienna, ciemna, długa, nierozweselona jeszcze wieczornicami, które w późniejszej dopiero porze roku rozpocząć się miały. To też oprócz psów, których drobne postacie pod ścianami i płotkami czasem przebiegały, żywa dusza nie ukazywała się nazewnątrz chat, wewnątrz przecież blaskami ognisk i rodzinnym gwarem napełnionych.

W borku nad mogiłkami zakwiliła sowa, i jednocześnie wrota podwórka zcicha skrzypnęły: jakaś niewielka, w grubym zmroku ciemna postać szybko podwórko przeszła i przed Pawłem stanęła.

— Pauluk! — zaszeptała.

— A czego? Kto to taki? — głosem budzącego się ze snu człowieka zapytał Paweł.

Ale kobieta bezpośredniej odpowiedzi mu nie dała. Niskiego wzrostu była, więc, aby mu w twarz móc patrzeć, wysoko głowę podnosić musiała.



Z podniesioną głową zaszeptala znowu:

— Czego ty, Pauluk, sterczysz przed chatą, jak ten wartownik? Czego ty tu, jak ten słup, stanął i po nocy na pole oczy wytrzeszczasz? Toż to nic. Idzi do chaty! czujesz? (słyszysz). Nu, idziże, a to ludzie pomyślą, że sfiksował, albo złe jakie do ciebie przystąpiło.

Niewiedzieć dlaczego mówiła to wszystko szeptem, bo słowa jej nic tajemniczego w sobie nie zawierały, i dokoła nikogo nie było, ktoby je mógł usłyszeć. Ale był to szept taki, jakim zazwyczaj przemawiają ludzie, krzątający się około ciężko chorych albo umarłych — czuć w nim było gderliwą troskliwość i trochę przerażonego lęku, przez tajemnicze i groźne zjawisko choroby lub śmierci obudzonego.

— Czujesz, Pauluk? — coraz więcej nagłym szeptem powtarzała. — Idzi do chaty! Co ty tu wystoisz? Ot, i deszcz padać już zaczął. Nu, idziże, idzi, idzi!

Obydwoma rękoma i całem swoim szczupłym ciałem ku drzwiom chaty popychać go zaczęła. Ale jego natarczywość ta oburzyła.

— Czego ty ode mnie chcesz, Awdocia? Czego ty do mnie przyczepiła się, jak ta smola? — gwałtownie zaszeptał. — No, odczep się! kiedy zechcę, to i całą noc tak przestoję, a tobie nic do tego!

— Otóż i nie przestoisz! Otóż ja ciebie na marne zginienie nie dam! Co to? Mało ja chorych widziała i od śmierci ratowała? I ciebie wyratuję.

Widocznie stan, w jakim znajdował się teraz Paweł, jednoznacznym był dla niej z chorobą.

Już zrana dnia tego, spotkawszy się z nim na brzegu rzeki i bystre swe oczki w niego wlepiwszy, pokiwała głową i zicha przemówiła:

— Cościś ty, Pauluk, kiepsko wyglądasz. Tak wyglądasz, jakby tobie tydzień do śmierci było.

I, wiadro, pełne wody, rzeźwo na górę dla synowej niosąc, postanowiła wtedy, że wieczorem pójdzie do niego dowiedzieć się...

Teraz znów szeptała:

— Chadzi do chaty, to cościś o France powiem. Maksym z miasta dziś przyjechał i ją w mieście widział. Kiedy pójdiesz do chaty, to powiem, a kiedy nie pójdiesz, to tak i zostawaj, jak bydlę nieme i rozumu nijakiego nie mające... albo jak ta dziecina głupia, ratunku swego nie rozumiejąca...

Niedarmo dziecina w tej chwili na myśl jej przyszła. Wiele, wiele razy, gdy syn jej, Maksym, i dwaj inni jej synowie i córki, i potem młodzietka synowa w gorączce i różnych bólach na tapczanie leżeli, stała ona nad nimi, z garnkiem gorzkiego stanouniku albo poruszeniku w jednej ręce, a w drugiej z trochę miodu na drewnianej łyżce, i mówiła:

— Kiedy napijesz się ziela, to miodu dam, a kiedy nie napijesz się, to tak i zostawaj, jak to bydlę nieme i rozumu nijakiego nie mające...

Teraz mówiła do Pawła:

— Kiedy pójdiesz do chaty cościś o France powiem, a kiedy nie pójdiesz, to tak i zostawaj... Czy ja z tobą całą noc tu przestoję? Czy ja dla ciebie, jak ten pies, na deszczu moknąć będę?

Paweł czapkę na czoło nasunął.

— Mnie nijakiej wiadomości o niej nie potrzeba... — sarknął — ja sam o niej wszystko wiem... do swojej familji poszła...

Jak wprzód do uradnika, siostry i szwagra, tak teraz do Awdoci przemawiał w sposób dawniej u niego niebywały: szorstki i zniecierpliwiony. Jednak zwrócił się ku drzwiom chaty i z głośnem stuknięciem je otworzył; zanim jednak do ciemnej sionki wszedł, raz jeszcze ku czarnym polem, ku całkiem już w ciemnościach utopionej i niewidzialnej drodze twarz obrócił.

W ciemnej izbie, głośniejsz niż przedtem, choć zawsze stłumionym głosem, Awdocia przemówiła:

— Aaaa! toż u ciebie zimno w izbie! hm! Musi dni ze trzy w piecu nie palono. Czy ty dziś jadł co, czy nie jadł? Musi nie jadł, bo w piecu ognia nie było. Nu, daj siarczyki (zapałki)! ogień rozniecę i wieczrę tobie zgotuję! Oj, ty stary, a durny! Dawaj siarczyki, gdzie siarczyki?

— Albo ja wiem? poszukajcie sami, bądźcie łaskawi!

Słowa te wymówił ochryplym głosem i na ławie pod oknem usiadł.

Kobieta, jak cicha mysz, związała się w ciemnej izbie, dłonie po piecu, piecyku, stole i ławach przesuując. Przytem szeptała:

— Kab ich paralusz kinu! Kab oni skrucilisia! Kab ich chwaroba!

Tak zlorzeczyła zapalkom, których znaleźć nie mogła. Nakoniec znalazła, i zaraz w ręku jej błysnął drobny, siny ognek, a potem długim, płomiennym językiem zapaliła się sucha drzazga, którą Awdocia także omackiem znalazła, z ziemi podniosła i zapaloną w podniesionej nieco ręce trzymała, czekając, aż cała ogniem się zajmie.

Przed głębokim, pustym, wystygłym otworem pieca, w świetle płonącej nakształ pochodni drzazgi ukazała się i uwypukliła głowa jej czerwoną chustką owinięta, i twarz w ramach czerwonej chustki, na czole, policzkach, dokoła ust i oczu w mnóstwo drobnych zmarszczek pomarszczona, ale okrągła, pełna, rumiana, jak zdrowe i tylko nieco przymarzłe jabłko jesienne.

W czarnych, żywych, bystrych oczach, oprawą mnóstwa zmarszczek otoczonych, blask ognia zapalał złote świeczki. Rozweseliła się też i rozgadała:

— Ot, zaraz tobie i ogień będzie, i wieczerza, i ciepło zrobi się w chacie. A jest u ciebie słonina? Zacierki ze słoniną zgotuję, czy co? bo jak *bulbę* obierać zacznę, to i do północkska głodny zostaniesz. A z zacierką krótka robota. Potem posiedzim sobie, pogadamy, a kiedy chcesz, to i przenocuję sobie tutaj... Zawszeż nie taki sam będziesz, jak ten wilk... choć dawniej i przyzwyczajony był do tego, ale już odwykł... Oho! czy ja takich rzeczy nie wiem i nie znam? Ja wszystko wiem i znam. Kiedy mój umarł, to takie mnie bóle pod sercem zdejmowały, że gdybym na minutkę sama została, to tak ot, zdaje się, że już skonał, że już i po mnie będzie. Ale nie było kiedy samej zostawać... dzieci skonać nie dały... dzieci pilnowałam i podhrudnik piłam. Ja i tobie podhrudniku przyniosę, bo w zgryzocie, wiadomo, okrutne bóle pod serce przystępują, a jak tego ziela napijesz się, zaraz opadną, i lżej stanie... Jutro jak świt, znów tobie ogień rozniecę i duchem do swoich polecę... Oho! jeszcze ja, chwała Bogu, dwom chatom i dwom gospodarstwom dam rady. Siła je i ochota je... Czemu nie? Dobremu człowiekowi w zgryzocie pomocą stanąć — czy to mała rzecz? Pan Bóg za to grzechy odpuści, a ty, Pauluczku, kiedy odwdziżyć się zechcesz, to czasem troszkę ryb nam przyniesiesz... Tadeusz i Hanula za rybką przepadają, strach, jak szelmeczki małeńkie za nią przepadają, więcej jeszcze, niż za cukrem, albo obarzankami; a jeżeli nie zechcesz przynosić, to z Bogiem i nie przynos sobie... Wszystko jedno... bylebym ja ciebie od tej paskudnej choroby wyleczyła! Ej, wyleczę! czemu nie wyleczę? Nie takie ja choroby widziała i leczyła...

Widocznie pomiędzy zgryzotą a chorobą wyraźnej granicy nie dostrzegła, i pierwsza lżejszą się jej wydawała od drugiej, bo nietylko coraz głośniejsze i coraz prędzej mówić zaczęła, ale przy wspomnieniu o małych szelmeczkach, Tadeuszu i Hanulce, wesoło sobie zachichotała.

Przytem do płonącej trzaski przytknąwszy drugą, trzecią i czwartą, cały pęk płomiennych języków w pusty otwór pieca rzucić już miała, gdy nagle uczuła się silnie za rękę pochwyconą.

— Nie zapalajcie ognia! Jeżeli Boga kochacie, nie zapalajcie! — nad głową jej przemówił głos, tak dojmującym cierpieniem zdjęty, jaki nieraz, nieraz w długim swem życiu słyszała u tych, którzy zaraz umierać mieli.

Strach ją zdjął, obejrzała się szybko.

— Czemu? — zapytała i z otwartymi ustami, z pękiem palących się trzasek w ręku, w pochyloną nad nią twarz Pawła oczy wlepiła.

— Aaaa! — zadziwiła się. — Schfichsowa! dalibóg, schfichsowa! do czego ty teraz podobny? żeby sam siebie zobaczył, toby przeląkł się!

Cała rzecz w tem jednak była, że czoło Pawła zbiegło się w dwie grube fałdy, usta jego były wykrzywione, a pod wzniesionymi brwiami oczy bez blasku i bez ruchu spoglądały gdzieś daleko za te ściany w daleki świat.

— Nie zapalajcie ognia, — powtórzył — zmiłujcie się, nie zapalajcie!...

Wpół z przestachem, wpół z gniewem zapytała znowu:

— Czemu?

— Już nie pytajcie się, bądźcie łaskawi, tylko nie zapalajcie...

A potem z ciężkim nad sobą samym przymusem dodał:

— Mnież wydało się, że to ona przed piecem stoi i ogień roznieca.

Zapalone trzaski z rąk Awdoci wyrwał, na glinianą podłogę rzucił, stopami zagasił.

Ciemność znowu izbę zaległa, a wśród niej przez długą chwilę rysowała się ciemniejsza od niej postać stojącej przed piecem Awdoci. Długo, milcząc i nieruchomie, zapewne z palcami do policzków przyłożonemi, stała. Zawsze palce do policzków przykładła, gdy namyślała się lub dziwiła. Widać choroba Pawła cięższą była, niż przypuszczała wtedy, gdy głośno sobie, jakgdyby nic ważnego nie stało się, gadać i nawet chichotać zaczęła. Widać, że jemu stało się coś ważnego. Widać, że to jemu zrobione, i trzeba będzie jutro kopytniku mu zgotować, bo kopytnik od zrobionego najlepszy.

Ale tymczasem żal nad kumem i ciekawość, jak też to wszystko stało się, i co on teraz w głowie ma, tak ją paliły, że ledwie język utrzymać w sobie mogła, tyle na nim i zapytań, i pocieszenia, i wszelkiego innego gadania miała. Do siedzącego na ławie podeszła.

Cicho, powoli podeszła, i cicho też, tak jak przy chorym, zaszepotała:

— A Maksym o niej wiadomość z miasta przywiózł.

Pawła, pod ścianą siedzącego, wcale w ciemności widać nie było.

Z ciemności tej, niewidzialny, tonem niezłomnego oporu odpowiedział:

— Mnie nijakiej wiadomości o niej nie trzeba. Do swojej familji poszła, z mojem pozwoleniem poszła...

Wtedy Awdocia usiadła na drugiej ławie, naprzeciw okna stojącej, i powoli, tym razem rozważnie, szeptać zaczęła:

— Czy ty, Pauluk, sam siebie durzysz, czy ludzi okpiwać chcesz? Na co takie gadanie przydało się, kiedy wszyscy wiedzą, że ona do nijakiej familji nie poszła, ale od ciebie w świat uciekła? Z lokajem tych panów, co latem w pałacu mieszkali, uciekła. Jaż sama nie raz i nie dwa razy widziałam, jak ona do pałacu biegała, a kiedy pobiec nie mogła, to tę szelmę Marcelę z różnem gadaniem posyłała. Ja i tego lokaja nie raz, nie dwa widziałam, kiedy sobie nad rzeką chodził, a tego wypatrywał, żeby ona z góry zbiegła! Z bliskości nawet jego widziałam. W czarnym surducie, z kręconemi włosami chodził, i czemś takim od niego śmierdziało, że ni to jełkie sadło, ni to bahun w lesie rosnący, ni to błoszczytnik, wszędzie plugastwo trujący — zanic nie poznasz — ale cośś bardzo śmierdziało. Marcela gadała, że to perfumy i pamady... czort jeho znaje!... A ta, ot, i zaczęła przepadać za nim. Paniczem go przed Marcelą nazywała. Dość już, mówi, ja na chamów napatrzyła się; panicza chcę. Nadto jej, slysze, te perfumy podobały się.

Raz w pałacu, wiadomo, w kuchni, tańce sobie zrobili, i ona na te tańce poleciała. A ty wtedy cały tydzień na rzece był, ryby łapał i do miasta woził. Z tych tańców, jak schfichsowana przyleciała i jeszcze sama jedna po chacie tańczyła. — Oj, Marcelka — mówi — jaki on śliczny, jak on ślicznie tańczy, i jakie u niego słodkie mówienie! — A potem, kiedy te panowie nazad do miasta wybierali się, cośś pierwej posmutniała, a potem znów poweselała i Marceli powiedziała, że on ją namawia, żeby do miasta wróciła się i znów tam w służbę poszła, a on będzie do niej codziennie przychodził i, jak tylko można, to na spacer i na tańce ją poprowadzi. — Polecę — mówi — dalibóg, polecę! Czy to ja w niewolę zaprzedała się? Czy za życia w mogilkę mnie pogrzebali? Czy mnie świat niemiły? Polecę! — I poleciała! Kab jej dobra nie było, łajdaczce takiej! a ty familję wymyśliła! Do familji i do familji poszła! Myślisz, że ludzi zdurzysz, a sam durny! Tut i dziecko wszelakie wie, jaka to familja...

Umilkła i zapewne z chciwością oczekiwała, co też on teraz jej powie, kiedy już przekonał się, że ona o wszystkim wie, i wszyscy wiedzą.

Pewnie Frankę przeklinać zacznie i na swoją własną głupotę narzekać, że z taką ożenił się, a byleby tylko przeklinać i narzekać zaczął, to i zgryzota prędzej z niego wyjdzie.

Czekała jednak długo; Paweł nie odpowiadał i po kilku dopiero minutach w grubej ciemności głos przyciszony, ochryply, wymówił:

— A przysięgała!

W dwóch tych wyrazach zabrzmiało niezmierne, bezdenne zdziwienie.

Awdocia z równym prawie zdziwieniem aż krzyknęła:

— Czyż ty, doprawdy, teraz ode mnie dowiedział się?

Daremnie jednak tym razem na odpowiedź czekała; Paweł milczał.

Więc znowu mówić zaczęła.

Opowiedziała, że wczoraj syn jej, Maksym, na targ niedzielny szesnastkę owsa i pół kopy jaj woził, a pod wieczór, z rynku zjechawszy, na ulicy Frankę spotkał. Z kawalerem

jakimś, pewnie z tym samym lokajem, pod rękę szła, a czerwone stużki aż były od niej, tyle ich na siebie nakładła. Maksyma zobaczyła i głową jemu na powitanie kiwnęła.

— Jak się masz, Maksymku? — mówi — kłaniaj się tam wszystkim ode mnie i powiedz, żeby do mnie na Berdyczów drobnymi literami pisali — mówi.

Zęby wyszczerzyła i, podskakując, poszła sobie ze swoim kawalerem razem. Maksym, obejrząwszy się za nią, tylko plunął.

— Oj, mameczko — mówi — taka mnie ochota brała batem po plecach ją ściągnąć, że ledwie garść przy sobie utrzymałem... ale bałem się — mówi — boby do policji zaprowadzili...

Znowu przestała mówić, do najwyższego stopnia ciekawa, jakie wrażenie sprawi na Pawle wiadomość Maksyma. Teraz, to już pewnie przeklinać i ostatnimi słowami łajać ją zacznie. Ale Paweł milczał długo, aż znowu głosem człowieka, z bezdennej topieli zdziwienia odzywającego się, przemówił:

— A przysięgała!

— Baba swoje, a czort swoje! — wykrzyknęła. — Co chcesz jemu gadaj, człowieku, a on tylko dziwuje się i dziwuje. Czegóż ciebie taki dziw bierze?

Na zapytanie to odpowiedzi nie doczekawszy się, dalej prawiała:

— Ty, Pauluk, wielkim krzyżem przeżegnaj się, na tę szelmę pluń i po dawnemu sobie cicheńko, spokojnie żyć zaczynaj. Czego tobie braknie? Chatę swoją masz, rzemiosło, i dobre, w rękę masz, grosz siaki taki, i przyjaźń ludzką, i łaskę a miłosierdzie Pana Boga wszechmogącego nad sobą masz... Czego tobie smucić się i w zgryzocie żyć? Oj, oj! żeby tak wszystkim dobrym ludziom na świecie było, jak tobie dobrze być może, jeśli głupim nie będziesz. Pana Boga słuchaj, z dobrymi ludźmi żyj, jedz, pij i na tę biedę, co cię spotkała, pluj!

— Żaden człowiek — mówiła — bez biedy na świecie nie przeżyje, ale bywają daleko od tej gorsze; ot, na przykład Karasiowi dwie krowy na wiosnę zdechły, a teraz wszystkie świny chorować zaczęły i pewno też wyzdychają... Albo u Szymona Mikuły... to już bieda! syn jego Jasiuk, rozbójnikiem zrobił się, i już go raz na Sybir byli wysłali, a teraz drugi raz za to, że stamtąd uciekł, na Sybir i na pletnie sądzić będą. Ot, prawdziwa bieda! Gdyby ona, broń Boże, syna rozbójnika miała, to już chyba nie wytrzymałaby i, Pana Boga przeprosiwszy, powiesiłaby się, albo do Niemnaby się rzuciła, i z żalu nad dzieckiem rodzonem, i z samego wstydu...

— A twojać jaka bieda? Nieznajomą, niewiadomą z *luży* (kałuży) wyciągnąłeś i, kab dobra była, chciałeś! Głupi ty! Ja od razu wiedziała, co z tego będzie. Czortouska córka, do swego baćka czorta powróciła. Wiadomo, czort swoje dzieci lubi i nigdy ich zupełnie od siebie nie puszcza. Choć i puści kiedy, to na krótko, a potem znów pazurami za duszę zaczepi i do siebie ciągnie, aż póki ze wszystkim do piekła nie zaciągnie. Tak już musi być; tak już widać Pan Bóg najwyższy chce, żeby jedne ludzie Jemu, a drugie czortu służyli. Ty, Pauluk, Bogu służ, a o czortouską córkę nie dbaj. Cudza ona tobie była i cudza znów zrobiła się. Niechaj sobie marnie ginie i przepada...

I sama już nie wiedziała, co dalej mówić i czem więcej go pocieszać. Całą już swoją filozofję wyczerpała, wszystkich sposobów wyzwania go na gadanie i wyrzekanie użyła.

— Nu — po krótkim milczeniu rzekła — jakżeż heto było? jakżeż heto stałosia? Każy! Jak opowiesz, lżej stanie.

Nie wiedziała Awdocia o tem, że są na świecie natury ludzkie, od wszelkiej studni głębsze, w które, gdy raz kwiat ukochania wpadnie, już go żadne fale precz nie wyrzuca, i żadne żale głośno wymówioną skargą nie splamią. Serce nóż zatopiony w sobie czuć może, ale usta nie otworzą się dla wydania słowa oskarżenia, bo nad wszystkie bóle większy żal zdejmuje nad tym, na kogo paść ma to słowo. Choćby im od tego oskarżenia włos nie spadł z głowy, oni go nie wymówią; choćby im ono wysunęło z tego serca połowę tego noża, który w niem zatopiony, oni go nie wymówią i jeszcze wszelkimi sposoby, choćby kłamstwem, z ust innych wyjmować je będą. Jakto! tę pierś oskarżać, u której głowa nasza prześniła swój złoty sen życia? Tej duszy zlorzeczyć, dla której z ognia, z wody, przez drogi kamieniste, przez czyściec gorejący pragnęlibyśmy dostać i przynieść wszystkie błogosławieństwa! Na te dni i godziny wyrzekać, w których nam drzewa śpiewały, ptaki gadały, ze wszystkich zdrojów życia wody słodkie i gorące były! Wszystko to mogło być snem, złudzeniem, marą rozwiewną, lotną błyskawicą, po której same ciemności zostały,

ale winy w tem niczyjej niema, a jeśli jest czyja, to nasza raczej, stokroć raczej nasza, lecz nie tej istoty, której oskarżyć za żadną cenę przed nikim w świecie usta nasze nie chcą i nie mogą.

Są na świecie takie natury ludzkie, ale Awdocia, pomimo wielkiego doświadczenia, nie wiedziała o nich wcale. Nie wiedział o nich i Paweł, nie myślał o tem, jaką wogóle posiada naturę, a tem mniej, że właśnie taką posiada; czuł tylko, że, gdyby go na krzyżu rozpinano, gdyby sami święci pańscy zstąpili z nieba i do mówienia go skłaniali, nic złego nie powiedziałby o France, o żadnąby winę jej nie oskarżył i o żadną pomstę nad nią nie prosił.

— A wiecie, kumo — po długim milczeniu z grubych ciemności ozwał się Paweł — że to wszystko, co stało się, moja wina! niczyja, tylko moja... Pierwsze: że za mało ja od niej przez modlitwę i napomnienia czorta odpędzałem; a drugie: że kiedy już jej pustotę zobaczyłem i tego lokaja domyślałem się, z chaty wychodzić nie przestałem. Trzeba było więcej ją upominać i lepiej pilnować... z oczu nie spuszczać... toby i nie przepadła, a tak przeze mnie ona przepadła... i siebie ja zgubiłem, i ją... ona jeszcze narzekać na mnie może, nie to, żebym ja na nią narzekał...

Awdocia, gdy tylko Paweł odezwał się, chciwie słuchać zaczęła, ale im więcej mówił, tem większe zdziwienie ją ogarniało, aż oddech w niej zaparło i na chwilę mowę odjęło. Oslupiałym też głosem wymówiła tylko:

— Zdureł! ze wszystkim taki zdureł!

Z ławki wstała i w pół ze śmiechem, w pół z gniewem zagadała:

— Nu, już ja dziś z tobą do nijakiego ładu nie dojdę, już z tobą dziś i gadania szkoda. Kładnij się spać. Może jak prześpisz się, Pan Bóg wszechmogący rozum tobie przywróci. A ja tu przenocuję, bo choć ty zdurniał, zawsze mnie ciebie szkoda. Jeszcze, żeby sam został, toby, nie daj Boże, co złego z sobą zrobił... do reszty schfichsowawszy.

Przeżegnała się, krótki pacierz półgłosem wymruczała i, watowy kaftan pod głowę wsunawszy, a trzewiki zdjawszy, jak żyła, w spódnicy i cieplej chustce, na ławie pod ścianą zasnęła.

Do izby, nieprzeniknionej czarnością i ciszą bezdenną napełnionej, wyraźnie dochodziły kwilenia i szlochania sów i puszczyków. Kwiliły one i szlochały w sosnach nad mogiłami, tuż za małym oknem deszcz po pustym ogrodzie z pluskiem i szeptem chodził; tak zupełnie wydawało się, jakby chodził, bo to bliżej, to dalej odzywały się jego pluskania, to pod samą ścianą, to kędyś około płotków z suchym chrzęstem gałęzie i badyle uginał i łamał.

W te słabe, lecz ciągle odgłosy wmieszał się jeszcze jeden:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego. Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiach...

Był to szept, wychodzący z pod ściany, ale tak głośny, taką namiętą żarliwością zdjęty, że od końca do końca i od góry do dołu całą otaczającą czarność napełnił. Trwał niedługo, bo tyle tylko czasu, ile go trzeba na odmówienie jednego pacierza, ale wkońcu wzmógł się jeszcze w żarliwość, w błaganie, i towarzyszyć mu zaczęły odgłosy pięści, w twardą i silną pierś uderzającej.

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej!

Zazwyczaj codzienny pacierz swój Paweł kończył trzykrotnem uderzeniem się w pierś i wyrazami:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

Teraz mówił:

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej!

I powtórzył to wiele razy coraz głośniejszym, żarliwym szeptem i coraz silniej pięścią o pierś uderzając.

Potem umilkł i tak ucichł, jakby go wcale w chacie nie było.

Nazajutrz o świcie, Awdocia, obudziwszy się, zobaczyła przez drzwi otwarte Pawła, zajętego w sieni pilną jakąś robotą. Ku glinianej podłodze nachylony, z silnem poruszeniem ramion coś lepił, czy miesił.

Zerwawszy się z ławki, pobiegła i zobaczyła, że istotnie mieszał on mokrą glinę z mnóstwem nałowionych w lesie nadrzecznych motylek, jacią zwanych, i lepił z niej wielkie

żółte kule. Wiedziała dobrze, do czego kule te służyć mają. Rzucone w wodę rozsypują po niej roje motyli trupów, ku którym zbiegają się gromady ryb.

Wiedząc o tem, zadziwiła się jednak:

— Na ryby pójdziesz? — zapytała.

— A jakże! woda dziś dobra — odpowiedział.

Poszła ogień w piecu rozpałać. Paweł tym razem nie przeszkadzał jej wcale. Ulepiwszy kilka glinianych kul, na ławie w izbie usiadł i z leżącego na stole bochna spory kawał chleba ukroił.

Wyglądał prawie tak samo, jak zawsze, trochę tylko policzki mu zapadły, ale kobieta wcale się temu nie dziwiła, wiedząc, że od kilku dni ciepłej strawy nie jadł i w zgryzocie żył. Teraz zjadł misę krupniku, który mu śpiesznie zgotowała, powstał i, wór z glinianymi kulami na plecy zarzuciwszy, pęk długich wędzideł o ramię oparł.

Dotąd nic wcale do Awdoci nie mówił, zdawać się nawet mogło, że wcale jej paplaniny, to z ubolewaniami, to z chichotami zmieszanej, nie słyszał. Teraz dopiero, czapkę na głowę włożywszy, z worem na plecach a wędami na ramieniu, zbliżył się ku niej.

— Dziękuję, kumo, za przyjaźń i za wszystko, dziękuję. Niech Pan Bóg nagrodzi!

Mówił to powoli i przyciszonym głosem, ale przyjaźnie głową kiwnął i rękę, od gliny żółtą, do starej kobiety wyciągnął.

Ją to rozczuliło; do rozczulenia się, tak jak do gadania i chichotania, jednokowo skłoną była. Czarne, okrągłe oczy jej zwilgotniały, powieki zamrugaly.

— Niema za co, niema za co! ot — i chwala Bogu, że tobie, Pauluk, rozum do głowy powrócił...

Kiedy wyszedł, wybiegła także z chaty i chwilę patrzała, jak z góry ku rzece schodził. Bose jej stopy prawie do kostek pogrążone były w błocie, a ręka, prawie jak to błoto ciemna, pomarszczona, z palcami od pracy pokrzywionymi, szybko za odchodzącym kreśliła w powietrzu znaki krzyża. O dwadzieścia lat od niego starsza, malutkiem dzieckiem na rękę go nieraz nosiła, potem dobrym i rozumnym człowiekiem zawsze nazywała, kilkoro dzieci do chrztu z nim trzymała. Uczuć swoich nigdy nie roztrząsając, nie dając im nazwy, ani myślała, ani wiedziała, że dla człowieka tego ma przyjaźń serdeczną, ale przyjaźń tę czuła; tak samo Paweł ani rozbraiał, czem są rany zdeptanej miłości i wiary, ani po imieniu ich nie nazywał, ale je czuł. Takie uczucia, nierozbierane, nienazywane, okrywają rozległe niziny ludzkości, lecz dlatego, że kwitną nisko i są bezimienne, mieszkańcy gór mniemają, że ich wcale niema.

Jednak, cokolwiek czuł, żył dalej jak zwykle i tak prawie jak zwykle wyglądał. Policzki mu tylko schudły i zapadły, co twarz, i bez tego już nieco długą, więcej jeszcze wydłużyło, a od skroni do skroni otoczył ją wąski, szorstki, siwiejący zarost. To rozpromienienie, które przez czas jakiś wygładzało mu czoło i cichą wesołością napełniało oczy, zniknęło; przestał wyglądać o dziesięć lat młodszym, niż był; nawet zdawać się mogło, że, gdy innym miesiące tylko, jemu lata przybywały. Ocieżał jakoś i zupełnie już ucichł; chodził powolniej, niż wprzód, i nigdy prawie z nikim nie rozmawiał. Ale postawa jego była, tak samo jak i dawniej, prostą, silną, wśród pracy gibką i do wszystkich trudnych poruszeń ciała wybornie wyćwiconą. Pracował też tak samo, jak dawniej, nawet więcej, niż dawniej, bo i na rzece i — gdy rzeka znajdowała się w niepomysłnym dla rybołówstwa stanie — w polu i około chaty.

Własnego pola nie miał, ale pierwszego zaraz dnia, gdy silny wicher i gwałtowne na Niemnie fale wszelką nadzieję jakiegokolwiek połowu odbierały, do szwagra poszedł i zapytał: czy wszystko półko jego już zorane?

Filip właśnie zakłopotany był tem, że dotąd jeszcze, choć pora spóźniona była, parę morgów pod zasiew wiosenny zaorać nie zdołał.

Wiele w tych czasach roboty miał przy promie, a Daniłko do pługa niezupełnie jeszcze był zdatny. Paweł, milcząc, konia szwagra do pługa zaprzął i w pole z nim poszedł. Orać umiał, ale, na wodzie życie pędząc, zajęć około roli nie lubił. Teraz przecież wolał takie mieć, niż nie mieć żadnego. Młócić też zboże i płoty naprawiać szwagrowi pomagał; Ulana mu wzamian szmaty prała, odzież naprawiała, chleb piekla. Ale i na wodzie płynącej, i na polach szerokich, przyroda w wiecznej obojętności zakreśla wieczne swe koła zjawisk, a prace ludzkie spotykają się ze wznoszonymi przez nią nieprzewyciężonymi zaporami.

Bywały pory, w których rzeka odpychała od siebie rybaków, a pola rolników nie potrzebowały. Wtedy Paweł wychodził na tę drogę, z której przez kilka dni po zniknięciu Franki oczu prawie nie spuszczał, i szedł nią długo, daleko. Idąc, często głowę podnosił i z pod daszka czapki wytężone spojrzenia po bocznych drożynach i aż pod skraj widnokregu rzucał. Po szerokiej równinie, pod rosnącymi wśród niej gdzie niegdzie laskami, na niewyraźnych szlaczkach drożyn i między czegoś wzrokiem szukał. Czasem stawał, wyżej jeszcze twarz podnosił i więcej wzrok wytężył.

Pod laskiem, na tle ogólnej szarawy świata czerniejącym, albo u skraju jednej z drożyn, spozstrzegął drobny punkt ruchomy, wlepił w niego zaniepokojone oczy i po najbliższej miedzy krokiem szerokim na spotkanie jego iść zaczynał. Niebawem spozstrzegł, że był to jednokonny wózek, którym jeden z sąsiadów jego wracał z miasteczka, albo wlokący się o kiju żebrak, albo kobieta, z głową od chłodu w grubą płachtę owiniętą, i pod ciężarem wora, kartoflami czy otrębami napelnionego, przygarbiona.

Wtedy na pustem i mokrem polu, w powietrzu, od mgły jesiennej szarem i chłodnego wiatru szumiącym, brzmiało krótkie pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — spokojnie odpowiadał Paweł i, ku spotkanej istocie ludzkiej życzliwie głową skinąwszy, szedł dalej długo jeszcze, aż do zupełnego zmierzchu.

Raz, gdy o zupełnym już zmierzchu do wsi powracał, z ciężkich chmur listopadowych spuścił się deszcz rześisty, a wiatr, gniewnie szumiąc, skręcał go w zimne i ostre bicz, które z głuchym hukiem uderzały o ziemię, a twarz i plecy idącego siekły.

Do chaty wszedłszy, Paweł lampkę zapalił i z gorącego jeszcze pieca wyjął garnek ze strawą, którą sobie na dzień cały był zgotował. Siermięga jego była zmoczona i ściekającą po niej wodą świeciła. Nie zdejmował jej jednak. Na ławie usiadłszy, drewnianą łyżkę w garnku zatapiał i do ust podnosił, powoli, głęboko o czemś myśląc i wciąż na okno, czarną płachtą grubej ciemności zawieszoną, patrząc. Możliwe, że po raz pierwszy w życiu ciemność taką widział, tak się w nią wpatrywał. Ilekroć zaś wiatr przeciąglej zaszumił, i deszcz głośniejsze o ziemię zasiekł, ręka jego, z drewnianą, krupnikiem napelnioną łyżką, zatrzymywała się w powietrzu. Można było przypuszczać, że te ponure odgłosy natury, przy których jednak przez całe życie zwykł był bezpiecznie pracować albo spokojnie usypiać, teraz go przestraszały.

Garnek i resztki chleba ze stołu na piec przeniósłszy, z brodą ujętą w palce stanął i znowu w zamyśleniu głębokim na czarność, okno zalegającą, patrzył i odgłosów, napelniających ją, słuchał.

— Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się! — zaszeptał i jednocześnie, lampkę ze stołu zdjąwszy, na małym oknie ją postawił.

Czyżby dlatego ją tuż przy drobnych szybach chaty swej umieszczał, aby kierowniczym punktem była dla kogoś, do tej chaty może dążącego? Czyżby tak żarliwym, gorącym szepciem zmiłowania Bożego wzywał dla jakiejś istoty ludzkiej, o której wyobrażał sobie, że może czarność listopadowej nocy, fale wiatru i bicz deszczu wątłą swą postacią, dążąc tu, przerysować.

Na ławie usiadłszy, zaczął pod światłem lampki naprawiać w niewodzie szkody, przez ostatni połów zrządzone.

Stalowa iglica szybko połyskiwała mu w ręku, gdy pilnie i wprawnie porwane oka sieci nowymi zastępował. Zadzierzgiwał je, ściągał, sznur z leżącego mu u stóp wielkiego kłęba wywijając, i zdawać się mogło, że ciałem i duszą pogrążał się w tej robocie. Ale dusze ludzkie miewają czasem szeptu nieustanne, które ani podczas jedzenia, ani podczas pracy, ani w ciszy, ani w gwarze zupełnie nie milkną. Nie przeszkadzają one życiu toczyć się torem najzwyklejszym i wszystkim narzędziom ciała i myśli spełniać właściwe im czynności, ale są same jakby drugim, spodem płynącym życiem i jednym więcej, tajemnie działającym narzędziem istnienia.

Paweł także, jakkolwiek wicherem spokojnie spożył, a potem tak pilnie pogrążył się w robocie, że aż głośnie jego sapanie napelniało ciszę izby, nagle głowę podniósł i przybrał postawę człowieka, z wytężeniem czegoś słuchającego.

To tylko żółty, kudłaty Kurta na Koźlukowem podwórku zaszczekał. Ale na kogo w tej spóźnionej porze mógł on szczeleć? Czy razem ze szczekaniem jego nie ozwą się

u płotu kroki ludzkiej istoty, nieśmiałej, zmęczonej, zziębłej? Nie, starym swoim, ochry-  
płym głosem Kurta szczerknął kilka razy i umilkł, a żadne kroki słyszeć się nie dały.

W ręku Pawła znowu błyskać zaczęła iglica. Tuż za nim w kącie izby załopotwały myszy. Obejrzał się i zobaczył małe, zwinne zwierzątko, z błyskawiczną szybkością pod ścianą przebiegające.

Widok ten sprawił mu snadź przyjemność, bo uśmiechnął się i głową pokiwał.

— Ot, głupie stworzenie! czego ona boi się? Przyszłaby do mnie, tobym jeszcze i chle-  
ba jej troszkę nakruszył.

Wtem drzwi od podwórza w sieni skrzypnęły, wyraźnie skrzypnęły.

Paweł znowu przybrał postawę człowieka, z wytężeniem wsłuchanego w ciszę.

Może tam ktoś wszedł, u progu stanął i, do izby wejść śmiałości nie mając, stoi w ciemności, drżąc od zmokłego odzienia i strachu?

Sieć i iglicę na ławie położył, wstał i z lampką w ręce do sieni wyszedł. Lampka, jak-  
kolwiek mała, całą sien oświetliła. Drabina o ścianę oparta w niej stała, dziurawa skrzynia  
na przechowywanie ryb w wodzie, wiadro z wodą, beczułka z ukwaszoną przez Ulanę  
kapustą; ludzkiej istoty żadnej nie było.

Paweł do drzwi wpółotwartych podszedł. Wchodząc do chaty, nie zamknął ich dobrze;  
zapewne też wiatr je z przeciągłem skrzygnięciem otworzył. A może nie wiatr? Może to  
ktoś do chaty wejść chciał, ale z nieśmiałości, z niepewności, jak w niej przyjętym będzie,  
cofnął się z progu i teraz u ściany, pod deszczem, z okapu ciekącym, pokornie, żałośnie  
stoi?

Lampkę na ziemi postawił, przed chatę wyszedł i krokiem powolnym, ze wzrokiem  
w ciemność wytężonym, dokoła ją obszedł. Przeszedł nawet wzdłuż płotków ogrodu  
i dziedzińca, z nad niskich wrót na nieprzeniknione czarność, pole i drogi w sobie kry-  
jące, popatrzył.

Nigdzie nikogo nie było; tylko stary Kurta, w ciemności nawet go poznawszy, płotek  
przeskoczył i o rękę jego zimnym językiem uderzył. Ręką po kudłatej głowie psa powiódł  
i razem z nim do izby powrócił. Lampkę, w sieni z ziemi podniesioną, znowu na oknie  
postawił i do roboty swojej się zabierał, gdy znowu coś zimnego i kudłatego otarło się  
mu o rękę. Kurta, głowę podniósłszy, patrzył na niego rozumnem, smutnem, proszącym  
okiem głodnego, zziębłego zwierzęcia.

— Biedny ty!

Wziął z pieca kromkę chleba, psu ją dał i z widoczną przyjemnością na jedzące zwierzę  
spoglądał, a gdy jeść przestało, drzwi otworzył i łagodnie, ale stanowczo wyjść mu z chaty  
rozkazał.

Biedne zwierzę! Zimno mu na wietrze i deszczu, ale cóż robić? Na podwórzu nocować  
musi, aby chaty, stajni, świrna od złodzieja strzec.

— Wszelkie stworzenie swój żal i swoją biedę ma. Czemu to tak? Chto jeho znaje?

Nad tem pytaniem — z brodą w palce ujętą — myślał długo. W samej rzeczy myślał  
on nad przepaścistą, niezgłębioną, czarną zagadką powszechnego cierpienia świata, tylko,  
że ani jej po imieniu nie nazywał, ani rozbirowi poddawał.

Przez wszystkie jesienne noce, na oknie Pawła lampka paliła się dopótna tuż przy szy-  
bach, zwilżonych od mgły lub deszczu. Z drogi i drózek, przerzynających mokre i ciem-  
nością pokryte pola, wyglądać ona musiała, jak zapłakane, drobne światełko. Zbliża  
dostrzegali je parobcy i dziewczęta, do Koźluków na wieczornice idący, ale uwagi na nie  
wcale nie zwracali.

Losy Pawła przestały zajmować wszystkich, odkąd stał się znowu spokojnym i żył jak  
zwykle. Nawet Ułana i Filip rzadko do niego zaglądali. Zajęci byli swoim, a gdy nie pra-  
cowali, spali lub z sąsiadami gwarzyli. Jednak dziewczęta, które z kołowrotkami swemi  
najkrótszą drogą około chaty Pawła do Koźluków przechodziły, i parobcy, w celu stra-  
żenia dziewcząt za węglami ścian lub załamami płotków przysiadający, słyszeli nieraz z za  
tego okna, zapłakanem światełkiem połyskującego, wychodzące dziwne odgłosy. Był to  
raczej odgłos jeden, monotony, do głośnego mruczenia lub nieustannego wybąkiwania  
zgłosek i wyrazów podobny.

Daniłko, najśmielszy i najciekawszy, zakradł się raz pod okno, spojrzął przez nie do  
wnętrza izby, a potem wszystkim w chacie Koźluków zgromadzonym oznajmił, że dziadź-  
ko siedzi i czyta.



— Dalibóg czyta — uderzając się w piersi, z wytrzeszczonymi oczyma przysięgał — z książki czyta!

Mało kto temu się dziwił, bo dawniej już we wsi wiedzano, że Pawła żonka czytać nauczyła.

— Oj, żonka! kab hetakich na świecie nie bywało! — spluwając i ogniście czerwieniąc się, mówiła Ulana.

— Cała to jego i korzyść z ożenienia się, że czytać teraz umie — z głośnym śmiechem dodał Aleksy, ale z błysku jego szafirowych oczu widać było, że myśl o umiejętności czytania obudzała w nim trochę żalu i podziwu.

Tożby był dumny, tożby prawdziwy rej we wsi wodził, gdyby ją posiadał!

Istotnie Paweł w długie zimowe wieczory czytał. Co? jak? Oprócz niego samego, oprócz myszy, które coraz śmieiej a częściej pod ścianami przebiegały, i starego Kurty, który niekiedy, w żółty i błotnisty kłęb zwinięty, u stóp jego parę nocnych godzin w cieple przesypiał — nie wiedział nikt.

Było to tak. Przy schyłku dnia grudniowego do chaty wszedł zziębły i zmęczony, bo razem z Daniłkiem cały dzień na zamarzej rzece przepędził, przeręble w lodzie żelaznymi łomami rąbiąc i sieć w nie zapuszczając, co rzeczą łatwą nie jest. Kilka toni w ten sposób robili, lecz żadna nie była zupełnie pomyślną. Mały wynik wielkich wysilen; nie będzie nawet miał z czym jutro do miasteczka pojechać, do tego kupca, który zazwyczaj towar jego hurtownie kupuje i sam go już do większego miasta wysyła. Niepowodzenie to przecież nie martwiło go bardzo.

— Mniejsza o to. Nie dał Bóg dziś, da jutro.

Ręką machnął, na ławie siadł.

Głodnym nie był, bo Ulana jemu i Daniłkowi tam na lód jedzenie przynosiła, ale kożucha z siebie nie zdejmował. Mróz silny i wiatr ostry do szpiku kości go przeniknęły. Buty też miał na sobie do kolan wysokie, a na nich jeszcze bezkształtne wory z wojłoku, dla większej ciepłości sianem wypchane. W tem ubraniu na ławie odpoczywając, powolnym spojrzeniem wodził po izbie, którą ostatki dziennego światła, z blaskiem śniegu zmieszane, napełniały białą, mdlejącą jasnością.

Przygasłem i powolnym spojrzeniem zmęczonego i niewesołego człowieka Paweł obejrzał ściany, które, po raz ostatni przed ożenieniem się jego pobielane, dobrze już od pyłu i dymu szerniały; na jeden kąt, w którym za miotłą i dwoma koszami łoziny najbardziej dokazywały myszy, i na drugi, w którym stała pusta skrzynka Franki, popatrzał, aż wzrok jego przesunął się po zapełniającej kąt trzeci czerwonej szafce i w leżącym na niej przedmiocie utkwiał.

Przedmiotem tym była książka w zrudziałej i spłowiałemi pozłoceniami przyozdobionej oprawie. Leżała ona pomiędzy lampką a samowarkiem w tem samym miejscu, na którym ją był położył wtedy, gdy Franka po raz ostatni z kościoła do chaty jego powróciła.

Więcej niż trzy miesiące upłynęło od dnia, w którym, z rzeki do domu wróciwszy, Franki tam nie znalazł; do późnej nocy na nią oczekiwał, aż, skrzynkę jej otwartą i zupełnie prózną zobaczywszy, domyślił się, że w świat poszła. W świat idąc, jego własności nie poruszyła, palcem nawet nie dotknęła, choć dobrze wiedziała, gdzie żywność i odzież, i pieniądze znaleźć mogła; ale wszystko, co do niej należało, miejskie łachmanki swoje i błyskotki zabrała. Jedynej tylko swojej rzeczy nie zabrała: tej książki.

Jakim sposobem mógł on dotąd jej nie spostrzec? Codziennie lampkę, a kilka razy i samowarek z szafki zdejmował, a książki nie spostrzegł. Choć całą przeszlą zimę nad elementarzem często przesiadywał i pod srogą dyrekcją Franki, albo, gdy ona rozkaprysiła się, samodzielnie cały już elementarz przesyłabizował, nie przywykł jednak do tej rzeczy trudnej, dziwnej, z cudem prawie graniczącej, jaką było czytanie, tak dobrze, aby mu ona codzienną i konieczną była.

Jednak przy mdlejąco białym skłonie dnia zimowego, w ciszy, której nawet nie przerywały tym razem mysie szelesty, po pracy, która mu przyniosła daleko więcej zmęczenia, niż korzyści, na książkę wypadkiem spojrzawszy, wstał i ku szafce podszedł.

Gdy przez izbę szedł, pomimo pięknego swego wzrostu, w kożuchu i wojłokowych workach na nogach bardzo podobny był do grubego, ciężkiego niedźwiedzia. Kawalki lodu, w gęsty i krótki jego zarost wplątane, w cieplej izbie roztapiały się i kroplami ściekały na wełnisty kołnierz kożucha.

Książkę z szafki zdjął, ku oknu przyniósł, na okładkę jej kilka razy dmuchnął, końcami czerwonych palców z poszanowaniem ostrożnie resztę pyłu z niej starł. Potem, na ławie usiadłszy, okładkę podniósł i na pierwszej zaraz karcie w grube, duże litery tytułu wzrok wlepił. Zrazu znaki te, jakkolwiek bardzo wyraźne, w nierozwikłane skręty mąciły się mu przed oczyma. Od trzech miesięcy ich nie widywał, odwykł... Już był przyzwyczał się, zrozumiał, zapamiętał, a teraz znowu odwykł.

Jednak po kilku minutach pierwszą literę rozpoznał wyraźnie:

— S... — bąknął.

I potem, to z dłuższymi, to z krótszymi, zawsze przecież dość długimi przestankami, każdą z liter wybąkując, sylabizować począł:

— S-l-u-ż — służ, b-a — ba, służba...

Aż poruszył się na ławie z ukontentowania i bąkał dalej:

— B-o — Bo, ż-a — ża, Boża.

A potem, każdą sylabę oddzielnie i dobitnie wymawiając, powtórzył:

— Służ-ba Bo-ża.

Upłynął najmniej kwadrans, zanim te dziesięć liter w dwa te wyrazy złożył, ale podobały się mu one bardzo. Więc zaczął dalej:

— C-z-y — czy, l-i — li, czyli...

W taki sposób cały napis, pierwszą stronicę okrywający, przeczytał, aż do umieszczonego na samym jej dole roku wydania książki, którego nie przeczytał, bo na cyfrach drukowanych wcale się nie znał.

Na pamięć liczył biegle; ale żadnej cyfry wyczytać, ani tem mniej nakreślić nie umiał.

Te więc cztery znaczki, zupełnie dla siebie niezrozumiałe, opuścił i, kartkę przewróciwszy, począł na następnej kalendarzowej wiadomości sylabizować:

— R-o-k — rok, m-a — ma... rok ma...

Z niezmierną trudnością, w niektóre z liter po całej minucie oczy wlepiając, ręce pod stołem zaciskając i łamiąc tak, że aż stawy palców trzeszczały, przeczytał:

— Rok ma dwanaście miesięcy, tygodni pięćdziesiąt dwa...

Oddawna i bardzo dobrze wiedział, że rok ma dwanaście miesięcy i pięćdziesiąt dwa tygodnie; niemniej ucieszyło go niezmiernie, że to wyczytał w książce. Podniósł głowę i uczył, że zrobiło się mu bardzo gorąco. Uczuł się też spracowanym niezmiernie, daleko więcej, niż przy robieniu kilku toni na zamarłej rzece. Pot mu na czole świecił. Zdjął kożuch i usłyszał z chaty Koźluków naprzód, potem z coraz dalszych chat, coraz słabiej dochodzące, pianie kogutów: więc północ była już bliska.

Przyczytanie tytułu książki i uwagi, że rok ma dwanaście miesięcy i pięćdziesiąt dwa tygodnie, zajęło mu cały wieczór zimowy. Pamiętał, że przy ostatnich światłach dziennych książkę otworzył, lecz wcale nie pamiętał, jak i kiedy lampkę zapalił. Uczynić to musiał całkiem bezwiednie, utopiony w myśleniu o tem, jak złożyć znajdującą się w tytule, a nadewszystko trudną do złożenia sylabę, złożoną z liter:

C-h-r-r-z-e-ś...

Cały kwadrans potem, już przy świetle lampki, męczył się nad złaniem w dźwięk jeden tyłu pojedynczych dźwięków, aż nagle, z gwałtownym poruszeniem na ławie całego ciała wykrzyknął:

— Chrześć...

A po kilku jeszcze minutach przeczytał cały wyraz:

— Chrześcijanie.

Napełniło go to takim zadowoleniem, że ze spoconego czoła poznikwały mu wszystkie zmarszczki, a oczy, od książki na chwilę oderwane, świeciły znowu bystrym, pogodnym, jak u dziecka, niewinnym błękitem.

W ten sposób spędzał potem prawie wszystkie zimowe wieczory. Przeczytał już, co to adwent, co suche dni, kiedy Kościół zakazuje ślubów i wesel małżeńskich, przeczytał o powinnościach względem Boga, bliźnich, samego siebie i zaczynał właśnie rozdział, traktujący o Sakramentach Świętych, kiedy do izby wsunęła się Awdocja.

Było to już przy końcu stycznia; Paweł, przez sześć tygodni ośm stronic przesyłabizowawszy, zaczynał już czytać po wierzchu.

Pamiętał dobrze, jak nieraz znudzona i zniecierpliwiona Franka nad głową mu krzy-  
czała:

— Po wierzchu czytaj! no, czytajże już, durniu, po wierzchu!

A kiedy on w żaden sposób rozkazu tego spełnić nie mógł, książkę mu z rąk wrywała i z wielkim poczuciem własnej wyższości, które w niej nieco znudzenie i zniecierpliwienie tłumilo, jak to się po wierzchu czyta, pokazywała.

Teraz próbować zaczynał sam po wierzchu czytać i przy tej stokroć zwiększonej pracy znalazła go Awdocia. Wnuki jej chorowały, dwoje wyzdrowiało, jeden umarł; przyszła kuma odwiedzić. Trochę z nią o zmarłym wnuczku i najmłodszym synu, którego świeżo do wojska wzięto, porozmawiawszy, i gruszkami, których jeszcze trochę w chacie miał, ją poczęstowawszy, Paweł do książki wrócił.

Awdocia, z głową, tak od mrozu płócienną płachtą owiniętą, że tylko nos zadarty ukazywał się z za niej, i czarne oczki połyskiwały, nietylko nic wcale przeciw czytaniu Pawła w swojej obecności nie miała, ale z niezmierną ciekawością przysłuchiwać mu się zaczęła. Stopniowo ciekawość ta zmieniała się w skupienie i wytężenie uwagi i słuchu. Siedząc na stołku, formalnie skamieniała. Ogryzek gruszki z ręki jej wypadł. W długiej siermiedze i szarej płachcie, która jej głowę i całą prawie twarz grubemi fałdami okrywała, miała pozór wyrzeźbionej z kamienia figurki.

Paweł, to sylabizując, to krótsze i łatwiejsze wyrazy po wierzchu wybąkując, czytał:

— „Czyny ludzkie, żeby mogły podobać się Bogu, muszą być nietylko dobrymi, lecz nadto jeszcze nadprzyrodzonymi, czyli pochodzić z nadprzyrodzonej łaski Bożej...”

Kamienna figurka, na stołku nieruchomie siedząca, nic a nic nie rozumiała. Gdyby kto ją bił i zabijał, co znaczyły «czyny ludzkie nadprzyrodzone», w najmniejszym przybliżeniu wytłumaczyłby nie potrafiła. Niemniej ogarniać ją zaczynały żalność i skrucha, tak zupełnie, jak gdy w kościele ksiądz z kazalnicy mówił, a ona, górnej jego mowy nic a nic nie rozumiejąc, do wzdychania i płaczu jednak ochotę czuwała. Może dźwięki, w codziennym życiu nigdy nie słyszane, i wyrazy, piętnem świętości namaszczone — tak jak to u istot innego niż ona rzędu czyni muzyka — na dnie jej duszy budziły i wzmagaly utajone uczucia i zaczątki uczuć.

Kiedy Paweł czytał następnie o dwojakiej łasce Boskiej, poświęcającej i przechod-  
niej, Awdocia głośno westchnęła i coraz częściej, głośniejsz, przeciąglej wzdychała, aż gdy niezmiernie powoli przeczytał:

— „Zwy-czaj-ne-mi i naj-ob-fit-... s-z-e, m-i mi, — najobfitszemi ka-na-ła-mi łask Boskich są Ś-w-i-ę — Święt, t-e — te, — Święte Sa-kra-men-ta”.

Głośnym płaczem i lamentem wybuchnęła.

We dwoje zgięta, połą siermięgi twarz zakrywając, lamentowała:

— Oj, zabrał Pan Bóg Najwyższy, do chwały swojej zabrał robaczka mego maleńkiego, Tadeuszka mego miłego! Zmarniała dziecina, jak ten kwiatek pod śniegiem, stoczyła się ze świata, jak ta jagoda...

Tak przez czas jakiś hołosiła, połą siermięgi nos ucierając i deszczem łez płacząc.

To, co mówiła, z łaską Boską dwojaką i najobfitszemi jej kanałami w najmniejszym związku nie zostawało, ale dźwięki dziwne a święte były tą okruczą, która, na rozżaloną duszę jej spadając, z równowagi ją wytrąciła. Tak we wspaniałej i rzęsiście oświetlonej sali, przy dźwiękach strun, mistrzowskim smyczkiem poruszanych, po białych policzkach modnie ubranej damy płynąć zaczynają ciche, grzeczne, bo z duszy gorsetem ściśniętej dobywające się łzy.

Awdocia zaś hołosiła, a Paweł, książkę zamknąwszy, pocieszał ją powolną, łagodną swą mową.

Mówił o woli Boskiej, o tem, że człowiek a robak to wszystko jedno, bo robak przez rybę, a człowiek przez ziemię pochłonięty być musi, i że po śmierci Tadeuszka jeszcze jej dwoje wnuków zostało; kobieta zaś w siermiedze i szarej płachcie, w grube fałdy dokoła głowy zawiązanej, stopniowo cichła, nieruchomiała i znowu do kamiennej figurki stawała się podobną.

Nakoniec, po raz ostatni nos połą siermięgi utarła, spojrzała na Pawła i tajemniczym szeptem zapytała:

— Nu, a o tej... nic nie słyhać?

W oczach jej, z łez jeszcze nie oschłych, świeciła już ciekawość.

Przez kilka tygodni Pawła nie widywała: może więc w tym czasie w stosunku jego do Franki coś nowego zaszło.

Paweł dość długo milczał, a potem powolnym, monotonnym głosem mówić zaczął:

— Nic ja o niej nie słyszał, nic ja o niej nie wiem, i Bóg tylko Święty wie, co tam z nią dzieje się... gdzie ona...

Po chwilowej przerwie mówił dalej:

— Ot, biedna, nieszczęśliwa! Znów na wołoczaszce życie, na poniewierkę i na wszelakie złości swoje i ludzkie poszła... Znów dusza jej zgubiona i bez ratunku nijakiego w piekło lecąca... a ja myślał, że ją wyratowałem... od męki na tym, a od potępienia na tamtym świecie wyratowałem. Nie chciała. Nie wytrzymała. Czysta pijaczka, choć i wódki nie pijąca. Oj, biedna ona, biedna!

Ręką machnął; nie na kobietę, z którą rozmawiał, ale kędyś w bok pod ścianę patrzył.

— Nijakiego gniewu i nijakiej pretensji ja do niej nie mam. Do siebie pretensję mam, nie do niej. Inaczej widać trzeba mnie było z nią postępować...

— A toż! inaczej, pewnie, że inaczej... — z zapalem zaszepotała Awdocia. — Panowanie jej daleś... do pracy nie zaganiałeś... w pościeli, jak ta świnia w barłogu, wylegiwała się... cukierki, jak ta pani, smoczała i herbatę piła...

— Żeby powróciła — po długim milczeniu przemówił Paweł — jużbym ja teraz z nią inaczej...

— Czego jej powracać? Nie powróci... Marcela, z miasta przyszedłszy, mówiła, że już jej tam niema: pewno ze swoim lokajem gdzieś dalej powlokła się...

Pawłowi oczy zaświeciły, ale prędko powieki spuścił i już ani słowa do Awdoci nie przemówił.

Ona też niebawem wstała, głową kiwnęła.

— Bywajcie zdrowi!

A potem:

— Niech będzie pochwalony! — powiedziała i wyszła.

Po dniu mroźnym i wietrznym noc zrobiła się burzliwa. Naokoło chaty wichry dęły, dmuchały, huczały, jęczały.

Paweł lampkę zgasił. Czarna ciemność zaległa izbę, w tej ciemności i wśród słabnących, to wzdymających się głosów wichru nie zasnął Paweł tak, jak dawniej bywało: odrazu i twardo.

Długo z cichymi łopotami i szelestami dokazujących wśród koszów i mioteł myszy słychać było obracanie się na łóżku ciężkiego ciała i głośnie, przewlekłe westchnienia; aż zastąpił je żarliwy, błagalny szept, który po wiele razy z odgłosami pięści, pierś uderzającej, powtórzył:

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej!

#### IV

Gdy od zniknięcia Franki trzecia już zima upływała, powszechnem i oddawna utrwalonem zdaniem było, że Paweł o niej zupełnie zapomniał. W ostatnich czasach nawet poweselał; nie w tem znaczeniu poweselał, aby w hulankach udział brał, albo kiedykolwiek głośnym śmiechem wybuchnął, ale ludzi nie unikał, z każdym, kto go zaczepił, chętnie i grzecznie rozmawiał, w zimowe wieczory znowu czasem, choć nie często, do chaty Koźluków przychodził, dzieci ich na kolana brał, całował je i z figłów ich, albo nierozumnego gadania, śmiał się.

Wprawdzie postarzał widocznie: łysina powiększała się mu nad czołem, wąski zarost, policzki otaczający, bielał coraz więcej, plecy, tak dawniej proste i gładkie, w okolicach karku trochę się przygarbiły, co najbardziej było widocznem, kiedy szedł, stopy od ziemi powoli odrywając. Nie dziwiło to przecież nikogo; wszak lat mu przybywało i pracował wiele, daleko więcej nawet, niż przed ożenieniem się, a z taką samą rzeźkością i siłą, jak wówczas.

Jednego z pierwszych dni marcowych od rana do wieczora zajęty był przygotowywaniem narzędzi, do wiosennego rybołówstwa potrzebnych.

Lody w tym roku puściły, i śniegi stały wcześniej; szeroko rozlana rzeka podmywała pnie sosen u przeciwległego boru i o stok góry, na której stała wioska, biła wysokimi, pianistemi, szumnymi falami. Środkiem szare i wzdęte fale bystro unosiły wielkie kępy białej piany i czasem jeszcze drobne odłamy lodu, które, gdy słońce świeciło, usiewały rzekę okruchami złota i tęcz.

Niekiedy piasek i żwir z nadbrzeżnej ściany osypywał się z głośnym i długim szelestem nawałnicy, albo ze stoku góry, przez wodę poderwany, z wielkim hukiem i pluskiem staczał się i do rzeki wpadał ciężki kamień.

W powietrzu unosił się już zapach odmarzłej ziemi, i odzywały się gwary odżywającego ptactwa; lecz natura była jeszcze szara, zimna, wilgocią przesiąknięta, burzliwymi ruchami wiatrów i wody wydobywająca się z kajdan zimy.

W chacie Pawła żelazne łomy, na długi czas już niepotrzebne, stały w kącie przy ścianie. Na ścianach wisiały naprawione sieci różnych rozmiarów. Stół i ławę okrywały świeżo ukrecone sznury różnej grubości i różnej wielkości, z drutu wyrobione haki i haczyki.

Daniłko, teraz już wysmukły, ośmnastoletni, ładny chłopak, przez cały prawie dzień pomagał Pawłowi sznury kręcić i haczyki robić. Zajmował się tem z wielką ochotą, bo, tak jak i Paweł, do rybołówstwa uczuwał od dzieciństwa pociąg, z namiętnością graniczący.

Przed południem z dzieckiem na rękę przyszła Ulana. Było to czwarte już jej dziecko, którego chrzciny odbyły się tej zimy, a Paweł był na nich, ze zgromadzonemi sąsiadami ochotnie rozmawiał i matce nowonarodzonego wiele przyjaźni okazywał.

Na tychto chrzcinach najmocniej utrwaliło się przekonanie, że o niegodziwej żonce zupełnie już zapomnial i nad jej utratą smuć się ani myśli. I owszem: pewnie cieszy się, że go porzuciła, i że to głupstwo, które zrobił, większego nieszczęścia mu nie sprawiło.

Filip nawet, na chrzcinach syna podpiwszy sobie, wesoło szwagra chłopskiem przysłowiem zaczął:

— A co, dziewier? jak toj kazau... baba z kalos, kalosom lehczej!

Teraz Ulana, niemowlę, w ciepłą chustkę owinięte, na pościeli brata złożywszy, ogień roznieciła i zgotowała strawę, którą potem Paweł i Daniłko razem jedli. Przed ogniem stojąc, ta silna, zdrowa, hoża kobieta mówiła ciągle: to o nowych deskach, które Filip do wyreparowania promu swego potrzebuje, to o tem, że im pewnie trochę zboża do nowego zabraknie, to, że najstarszy jej syn, Szymonek, gwałtem butów napierać się już zaczął...

O potrzebie nowych desek i małym zapasie zboża mówiąc, z ukosa zerkąła na brata, i błękitne jej oczy połyskiwały przytem trochę chciwemi błyskawicami. Spodziewała się widocznie i bardzo pragnęła, aby on jej w tych dość ważnych kłopotach z pomocą przyszedł. Opowiadając zaś o małym Szymonku i jego zachciankach, śmiała się tak, że wszystkie śnieżne zęby z za pełnych, koralowych warg pokazywała.

Paweł uważnie słuchał, głową potakująco trząsł, do zrozumienia tem dając, że kłopoty siostry rozumie i że do zaradzenia im dopomoże. Żółtego Kurtę, który poufale wił się mu u nóg, chlebem i kartoflami karmił, poczem niemowlę z pościeli wzięwszy, trochę je w rękach pohustał i gwizdaniem zabawił.

Z dziedzińca Koźlukowej chaty dał się słyszeć donośny głos Filipa, żonę przywołującego. Ulana dziecko z rąk brata wzięła i śpiesznie wybiegła.

Wkrótce potem na przeciwnym brzegu rzeki ozwało się przeciągłe, po kilka razy powtarzające się wołanie:

— Prooom! Prooom! Prooom!

Daniłko sznur, do połowy ukrecony, porzucił i z chaty wypadł. Musiał Filipowi na pomoc bieć. Teraz po szeroko rozlanej, burzliwej rzece prom na łodziach szostami przeprowadzić nie było rzeczą łatwą. Kto wie, czy we dwóch podolają?

To też po upływie minuty, tuż za oknem Pawła Filip zawołał:

— *Dziewier!* chodźcie, pomóżcie! zmiłujcie się, pomóżcie!

— A trzeci szost jest? — donośnie zapytał Paweł.

— Jest! jest! — odkrzyknął Filip.

Paweł czapkę na głowę włożył i, tak jak był, w krótkiej siermiędze i wysokich butach, poszedł szwagrowi na promie pomagać.

Gdy z promu wrócił, w izbie było już prawie zupełnie ciemno.

Ułana garnek ze strawą na wieczerzę pozostawioną w piecu umieściła i otwór pieca drewnianą deską zasunęła. Ognia więc nie było, w jednym kącie tylko mętnie pobłyskiwał samowarek, a w drugim czerniały nagromadzone tam łomy, wiosła, miotły i kosze. Na ścianach wiszące sieci wyglądały jak błędne, bezkształtne cienie.

Za oknem wiatr szumiał, i gęsty deszcz marcowy padał; z drugiej strony dochodził, przez oddalenie osłabiony, monotony i głuchy szum rzeki.

Paweł lampkę zapalił i, okrywając stół haki i sznur nieco odgarnawszy, pod światłem jej książkę rozłożył. Była to ta sama, co i przed trzema laty, «Służba Boża», przez Frankę tu przywieziona i pozostawiona. Przez pierwszą zimę Paweł, nic nie opuszczając, przeczytał stronnic sześćdziesiąt, przez drugą dwa razy tyle, a przez trzecią daleko już więcej. Jednak całej przeczytać jeszcze nie zdołał. Modlitwy, które mu najwięcej się podobały, świętymi obrazkami zakładał. Tych obrazków w książce było dość dużo, pomiędzy nimi zaś znajdowały się bilety z powinszowaniem Nowego Roku lub imienin, od miejskich znajomych i przyjaciół przez nią otrzymywane. Składały się one z wielkich jaskrawych róż, girland, bukietów, na twardym papierze malowanych lub naklejanych. Były też tam czerwone serca, złotymi strzałami poprzebijane, i żółte kupidyny ze świecącymi skrzydłami.

U spodu lub dokoła tych wyobrażeń znajdowały się grube napisy, wyrażające imiona i nazwiska kawalerów, od których dary te pochodziły, oraz datę ofiarowania ich France; ale Paweł napisów tych wyczytać nie umiał i bilety te za święte także obrazki poczytywał; kupidyny, poprostu, brał za aniołków.

«Służbę Bożą» otworzywszy, bilet z czerwonym sercem, przez kupidyny trzymanem, pobożnie ku ustom podniósł, pocałował i ostrożnie, delikatnie napowrót go do książki włożywszy, jak zwykle, półgłosem powoli bąkać zaczął:

— Przygotuj ozdobny przybytek twój, S-y — sy, o — o, syo, n-i-e — nie, Sy-o-nie.

Umilkł i z oczyma, wlepionymi w książkę, zamyślił się. Zamyślił się nad tem, kto to być może ten Syon? Musi król jaki, a może i pan bardzo bogaty, kiedy jemu święta książka ozdobny przybytek przygotowywać nakazuje. Co znaczy: ozdobny przybytek rozumiał, i wyrazy te przed wyobraźnią mu stawały wielką i wszelkich ozdób pełną salę, którą w jednym ze znajomych dworów przez otwierające się drzwi przedpokoju czasem widywał.

Ale kto ten Syon?

— I przyjmij Kró-la Chry-stu-sa...

Przed wrotami coś, jakby koła po mokrej ziemi toczące się, zaturkotało i ucichło; Kurta na przyległym podwórku zaszczekał; wrota skrzypnęły. Paweł twarz podniósł i słu-chał. Nic; cicho.

Za oknem, jakby kto całun zawiesił, tak ciemno, i wiatr z deszczem coraz głośniejszumi.

Paweł do książki powrócił.

— Rozmiłuj się w Ma... w Ma-rji...

Pomyślał chwilę.

— Aha! to jemu Syonu, królu jakimuś, czy bogatemu panu, święta książka w Marji rozmiłować się nakazuje!...

I czytał dalej:

— Ona bo... bo-w-i-e-m, — bowiem jest bramą niebieską...

Westchnął.

— Oj, żeby to człowiek po śmierci tej bramy niebieskiej dostał!...

Teraz wyraźnie usłyszał, że w sieni drzwi od podwórza skrzypnęły.

— Pewno Awdocia... — półgłosem wymówił, ale zarazem wyprostował się, jak stru-  
na.

W sieni słyhać było stąpanie, lecz nie stąpanie Awdoci, ociężałe i grubemi butami głośno stukające. Ktoś tam szedł cicho, nieśmiało, na podobieństwo skradającej się myszy. Paweł, wciąż, jak struna wyprostowany, bezwiednie palcami mnąc żółtą kartkę książki, oczy w zamknięte drzwi wlepił. Ale ciche, nieśmiałe kroki umilkły, a drzwi się nie otwierały. Coś jednak znowu za nimi zaszleściło i umilkło, a Pawłowi zdawało się, że słyszy szmer ciężkiego i z całej siły tłumionego oddechu. Z podniesionymi brwiami i z twarzą wzburzoną poszedł ku drzwiom i popędliwym ruchem naocież je otworzył.

— Kto tu?! — zawołał.

Z ciemności zalegających się, z pod samej ściany wyszedł nieśmiały szept:

— To ja.

— Kto? — powtórzył i cały naprzód się podał.

— Ja... Franka!

On wysoki próg przeskoczył, omackiem przy ścianie znalazł ramię, w twardym, od deszczu przemokłym rękawie i, z całej siły je schwyciwszy, do izby wciągnął niewysoką, szczupłą, ciemną postać, w paltocie, po którego twardej i poplamionej powierzchni ściekała woda, z głową i twarzą całkiem prawie zawiniętą w grubą, podartą chustę. Kiedy już blade światło palącej się na stole lampki na nią spłynęło, ona, niema i z opuszczonymi rękoma, zatrzymała się u drzwi; on ramię jej puścił i, z wlepionym w nią wzrokiem, głosem takim, jakby czkawka go porywała, zawołał:

— Ty... ty... ty!...

Wśród fałd mokrej chusty czarne, wielkie, zapadłe oczy jak żuźle świeciły, a wąskie blade usta jeszcze ciszej, jeszcze nieśmielej, niż wprzód wyszeptaly:

— Ja... nie gniewaj się...

Ale on tego, co mówiła, nawet nie słyszał.

— Taki powróciła!... a ja już i nie spodziewał się... wprzód spodziewał się... a potem i przestał...

Zachłysnął się, dłońmi plasnął, głośno i ciągle polykał ślinę i łzy, które mu w oczach świeciły.

Ciemna, przemokła, nieruchomie u drzwi stojąca postać głośniejsze nieco, choć bardzo nieśmiało, przemówiła:

— Kiedy można mnie tu zostać, to dobrze, a kiedy nie, to zaraz pójdę sobie...

— Ot, durna! — zaśmiał się teraz na całe gardło. — Rozdziewaj się, chuchaj, chuchaj, a to jeszcze zachwarasz od tej mokrości.

Jak zwykle, gdy był wzruszonym, po chłopsku mówił, chustkę jej z głowy odwiązując, prawie zrywając. Ona, czy z zimna, czy z innej przyczyny, drżała tak, że aż zęby jej dzwoniły. Zicha powiedziała, że paltota nie zdejmie, bo deszcz go po wierzchu tylko zmoczył, a bez niego będzie jej bardzo zimno i, nic już nie mówiąc, na tapczanie, okrytym pościelą Pawła, ze zwieszoną głową i rękoma na kolana opuszczonymi, usiadła. Włosy roztargane i rozplecione opuszczały się jej na czoło i plecy, a z pośród wilgotnej ich czarności wyglądała twarz drobna, żółta, zmartwiona, sterana, z cieniem długich spuszczonej rzes na drgających i chudych policzkach. Paweł ze zwieszonymi ramionami i silnie splecionymi rękoma stał przed nią i, jak w tęczę, w nią patrzył.

— Taki powróciła... — mówił — taki znów z czartouskich pazurów wyrwała się... taki poznała, gdzie jej dobro i wybawienie... Oj, mojaż ty biedna, mojaż ty nieszczęśliwa!...

Nagle odwrócił się i do pieca poszedł.

— Ogień zaraz rozpalę. Krupniku gorącego dam, albo i herbaty zgotuję... Zaraz i rozgrzejesz się, i lepiej tobie stanie...

Piec znajdował się blisko drzwi i, gdy Paweł ku niemu postąpił, Franka przestraszonym wzrokiem za nim rzuciła i zicha krzyknęła:

— Oj!

Niespokojnie obejrzał się na nią.

— A co? Pewno chora? Pewno we środku boli? Niemało widać wszelakiej biedy zniosła i w takie zimno przyjechała. Poczekaj! minutkę poczekaj! Zaraz ogień będzie, i wszystko będzie...

Rękę do włosów z zakłopotaniem podniósł.

— Trzasek niema... Kab ich... w sieniach zostawił... poczekaj, minutkę poczekaj!

Ręką drzwi dotykał, gdy Franka daleko głośniejsze, niż wprzód, prawie przeraźliwie krzyknęła:

— Oj! nie idź tam... nie idź...

Z przestachem na nią spojrział.

— Czemu? — zapytał.

Ona, nie ruszając się z miejsca, trzęsła się teraz, jak w febrze i, ręce łamiąc, nieprzytomnie mówiła:

— Oj, co ja zrobię? co ja zrobię? co z tego będzie? Kiedy pociemku pójdziesz, to nastąpisz i zadusisz, a kiedy ze światłem pójdziesz... to zobaczysz i mnie zaraz wypędzisz...

Co mnie tu nieszczęśliwej robić? Co z tego będzie? O, Jezu! O, Panno Marjo Przenajświętsza, ratujcie mnie nieszczęśliwą!

Przerażony, z ręką na klamce drzwi, pytać zaczął:

— Z czego co będzie? Na kogo ja tam nastąpię? Kto tam taki w sieniach?

Obu rękoma twarz zakryła i ze spazmatycznym płaczem wyrzuciła głośno wyraz:

— Dziecko!

Przez parę minut, jak skamieniały, jak do miejsca przykuty, z pochyloną twarzą i grubemi fałdami na czole, przy drzwiach stał, aż zwolna ku stołowi postąpił, lampkę wziął i również powoli do sieni z nią wyszedł.

Po chwili z czemś, w grube i wilgotne łachmany owiniętem, a żadnej wyraźnej formy nie mającym, wrócił i, milcząc, zawinięcie to na pościeli obok Franki położył.

Ona każdy ruch jego ściagała przestraszonym, nieprzytomnym wzrokiem swoich czarnych, palących się oczu; on, nie patrząc na nią, zniżonym głosem zapytał:

— Czemuż od razu do izby nie wniosła, a jak to szczenię w zimnie na ziemi porzuciła?

Kurczowo ręce ściskając, odszepnęła:

— Bałam się...

Do pieca odszedł i ogień rozniecać zaczął. Czynił to bez uprzedniego pośpiechu, bez tej luny gwałtownej radości, która przedtem twarz mu oblewała. Owszem, czoło w dwie grube fałdy ściągnięte i usta silnie zwarte nadawały mu pozór posępny i surowy.

Garnek z krupnikiem do ognia przystawił, w małym imbryku herbatę zgotował i bochen chleba razem z dużym nożem na stole położył.

— Chodź jeść!

Od kwadransa było to pierwsze słowo, które wymówił, a wymawiał je, nie patrząc na Frankę.

Ona, jak odrętwiała, jak skamieniała, żadnego poruszenia nie zrobiła. Z leżącego na pościeli zwoju grubych płacht ozwało się głośne jęklive wołanie:

— Ma-mo! Ma-mo! — i w chlipiący płacz już przechodziło.

Franka nie poruszała się jeszcze i zdawała się nie widzieć i nie słyszeć nic. Paweł nagłym ruchem zwrócił się ku niej. Fałdy jego czoła pogłębiły się jeszcze, a zniżony głos gniewnie zabrzmiał:

— Czemuż dziecka ze szmat nie rozwiniesz? Możeby chciała, żeby zadusiło się, ha? Łajdaczka!

Jak sprężyną podjęta, wstała, długo drżącymi rękoma rozwiązywała chusty, aż wydo-  
było się z nich i na pościeli usiadło stworzenie drobne, chude, wpół-bose i wpół-okryte  
suknią jaskrawoczerwoną, lecz tak podartą, że na ramionach i piersi szeroko ukazywała  
żółte i drobnymi kośćmi sterczące ciało. Jasne gęste i długie włosy, jak roztargana kądziel,  
wznosiły się mu nad głową, a świecące pod niemi czarne, jak węgiel, oczy z chciwością  
wpiły się w leżący na stole bochen chleba.

— Daj... daj... daj!... — na całą izbę zadzwonił cienki, płaczem nabrzmiały głosik,  
i z czerwonego, podartego łachmanka dwa drobne, cienkie, prawie jak wosk żółte ramiona  
wyciągnęły się w kierunku stołu i chleba.

— Czegóż stoisz, jak słup? — tym samym, co wprzód, szorstkim głosem, ozwał się  
Paweł. — Przynieś jego tu i nakarm. Słyszysz? nu!

Jak automat posłuszna, wzięła dziecię na ręce i ku stołowi je niosła. Kilkanaście mie-  
sięcy przynajmniej mieć musiało, skoro już mówiło i przedmioty rozpoznawać mogło,  
jednak było tak drobne i lekkie, że nawet ta wątła, wychudła, zmęczona kobieta jak piór-  
ko je niosła. Przy stole z nim usiadła i kawał chleba włożyła w małe ręce, które go zaraz  
z chciwością do ust poniosły.

Paweł postawił przed nią talerz dymiącego się krupniku.

— Jedz i dziecku daj — mówił, a sam o parę kroków pod ścianą w cieniu usiadł.

Widocznie usiłowała jeść, ale nie mogła; żywność nie przechodziła jej przez gardło,  
i oczy co chwila nabrzmiwały łzami. Dmuchianiem na drewnianą łyżkę krupnik studziła  
i dziecku potrosze do ust wlewała.

W izbie panowało milczenie, przerywane tylko głośnym wciąganiem płynu przez usta  
dziecięce i ciężkim oddechem Pawła. Z cienia, w którym siedział, nie można było dostrzec,  
czy na Frankę patrzył; jednak po chwili krótko i ostro przemówił:

— Czemu nie jesz?



— Nie chcę — ledwie dosłyszalnym głosem odpowiedziała.

Wstał, chwilę przed piecem coś robił, a potem zielonawą szklanekę herbaty przed nią postawiwszy, znowu na uprzednim miejscu zdala od stołu usiadł.

Dziecko, zjedzeniem trochę gorącego krupniku rozgrzane i nasycone, jak ptak zatrzepotało i, z małym palcem ku szklance wyciągniętym, wykrzyknęło:

— Batka! Bat-ka! Batka!

A w tejże chwili, ujrawszy parę kawałków cukru, które Paweł przy szklance położył, jeszcze głośniejsze wołać zaczęło:

— Aj, aj! Ciu-kiel! Ciu-kiel! aj! aj! aj! Ciukiel!

I kilka razy jeszcze potem w milczącej izbie, naprzeciw okna, zawieszono z zewnątrz czarnym całunem, cienki, donośny, radosny głosik dziecięcy — jeden ten wyraz, na dwie sylaby rozdzielany, powtórzył. Podobne to było trochę do srebrnego dźwięku jednostajnie poruszanego dzwonka, a trochę do słodkiego gruchania synogarlicy.

Franka ku tym małym, gruchającym ustom przechylała szklanekę z wystudzoną herbatą, gdy ręka jej drgnęła, bo w cieniu, pod ścianą, niski, lecz mniej niż wprzód szorstki głos męski wymówił:

— Chrzczone?

— A jakże! — odszepnęła.

— Jakżeż ono nazywa się?

— Oktawjan.

— Oktawjan — powtórzył i umilkł, a po kilku zaledwie minutach zapytał znowu:

— Wiele jemu będzie?

— Rok i ośm miesięcy — odpowiedziała.

Dziecko kilka razy tylko przełknęło trochę herbaty, resztę z widoczną poządlivością wypila Franka, zjadając przytem parę kęsów chleba.

— Chcesz więcej? — zapytał Paweł.

Zcicha i drżącymi ustami odpowiedziała, że herbaty więcej nie chce, i że dziecko senne.

Sennem istotnie było: podróż je zmęczyła i rozmarzało ciepło ognia. Głowę schylając na ramię matki i powieki mrużąc, raz jeszcze jednak cichutko zaszczebotało:

— Ciu-klu! daj... daj... daj!...

I długie, tak jak u Franki, rzęsy opadły mu na chude policzki, usta zaś, do bladego listka róży podobne, zamknęły się z cichym uśmiechem. Franka nie wstawała jednak; oczy jej, ciągle łzami nabrzmiałe, z ponurym smutkiem tkwiły w chropowatej powierzchni stołu.

Paweł też milczał długo; potem wstał.

— Nu, idzi spać! — przemówił.

Na tapczan z pościelą wskazał.

— Kładnij się i dziecko przy sobie połóż... ja na zydlu przenocuję...

Wstała i, z dzieckiem na ręku parę kroków zrobiwszy, nieruchomie przed nim stanęła.

— Czego chcesz? — szorstko zapytał.

Milcząc, wzięła jego rękę i do ust ją podniosła. On rękę z dłoni jej wysunął, twarz ku ścianie zwrócił.

— Nu, idź spać... idź spać... Bóg z tobą... — przemówił i prędkim, mimowolnym jakby ruchem dłonią po włosach jej powiódł.

Ale wnet odwrócił się i naprzód lampkę, a potem resztki ognia w piecu zagasił. Gruba ciemność zalegała izbę, w której przez parę minut słychać jeszcze było szelest rozbierania się Franki, a potem już tylko szemrały w niej ciche oddechy dwóch głęboko uspiomych istot: kobiety i dziecka. Lecz u przeciwległej ścianie długo w noc i co chwila ciężkie ciało z szelestem i stukiem przewracało się na twardej ławie, odzywały się długie westchnienia, i głośny szepet, to z żalnością i rozpaczą, to z trwogą i skruchą Boskie imiona wymawiał. Była tam widocznie dusza ludzka, burzą sprzecznych uczuć dręczona i miotana. Dlaczego? Wszak to małe stworzenie, które, jak ptaszę nie mające gniazda, niespodzianie do jego chaty spadło, nie uwiadomiło go o niczem, o czemby on i przedtem dobrze nie wiedział. Tak; ale świadomość tę ono w żywe kształty przyoblekło, w niezbity dowód zaopatrzyło: było ostrzem, które ugrzęzło w ranie jego serca, nie pozwalając mu już ani na chwilę o niej zapomnieć i ognistą literą wyraźnie wypisując przed nim to, co on za grzech poczytywał i czem się brzydził.

W tą noc długą, czarną, był pewnym, że aniołowie i czarty szarpią go i rozdzierają, wzajem sobie duszę jego wyrrywając. Litość i radość, to wściekłość i rozpacz, zkolei go zdejmowały.

Dłonie i palce tak silnie splatał, że w grubej ciemności wraz z westchnieniami: „O, Jezu, Jezu!” słychać było suche trzeszczenie stawów.

Co tu robić?

Czy, gdy dzień zaświta, pieniądze jej dać, choćby wszystko, co w chacie jest, oddać i powiedzieć jej, aby razem ze swoim bękartem szła sobie precz w świat na zatracenie? Na zatracenie! A przysięgał przed Bogiem i samym sobą, że od zatracenia ją wyratuje... Ona przecież po ten ratunek do niego przyszła, i może to teraz taka u niej minuta nastąpiła, że czarta wyrzeczce się, a dobrą i pocziwą zostanie?

Gdzie tam! Nadzieja mała! Kiedy to było, żeby pijak wódki się wyrzekł? ona zaś, choć wódki nie pije — pijaczka! A w dodatku bękarta tego na zawsze już do chaty wziąć i jej grzechem a swoim wstydem popisywać się przed ludźmi! Toż będą w całej wsi ludzie rohotać, że on lokajskie dziecko hoduje! Wstyd! Oj, i żalność taka, że serce zdaje się całe krwią oblane...

— Nie chaczu, — gwałtownie zaszeptał — za niszto nie chaczu!

Ale, jeżeli teraz z chaty ją wyprawi, ona już nie powróci nigdy, i on nigdy jej nie zobaczy, na te jej oczy świecące nie popatrzy, tych jej włosów, jak krucze skrzydła czarnych, nie pogładzi, tego jej śmiechu głośniego, długiego, który nad życie lubił, nie posłyszysz...

Z głuchem łkaniem tym razem połączony, w ciemności rozległ się szept:

— Nie mahu, aj! Bożeż mój, Boże, za niszto nie mahu!

I jeszcze:

— Co mnie tu robić? Bożeż mój wszechmogący, co mnie tu począc, co robić?

Jednak, gdy dość późny jeszcze świt marcowy siwawem światłem rozpraszać począł ciemności izby, Paweł spał. Niezupełnie rozebrany, bez butów tylko i siermięgi, którą pod głowę sobie był podłożył, leżał na wąskiej ławie w całej długości wyciągnięty, w białej płóciennej odzieży, więcej niż kiedykolwiek barczysty i ogromny.

Jakkolwiek niedawno był zasnął, obudził się o zwykłej porze i, od razu zapewne wszystko, co stało się wczoraj, przypomniawszy, na łokciu podniesiony, z głową, na rękę opartą, na łóżko, naprzeciw stojące, nieruchomie się zapatrzył.

Franka, niezupełnie także rozebrana, bez paltota i trzewików tylko, spała głęboko i twardo. Widać, że przed zaśnięciem, z twarzą wtuloną w poduszkę, płakała jeszcze, bo i teraz część policzków i czoła w poduszcze tonęła, resztę zaś przezroczystą zasłoną okrywały i na plecy także spadające, czarne jej, gęste, falujące włosy. Przez cienki poplamiony kaftan ukazywała się, widocznie kośćmi łopatek stercząca, chudość jej pleców, a z pod obłocznego brzegu jej spódnicy wydobywały się stopy w podziurawionych i brudnych pończochach. Jakiś rozczochrany nieład i uliczna błotnistość, ale też jakaś niezgłębiona nędza, były od tej uśpionej, skurczonej postaci, o rozpuszczonych ślicznych włosach i przegładającej z za nich żółtej skórze twarzy.

Paweł z dwiema grubemi fałdami na czole wlepił w nią wilgotne, a zarazem ponure wejrzenie. Nagle po omglonym i posępnych cieniach nalany błękit jego źrenic przemknął nieledwie wesoły promień, a na zwarte, surowe usta spadł słaby zrazu uśmiech.

Jaskrawoczerwony punkcik, dotąd nieruchomie i bez wyraźnych kształtów obok ciemnego kaftana Franki leżący, wzdął się, poruszył i wydobył z siebie naprzód parę bosych, drobnych stópek, potem małą głowę z tak prawie żółtą, jak wosk, twarzą i wznoszącą się nad nią roztarganą kądzielią lnianą, nakoniec parę drobniejszych jeszcze, niż stopy, rączyn, które, ze strzępi podartych rękawów wydobyte, wzniosły się ku kądzieli i w niej utonęły. Nowością miejsca, w którym się znalazło, tułacz to dziecię bynajmniej nie przerażone, ze stopkami trochę za pościel wystającymi, z rękoma zatopionymi we włosach, poczęło owszem powoli, z głębokiem jakby zamyśleniem, wlepić swe czarne, wielkie oczy w różne zkolei punkty izby. Czy widok leżącego na stole chleba je ucieszył, czy zaciekawił mętny w sinym świetle błysk opartego o ścianę łomu — dość, że wyprostowało się ono, szerzej oczy otworzyło i z zadziwionem wzruszeniem ramion, z cichym chichotem zaszczębiotało:

— Chli-chli-chli-li-li-li!

Zupełnie niewiadomo, z jakiego języka dźwięki te pochodziły i co oznaczały, lecz na ustach Pawła rozszerzył się uśmiech, a oczy jego wciąż kierunek dziecięcych oczu ściagały, aż spotkały się z ich zadziwionem i trochę już przestraszonym spojrzeniem.

Widok nieznanego człowieka przestraszył nieco dziecko. Znieruchomiało i, ręce od włosów odrywając, jedną ze swych małych stóp, niby odporny oręż, niemi pochwyciło. U przeciwległej ścianie rozległ się szept:

— Chadzi tu...

Jednocześnie ruchem głowy i palca Paweł dziecko ku sobie przyzywał; ale ono, bosą stopkę coraz wyżej ku piersiom podnosząc, już, już do wybuchnięcia płaczem blade usta wykrzywiać zaczęło, gdy na ławie leżący i na łokciu wsparty człowiek powtórzył:

— Chadzi, cukru dam...

W mgnieniu oka bosa stopka ze ściskających ją z całej siły rączyń wypadła i wraz z drugą swą towarzyszką ku ziemi opuszczać się zaczęła.

Zarazem po izbie, szarem światłem napelnionej, ni to dzwonienie monotonne i srebrne, ni to gruchanie synogarlicy, rozległy się dźwięki:

— Ciuk-lu! Ciuk-lu! Ciuk-lu!

Paweł wstał z ławy i ku czerwonej szafce szedł, a za nim po glinianej podłodze bose, dziecięce stopki tętniały prędko, prędko... Gdy z kawałkiem cukru w palcach odwrócił się od szafki, u samych stóp jego stało malutkie, czerwone stworzonko, ze wzniesionymi ku niemu czarnymi oczyma i cienkimi, chudymi ramionami.

Na całą izbę dzwonił cienki głosik:

— Daj... daj... daj!...

Czerwona sukienka dziecięca, czarnymi centkami usiana, przywiodła mu na pamięć owad malutki, śliczny, nieszkodliwy, kołyszący się w lecie na zielonych trawach.

Pochylił się, dziecko, które już cukier cmokało, w ramiona wziął.

— Oj, ty, Boża krówko maleniczka! — zaszeptał — Boskie stworzenie, niczemu nie winne.

Na kolanach je trzymając, u okna na ławie usiadł. Teraz już z drugiej strony chaty kędyś za Niemnem słońce wschodziło i w siną szarość świtu rzucało smugi bladorożowej i złotej światłości.

Na podwórzu Koźluków, przez okno Pawła z za przezroczystego płotu widziałem, od zamkniętych jeszcze drzwi chaty ku śmietnisku, a stamtąd ku wrotom, węsząc coś, czegoś szukając, biegł żółty Kurta.

Dziecko, w jednej ręce spory kawał chleba, a w drugiej cukier trzymając, przez małe szyby chciwym wzrokiem ruchy psa ściagało, aż zaszczebiotało:

— Ciu-cia! Ciu-cia!

— Ciucia... sobaczka! — odpowiedział Paweł.

Dźwiękiem jego głosu zdziwione, czy zaciekawione, dziecko całą twarzą zwróciło się ku niemu i z namysłem jakby zapytało:

— A ti... ti... kto?

Kiedy zaś nie odpowiadał i z dwiema znowu grubymi fałdami na czole w milczeniu na nie spoglądał, drobną ręką targać go za rękaw koszuli zaczęło.

— Kto ti? Kto ti? Kto ti? — brzmiało znowu po izbie ni to srebrne dzwonienie, ni to szczebiot wróbla.

A gdy Paweł nie odpowiadał jeszcze — o pytaniu swem zapominając, wykrzyknęło:

— Kicia!

Za oknem, pod płotem chyłkiem przebiegającego kota zobaczyło.

Kiedy Franka obudziła się i powieki podniosła, w oczach jej odmalowało się zdumienie, z przerażeniem graniczące. Paweł siedział u okna, profilem do izby zwrócony, i w szerokich swych dłoniach trzymał dziecko, które, na kolanach jego stojąc, drobne palce zatapiało mu w krótkim i siwiejącym zaroście. Szybko zsunęła się z pościeli, nie wkładając trzewików, cicho ku oknu podeszła i taki ruch uczyniła, jakby chciała dziecko z kolan jego wziąć.

Obejrzał się, wzrokiem spotkał jej przestraszone spojrzenie i, bliżej ku sobie przygarbiając dziecko, krótko rzekł:

— Nie trzeba!

— Dokuczy — zauważyła zcicha.

Nie odpowiedział nic. Widocznie chora, drżała na całym ciele, choć w chacie wcale zimno nie było, i otulała się swoim podartym kaftanem.

— Może ogień rozpalić? — zapytała.

— Rozpal.

Zaczęła krzątać się około pieca; mimowolne stękania wyrwały się jej z piersi, i obu dłońmi chwytając się czasem za głowę. Jednak ogień roznieciła prędko; dziecko, z kolan Pawła zeskoczywszy, dreptało za nią, przypatrując się jej robocie, a na widok ognia, który wesołym płomieniem buchnął w piecu, z radości krzyknęło.

Do ognia twarzą zwrócona, zapytała znowu:

— Może kartofli obrać i zgotować?

— Zgotuj — odpowiedział i, z ławy wstawszy, siermięgę i buty w milczeniu włożył.

Potem, kawał chleba z bochna ukroiwszy, do kieszeni go schował i ku drzwiom z czapką w rękę szedł. Przede drzwiami zatrzymał się, na kobietę, przed ogniem stojącą, spojrzął, a spotkawszy się z jej niespokojnym wzrokiem, powieki spuścił.

— Wszystko w chacie na tym samym miejscu, gdzie dawniej było — niższym głosem zaczął — bierz, gotuj, jedz i dziecku dawaj. Rób, co chcesz. Ty tu znów taka sama gospodyni, jak i wprzódy była.

Cała naprzód podana, z trwogą w oczach wsłuchiwała się w jego słowa, a przy ostatnich uczyniła ruch taki, jakby rzucić się ku niemu chciała. Ale on prędko zwrócił się ku drzwiom i z progu, nie oglądając się, rzekł jeszcze:

— Przed wieczorem powrócę... jeżeli boisz się sama zostawać, drzwi na zasuwkę zamknij.

Mocne postanowienie już był powziął, ale było w nim jeszcze coś, co go ku wolnemu powietrzu, ku bystrej, burzliwej wodzie ciągnęło: może jakiś wstyd niepokonany, ból, nożem w sercu tkwiący.

Dwa wiosła w sieni stojące wziął i, o ramiona je oparłszy, szerokimi krokami z góry zstąpił. Wkrótce wśród szerokiego szlaku rozlanej rzeki czółno jego, jak czarny punkcik, na ciemnych falach wznosząc się i opadając, z szybkością ptasią w dal pomykało, a przed nim, za nim, wkoło niego, rozlegał się szumiący i nieprzerwany śpiew bystrej, burzliwej wody. Szumnie i nieprzerwanie śpiewała mu ona teraz o ranach zdradzonej miłości i żądłach zazdrości i o słodyczach nadziei, zmieszanych z trucizną wspomnień, przedewszystkiem zaś może, przedewszystkiem o tym zadaniu ludzkim, dobrem, świętem — ratowania i zbawiania, które już było zniknęło mu z oczu, a teraz znowu przed nim powstawało i blask, podobny do księżycowego światła, rzucało na postarzałe, siwiejącymi włosy okolone jego oblicze.

Na godzinę przed zmrokiem wszedł do chaty i zobaczył Frankę, na łóżku leżącą. Nie spała i, ujrawszy wchodzącego, szybko na pościeli usiadła, z głowy wilgotną chustkę zrywając.

Stawiając u ściany wiosła, zapytał:

— Głowa boli?

Odpowiedziała, że teraz jest jej daleko już lepiej: odpoczęła...

— To i dobrze, że odpoczęła...

A po krótkiej chwili zapytał:

— Chtawjan śpi?

— Zasnął. Cały dzień dokazywał tak, że niech Pan Bóg broni, wszystko w izbie ruszał, pytając się: co to? co to? a ona bała się bardzo, aby czego nie zepsuł i szkody jakiej, broń Boże, nie zrobił. Ale teraz już, chwała Bogu, zasnął...

Wszystko to mówiła trochę już śmielej i głośniej, ale z siedzenia nie wstawała, a w mówieniu i postawie czuć jeszcze było trwogę i niepewność.

Po chwili rzekła:

— Kaszy gryczanej zgotowałam... w piecu stoi i pewno gorąca.

Paweł wyjął z pieca garnek i kawał chleba ukroił. Jadł powoli, dość długo, nie przy stole jednak, ale przed piecem stojąc, potem na ławie siadł i do kobiety, nieruchomie na łóżku siedzącej, przemówił:

— Chodźże tu, pogadamy!

Głos jego brzmiał łagodnie. Kiedy Franka zsuwała się z pościeli i przez izbę przechodziła, ruchy jej miały już w sobie coś z dawnej żywości i gibkiej, kociej gracji. Jednak nie

otoczyła, jak dawniej, ramieniem szyi człowieka, obok którego usiadła, i nie zwinęła się nakształt rozpieszczonej kotki u jego piersi.

Z rękoma na kolana opuszczonymi siedziała, milcząc i czekając. Choć łagodniej już do niej przemawiał, choć powiedział, że ona tu gospodynią jest tak, jak i wprzódy, wcale jeszcze pewną nie była, co jej teraz powie i jak z nią postąpi.

— Nu — przemówił — dużo biedy i poniewierki nacierpiałaś się? Kontenta teraz, że ode mnie w świat poszła i znów drogi do piekła spróbowała? Miła musi ta droga, kiedy przyszłaś nazad, jak ta szczapa wychudła, chora i tak jak goła? ha! czemu szłaś i czemu powróciłaś?... gadajże!

O, tylko tego i tak wymówionego wezwania trzeba było, aby otworzyły się wszystkie, długo zamknięte upusty jej obfitej i burzliwej mowy, aby niepowstrzymanym strumieniem wylewać się z niej zaczął, przez te nowe lata włóczędzy nakipiały w jej piersi, war goryczy, zażaleń, gniewu! Jak błyskawica przemknęło jej przez głowę wspomnienie dalekiej chwili, w której na wyspie, wśród śnieżnych goździków powiedziała temu człowiekowi wszystko, wszystko, a on wtedy obszedł się z nią, jak ojciec z dzieckiem, jak spowiednik z pokutnicą, i nawet odtąd lubić ją zaczął.

Wspomnienie to ośmieliło ją do reszty i nowy bodziec dało chęci wywnetrzenia się, i bez tego już ją palącej. Ze zwykłą więc sobie, żadnymi względami nie powściąganą, ognistą i hardą szczerością, opowiadała mu naprzód, że w tym lokaju zakochała się jak szalona; sama nawet nie wie, jak i kiedy się to stało, ale ot, wprost przepadała za nim, żyć bez niego nie mogła. A on jej znów przysięgał, że wiecznie ją kochać będzie i że jej nigdy nie opuści. A tak słodko mówił, taki był delikatny i zawsze ładnie ubrany, jak pan. Bo też i z dobrej familji pochodził. Ojciec jego nawet szlachcicem był, a dzieci z biedy tylko w służbę poszły. Ona, gdy tylko go zobaczyła, poznała, że on z dobrej familji pochodzi, i to ją do niego odrazu pociągnęło. Z początku było jej w mieście bardzo dobrze i wesoło. Służbę znalazła w takim domu, gdzie sług było dużo i roboty niewiele. Karol prawie codziennie do niej przychodził; w niedziele i święta na spacer i do teatru ją prowadził. Było tak miesiące kilka, aż tu, buch! wziął i wyjechał; z panem tym, u którego służył, do dalekiego wielkiego miasta wyjechał.

Zegnając się z nią, jak bóbr płakał, ale mówił, że takiej służby, jak u tego pana, i takich korzyści, jak te, które z niej ma, na całym świecie nie znajdzie, więc warjatem byłby, gdyby się jej wyrzekał.

Co wyplakała, co nabłagała się, aby ją z sobą wziął, a on, tak samo płacząc, nie zgadzał się i nie zgadzał.

— Co ja tam z tobą będę robić? Na co ty mnie tam potrzebna?

I pojechał, a ona za nim, cościs we dwa tygodnie po jego wyjeździe, pojechała. Myślała, że do tego miasta, w którym on był, dojedzie i że on jej w tem wielkiem nieszczęściu, które nadchodziło, z pomocą stanie. Ale już tylko niewiele drogi ujechała, i w inszem zupełnie mieście nieszczęście ją zaskoczyło...

Urodziło się dziecko. Dała mu na chrzcie imię Oktawjan, bo to bardzo piękne imię i między prostymi ludźmi nie używane.

Do Karola nawet pisać nie mogła, bo nie wiedziała ani ulicy, ani domu, w którym ze swoim panem mieszkał. On, albo nie wiedział sam o tem, kiedy się z nią zegnał, albo powiedzieć nie chciał.

Zniosła ona wtedy nędzę taką, jakiej nigdy jeszcze nie znosiła! Wszystkie pieniądze, które miała, wydała na najęcie kąta w izbie jakiejś praczki, a na jedzenie sprzedawała potem suknie i drobiazgi, jakie sobie w czasie ostatniej swej służby była kupiła.

W nieznanomem mieście nie łatwo było o służbę. Przez kilka miesięcy najmowała się po domach do prania bielizny i nawet do mycia podłóg, a że dziecko przytem karmiła i niewygody różne znosiła, sił jej często brakło i albo nic, albo bardzo mało zarobić mogła. Potem jednak służbę znalazła, dziecko u tej praczki za zapłatę zostawiła, i przez czas jakiś nieźleby jej było, gdyby zgryzota i żałość, i złość na tego niegodziwca, co ją stąd wyciągnął, a potem w najnieszczęśliwszem położeniu porzucił, nie piekły i nie męczyły tak, że suknię na sobie czasem w drobne kawałki darła, a w głowie jakby turkot dziesięciu wozów i szumienie dziesięciu samowarów czuła.

Bywała też czasem złą, wtedy szczególnie, kiedy o Pawle, o jego dobroci, o tej chacie cicheńkiej i mileńkiej, z której dobrowolnie uciekła, pomyślała; bywała tak złą, że, zdaje

się, zabiłaby każdego, ktoby jej w oczy wlał. Wlała jej raz w oczy kucharka, także złoźnica wielka; pokłóciły się, i ona tej kucharce garnek z gorącą wodą na głowę rzuciła. Gwałt w domu podniósł się wielki, przed sądem ją oskarżyli, sąd ją na trzy miesiące więzienia skazał. Więc do więzienia poszła.

Ot, napatrzyła się tam różnych różności! Ot, nasłuchiwała się! jedna z tych kobiet, z kóremi razem w więzieniu siedziała, męża swego otruła; druga dziecko zadusiła, kilka było takich, co domy podpałały, albo całe życie kradły. Wstyd jej było z takimi zbrodniarkami siedzieć, a do tego, że i proste to były kobiety, same prawie chamki i po chamsku mówiące. Coraz też większy turkot, szum i ból w głowie czuła, aż gdy ją z więzienia wypuścili, tyle tylko, że do dziecka zawlokła się, wycalowała je, nad ciężką dolą jego zapłakała i do szpitala poszła.

Tam przebyła miesiące kilka, na dziwną jakąś słabość chorując. Gorączki prawie nie miała, a jednak często bywała nieprzytomna i śmiechów jakichś albo płaczów dostawała takich, że ledwie, ledwie wśród nich ducha nie wyziewała. Kiedy ją to napadło, koldry szpitalne na kawałki darła i szklanki, w których jej lekarstwo dawano, tłukła. Nakoniec ją jednak od nieprzytomności i od tych śmiechów i płaczów doktorowie wyleczyli, a nawet to zrobili, że turkot w głowie ustał, i silniejszą niż przed chorobą się uczuła.

Ze szpitala wyszła, i taka ją chęć wrócenia do Pawła zdjęła, jakby temu, kto pić chce, trzy dni wody nie dawali.

— Pójdę i pójdę — myślała sobie.

Znowu do prania bielizny i mycia podłóg najmować się zaczęła, ale nie bardzo kto chciał ją do domu przyjmować, bo wszyscy wiedzieli, że z więzienia tylko co wyszła. A tu ta praczka ani jej, ani dziecka dłużej już u siebie trzymać nie chciała. Co tu począć? gdzie tu podziąć się — i jeszcze z dzieckiem! Uczuła, że znowu siły traci, i szumieć jej w głowie zaczyna... Sprzedała tedy wszystko, co jeszcze miała, nawet jedną z dwóch koszul; praczka też ta, dość litościwa, u jakichś znajomych państwa kilka rubli dla niej uprosiła, zabrała więc dziecko i pojechała. Wprzód koleją jechała, a od najbliższego miasta jednokonną furmanką chłop jakiś za złotówkę ją tu przywiózł, bo mu po drodze było, i zaraz też, jak tylko przed wrotami Pawła z wozu wysiadła, dalej sobie pojechał...

Ot, i wszystko!

Nie było to mało. Z oczu opowiadającej lzy ciekły cicho, ciągle ciekły po jej zapadłych policzkach i gęstym deszczem na ręce chude i na plamy kaftana spadały.

Paweł z głową zwieszoną słuchał i milczał; dopiero gdy mówić przestała, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, zcicha wymówił:

— Piekło! piekło! gorące piekło!

I wyglądał przytem tak, jakby go znowu i odwaga, i spokój, i wszelkie powzięte postanowienia opuszczały.

Ona pierwszych słów jego teraz, gdy już o wszystkim wiedział, jak wyroku śmierci lub życia oczekiwała, oddech nawet w sobie tłumiąc, u ściany skurczona i drżąca. Po prędkiej, czasem ostrej i gniewnej, a czasem płacziwej jej mowie, zapanowało w izbie głucho milczenie, przerywane tylko ciężkim oddechem Pawła i zdala dochodzącym głucho szmerem rzeki. Trwało tak dość długo, gdy u przeciwległej ściany dało się słyszeć naprzód ciche i niewyraźne skwierczenie, a potem cienki, żalony głosik zawołał:

— Ma-mo! ma-mo!

Ona, niepewnością tego, co spotkać ją miało, zdjęta, żadnego poruszenia nie uczyniła; Paweł zaś podniósł zwieszoną dotąd głowę.

— Chtawjan obudził się; idź zobacz go...

Poszła i dziecko na ręce wziąć chciała, ale ono, kapryśnym ruchem objęć jej uniknąwszy, zsunęło się z pościeli i do Pawła, który teraz u okna stał, pobiegło. Od kąta do kąta izby zadzwonił cienki głosik:

— Chli-chli, chli — chlip-ka!

Paweł tą przybiegającą mu do stóp czerwoną «Bożą krówkę» w ramionach z ziemi podniósł.

— Chlebka chcesz? ha? chlebka chcesz? — zapytał i w mizerną, niewinną twarz dziecka długo patrzył.

Możnaby mniemać, że oczy, od jakiegoś jaskrawego, ohydneho widoku rozbolące, widokiem tej dziecięcej nędzy i niewinności poił i goił.

— Chlebka chcesz? — powtórzył.

Ale Chtawjan o chlebku nie myślał wcale, syty był i czarne oczy, szeroko rozwarte, utkwił w szybie, przez którą znowu widać było poważnie tym razem siedzącego, u wrót Kurtę. Mały palec ku szybie wyciągnął i zaszczębiotał:

— Ciu-cia! ciu-cia!

— Sobaczka! — rzekł Paweł.

— Sio-bać-ka! — powtórzył Chtawjan.

I zaraz potem, ku człowiekowi, który na rękach swych go trzymał, zwracając się, poważnie zapytał:

— A ti kto?

I kilka jeszcze razy znana już zadawane przez się pytanie, ze śmiechem, z natarczywością, z rękoma, w zarost Pawła zatopionemi, powtórzył:

— Kto ti? Kto ti? Kto ti?

Paweł, nie spuszczać z niego oczu, uśmiechał się coraz wyraźniej i weselej.

— Tato! — odpowiedział.

— Ta-to? — jakby ze zdziwieniem, przechylając na bok główkę, zapytało dziecko.

— A tato!

Ale w tejże chwili uczuł, że cienkie i gibkie ramiona kolana mu obejmują.

Franka, klęcząc, do kolan jego głowę tuliła i dziękowała mu, dziękowała, bo teraz dopiero uwierzyła, że jej z chaty swej nie wypędzi i dla dziecka jej ojcem będzie. Jak wzburzony wrzątek wylewały się z niej słowa wdzięczności, radości, podziwienia dla jego dobroci. Potem zaczęła przysięgać, że teraz już zawsze, zawsze pocziwą i posłuszną będzie, a jego kochać i szanować nie przestanie do śmierci; gdyby zaś kiedy przestała, sama sobie pętlę na szyi zawiąże lub otruje się, aby ziemia takiego potwora już nie nosiła, jakimby ona była wtedy.

Paweł dziecko na ziemi postawił, a rozplakaną, u kolan jego po ziemi pełzającą kobietę na ławie posadził, a kiedy szlochać, dziękować, przysięgać nie przestawała, sam przy niej usiadł i zcicha, łagodnie przemówił:

— Cicho! no, cichoż już, moja ty biedna! Moja ty nieszczęśliwa! cicho! cicho!

W ręce go całowała, ale przybliżyć się do niego, objąć go nie śmiała jeszcze. Prędkim, gorączkowym szeptem mówiła:

— Od śmierci ty mnie, Pawełku, oj, drogieńki ty mój, złoty, brylantowy, od śmierci ty mnie wyratował, bo już ja takie postanowienie miałam, że jeżeli ty mnie nie przyjmiesz, wypędzisz — to dziecko pod jakim progiem zostawię, a sama otruję się...

Do kieszeni sukni sięgnęła i, wyjęty z niej papierek rozwinąwszy, ukazała w nim trochę białego proszku.

— Widzisz? — trucizna...

— W imię Ojca, i Syna... — przeżegnał się Paweł. — I do tego jeszcze czort ciebie kusił? Skądże ty wzięła tę truciznę?

Oho! ona, kiedy czego bardzo chce, zawsze na swoim postawić musi. Ta kobieta, która razem z nią w więzieniu za otrucie męża siedziała, rozpowiedziała jej, gdzie i jak trucizny dostać można. A ona, jadąc tu, myślała sobie: jeżeli Paweł mnie wypędzi, to albo powieszę się, albo otruję. Ale wieszac się brzydko. Tylko prości ludzie wieszają się. Dostała więc sobie trucizny, ale teraz już jej nie potrzebuje, bo Pawełek jej wszystko darował, i ona znowu będzie jego kochać, szanować i w tej miłej chateczce spokojnie sobie i szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem, siedzieć...

Przy ostatnich słowach papierka z białym proszkiem napowrót do kieszeni wsunęła i, z ławy zerwawszy się, w dłonie klaszcząc, chichocząc, parę razy jak wiewiórka podskoczyła. Ale Pawła jakby strach nagły ogarnął.

— Aaaa! jak tu ciemno zrobiło się — zauważył i, prędko izbę przeszedłszy, lampkę zapalił.

Chtawjan, u stóp wielkiego pieca na ziemi siedząc, węgle w garnku przesypywał i padaniu ich w głąb garnka głośnie wykrzykami wtórzył:

— Ba-ba-ba-bach!

Franka do dziecka przyskoczyła i tak gwałtownie całować je zaczęła, że aż krzyknęła z bólu.

— Oddaj węgle, — mówiła — oddaj, samowarek nastawię i herbatka będzie... herbatka... batka!

A gdy dziecko upierało się przy zostawieniu mu garnka, po plecach je dłonią uderzyła. Chtawjan głośno zapłakał.

Paweł surowo ozwał się:

— Za co bijesz? Daj jego tu!

Po sposobie, w jaki zawiązała się około nastawiania samowaru i przyrządzania herbaty, widać było, że teraz dopiero, ale już zupełnie uczuła się tu taką samą, jak dawniej, gospodynią. We troje potem herbatę z chlebem razowym pili; dziecko było wesołe; Franka gadatliwie i zupełnie już śmiało o znajomych we wsi wypytywała się; Paweł coraz łagodniejszym się stawał.

Kiedy nakoniec Chtawjan, na pościeli złożony, usnął, a Franka przycichła i poziewać zaczęła, Paweł wstał z ławy i rzekł:

— Nu, Franka, chodź, razem pacierze odmówim...

Ze zdziwieniem na niego patrzyła, on zaś rzekł jeszcze:

— A toż! Bez Boga ty do tego czasu żyła, a i czort przystęp do ciebie miał. I ja kiepsko postąpił, że odrazu do Pana Boga i do świętej modlitwy ciebie nie namawiał. Teraz ty znów z drogi do piekła uciekła i może już nie powrócisz, może upamiętasz się, i wszystko dobrze będzie... W świętej księżce pisze, żeby Syon rozmiłował się w Przenajświętszej Pannie Marji... może i ty rozmiłujesz się, i Ona ciebie od złego obroni. Klękaj i głośno powtarzaj za mną...

Ukląkł i obejrzał się, a widząc, że ona także uklękła, zaczął:

— W imię Ojca, i Syna...

Głośno i powoli odmówił Ojcie nasz, Zdrowaś Marja i Wierzę w Boga, a ciągle przysłuchiwał się, czy ona każde słowo za nim wymawia, gdy zaś którego nie wymówiła, oglądał się na nią i mówił:

— Powtarzaj...

Po skończeniu Wierzę w Boga, nie wstając z klęczek, «Służbę Bożą» ze stołu wziął i otworzył ją w miejscu, w którym założona była największym biletem, dnia imienin France winszującym.

Powoli, zgłoskę od zgłoski oddzielając, czytać zaczął:

— Modlitwa o zwy-cię-stwo w-s-z-e-l wszel, k-i-e kie, wszel-kie-go na-ło-gu g-r-z-e, grze-cho-we-go.

I całą, niedługą zresztą modlitwę, jedne wyrazy z łatwością, inne z trudnością wycytując, a niektóre sylabizując, przeczytał.

Przeczytawszy, Kupidyndy, unoszącego na bilecie wieniec różany, pobożnie pocałował, w tem samym miejscu książkę nim założony i, przeżegnawszy się jeszcze głośno, z klęczek powstał. Pogodę wielką i znowu jakby łagodną jasność księżycą na twarzy miał. Wzrokiem szczęśliwym objął głowę Franki, która, znużona i poziewająca, z ciekawością na niego patrzyła. Jak wprzód widok niewinności dziecięcej przebłagał go i ukoił, tak teraz zdawało się, że wspólnie odmówiona z tą kobietą modlitwa zupełnie ją w oczach jego oczyściła.

Po raz pierwszy, odkąd na nowo ją zobaczył, za szyję ją objął, głowę jej ku piersiom przycisnął i twarz tak długo, gorąco całował, jak długo i chciwie człowiek spragniony pije źródlaną wodę.

— Oj, Franka! — szepnął — jak ja ciebie lubię, strach, jak ja ciebie lubię! Pan Bóg dopomoże, że ty już teraz dobra i poczciwa będziesz... już ja widzę, że ty sama tego prawdziwie żądasz... Pan Bóg dopomoże... oj! jakże ja ciebie lubię! Mojaż ty miła! mojaż ty biedna, jak ja ciebie lubię!

Nazajutrz, wkrótce po wschodzie słońca, Chtawjana podartą chustką Franki owinał, na ręce wziął i do sieni wyszedł. Nim drzwi od podwórza otworzył, stał przed niemi chwilę, w postawie człowieka wahającego się i z czemś wewnątrznie walczącego. Trudno mu widać było z dzieckiem tem na ręku pokazać się przed ludźmi. Lokajskie dziecko! z końca świata przyniesione! Wstyd! Miał jednak przyczynę, dla której wszystkim pokazać chciał, że i z żoną pogodził się, i jej dziecko za swoje przyjął. Gęby im przez to pozamyka i do wiadomości da, że ani jej, ani dziecka krzywdzić nie pozwoli. W ostatniej przecież chwili odwagi mu zabrakło, u samych drzwi zawahał się, parę minut postął, aż zaszeptał:



— Bogu Przenajświętszemu na ofiarę... za jej nawrócenie... za zbawienie duszy grzesnej...

I wyszedł, chwilę przed progiem postął, a potem, podwórko przeszedłszy, we wrotach stanął.

Dzień był od poprzedzających cieplejszy, słoneczny; z dachów padały brylantowe krople, w drzewach nazabój świergotały wróble, po szerokim polu biegły szlaki zielonych runi. Drogą, przed wrotami ten i ów z wiosłem, siekierą, łopatą przechodził i Pawła, z dzieckiem na ręku we wrotach stojącego, ujrzawszy, głową kiwał i „niech będzie pochwalony”, albo „jak się macie?” mówił.

Na dziecko z mężczyzn nikt uwagi nie zwracał. Niektórzy myśleli pewno, że jest to jedno z dzieci Ulany, a inni do pracy śpieszyli, swoje kłopoty i potrzeby mieli. Ale dwie kobiety też drogą przeszły; jedna z nich szeroko tylko oczy i usta otworzyła, na Pawła popatrzała i dalej poszła; druga zaś, również z otworzonymi ustami stanęła, patrzyła, głową kiwała, aż przemówiła:

— A czyjeż to?

— Moje — uśmiechając się, odpowiedział Paweł.

Kobieta trochę wstydliwie, a trochę złośliwie zachichotała:

— A kiedyż to Pan Bóg dał?

— A kiedy dał, to dał, dość, że dał.

Chtawjana, który, wszystkim, co otaczało go, zadziwiony, spokojnie na rękach siedział, w głowę pocalował. Kobieta żywo odeszła i, na sąsiednie podwórko zawróciwszy, w drzwiach Koźlukowej chaty zniknęła. We wnętrzu tej chaty rozległy się i aż do Pawła doszły odgłosy żywych rozmów, a po chwili Ulana, z niemowlęciem swym na ręku i trojgiem dzieci otoczona, na podwórko wyszła; wyszła, stanęła, i dzieci stanęły, z za spódnicy jej wychylając pyzate, rumiane twarze i jasnowłose głowy. Na wilgotnej trawie dziedzińca, w świetle słońca, boso, w spódnicy, kostek nie sięgającej, i grubej białej koszuli, dziećmi otoczona, wyglądała jak wcielenie zdrowia, płodności i z hożą młodością złączonej powagi. Poważnie, milcząc, choć i z ciekawością na stojącego w oddali brata patrzyła.

W progu ukazał się wysoki, przystojny Filip, z za którego ramienia wychyliła się bezwąsa, jasna, ściągła, filuterna twarz Daniłka.

Paweł, siostrę ujrzawszy, powoli ku niej iść zaczął, a gdy już o krok jeden znalazł się przed nią, stanął i powolnym też głosem rzekł:

— Franka powróciła...

Ułana kiwnęła głową. Od wczoraj już wiedziała o tem od Daniłka, który zawsze wszystko wiedział, — ale, że Franka i dziecko z sobą przywiozła, nie dowiedział się, więc nikomu oznajmić nie mógł. Teraz domyśliła się wszystkiego i na Chtawjana, milcząc, ale z wyraźną niechęcią i wzgardą w oczach, patrzyła.

Filip nie mówił też nic, ale nagle, jakby przewyciężyć się nie mogąc, głośno splunął. Daniłko w ramieniu brata swawolny śmiech tłumić usiłował.

Czoło Pawła zbiegło się znowu w dwie grube fałdy. Wzrok ku dziecku zwrócił i rzekł:

— Niczemu ono nie winne... Boskie stworzenie!

— Ale! — odpowiedziała Ulana.

Chtawjan zaś do przelatującego wróbla palec wyciągnął i rzekł:

— Chli-chli-chli-li-li!

Wzrok Ulany trochę złagodniał, a Paweł po chwili milczenia ozwał się znowu:

— Ot, zwyczajnie... sierota!

— A toż...

Zawahala się trochę, palcami ramienia i piersi dziecka dotknęła.

— Ależ malenieczkie to i mizerniećkie; same kosteczki, taj skóra... Wieleż jemu?

— Rok i ośm miesięcy — odpowiedział Paweł.

— Aaaa! — zadziwiła się kobieta i na jedno z dzieci swoich popatrzała. — Toż memu rok i dwanaście niedziel, a jakie!

Zadowolenie i duma rozlały się po rumianej, pełnej jej twarzy. Ale na sierotę z litością spojrziała. Zato Filip ozwał się z progu:

— Dziewier, ej dziewier, na szto tobie hetyj benkart? Czy tobie nie wstyd będzie w oczy ludziom patrzeć?

Pawła oczy zaświeciły.

— Czego wstyd? Grzechu wstyd, a nad sierotą nieszczęśliwą zlitować się nijakiego wstydu niema. Ja Panu Bogu Najwyższemu za niego dziękuję... Przy dziecku i jej milej w chacie będzie, łatwiej grzech od duszy odpędzi i dobrą stanie...

— Oj! — pogardliwie i szydersko zaśmiał się Filip — kab złym ludziom tak dobrze na świecie było, jak ona dobrą stanie. Tego nigdy nie będzie.

W tej samej chwili przez niski płot, dwa podwórka rozdzielający, przeskoczyła Francka i ku rozmawiającym szybko, z głośnym śmiechem biegła. Twarz miała bardzo chudą, żółtą, ale uczesała się dziś gładko, krucze jej włosy lśniły jak jedwab, i mieniły się ciemnym szafirem. Poplamiony swój kaftan, kolorowym paskiem, zwanym dziaha, przepasała, i w tem nawet ubraniu zgrabna, obu ramionami uwisała odrazu na szyi Ulany, w policzki, czoło i usta ją całując. Filipowi podała rękę, Daniilka dłonią po plecach i twarzy uderzyła.

— Jak się macie? — mówiła — jak się macie, moje mileńkie, złocienkie, brylantowe! Dawnoż ja was nie widziała! A tobie, Ulanko, aż dwoje dzieci przez ten czas urodziło się! Ależ Daniilko wyrósł! Już teraz i mężczyzna z niego! Ot, widzicie, powróciłam, a Pawelek taki dobry, że mnie nawet złego słowa nie powiedział! Oj, jaki on dobry! takiego dobrego na całym świecie niema. Chatę wyprzątnęłam, ogień roznieciłam i do was, moje drogieńkie, przybiegłam, żeby z wami przywitać się!

Witała się; Ulanę i dzieci znów całowała, kręciła się, śmiała; zdawało się, jakby tym ludziom duszę swoją oddaćby rada, jakby ich wszystkich z całego serca kochała. I w tej chwili kochała ich istotnie: uspokojoną się czuła, a w Pawle znów rozkochaną, szczęśliwą. Przytem ani cienia wstydu. Przed Pawłem zawstydzila się była, gdy po wszystkim, co zaszło, do chaty jego i jeszcze z dzieckiem powróciła; ale tylko przed nim wstyd ten była czuła, i już zniknął on z niej bez śladu. Ułana ze zdziwienia w niemy słup się zmieniła; Filip wzgardliwie uśmiechał się pod wąsem, a Paweł poważnie ku niej podszedł.

— Weźmij dziecko — rzekł — i do chaty idź. Krowę wydój i obiad zgotuj, a chutko, bo mnie do miasteczka pojechać trzeba.

Posłuszna, Chtawjana na ręce wzięła i zaraz odeszła. Paweł poprosił szwagra, aby mu konia na godzin kilka pożyczył i ku stajence po niego poszedł.

Ułana, wchodząc z dziećmi do izby, w której Filip coś już młotkiem i heblem około nowych desek robił, z gniewem rzekła:

— Żeby ona była wprzód skręciła się, nim tu powróciła! Znowu dnia spokojnego przez nią nie będzie, i jeszcze kiedykolwiek dzieciom co zrobi...

— Niechaj spróbuje! — wpół groźnie, wpół żartobliwie odezwał się Filip.

Było to przypomnienie kilku gwałtownych kłótni, które przed ucieczką swą Francka, nowemi pożądaniami swemi i niechęcią do Pawła uczuwaną rozjątrzona, z siostrą męża stoczyła i z których ostatnią zakończyła pogroźkami, że dzieciom karki poskręca i całe jej chamskie plemię wydusi. Filip śmiał się z tych pogroźek, ale w macierzyńskie serce Ulany głęboko one zapadły.

Paweł dnia tego do miasteczka po odzież dla Franki i dziecka pojechał.

W parę miesięcy potem Awdocia w niedzielę, niedaleko swej chaty na bujnej już trawie siedząc, stare kości na słońcu wygrzewając, idącego brzegiem rzeki Pawła ku sobie przywoływała:

— Kumie! a kumie! Pauluk! czujesz? chadzi tutki, Pauluk!

Wołanie jej usłyszawszy, z ochotą na górę wszedł. Idąc, trzymał się znowu prosto; ruchy jego dawną rzeźkość odzyskały. Gdy stanął już przed nią, baba głowę w czerwonej i na słońcu iskrzącej się chustce ku niemu podniosła.

— A co? — zapytała.

Bez żadnych objaśnień pytanie jej zrozumiał i z uśmiechem odpowiedział:

— A nic, dobrze. Wszystko chwała Bogu, dobrze! Żeby tak dobrze do końca życia było.

Jakby do dłuższej pogawędki, ramieniem oparł się o drzewo, pod którym siedziała Awdocia. Ona zaś, z twarzą ciągle ku niemu podniesioną, szepiała:

— A ja wczoraj w twojej chacie była, na was i na wasze życie patrzeć chciała. Ciebie nie widziałam, bo jeszcze z rzeki nie powrócił, a ją widziałam. Nie taka jak wprzód była, troszkę insza...

— A Chtawjana widziała? — zapytał Paweł.

- Żeby nie! I na ręce wzięłam... taki leciusieńki, jak to piórko...
- Mileńki — zauważył Paweł.
- Ale biednieńki, taki chudzieńki...
- Już teraz nie taki... troszkę poprawił się.
- Ale! nad syrotoju Boh z kaletuju!

Przysłowiem tą część rozmowy swojej z Pawłem zakończyła Awdocia, ale widocznym było, że o czemś jeszcze, daleko ważniejszym, pomówić z nim chciała. Od blasku powietrza mrużącymi się oczyma na niego patrzała i z brodą, na obu dłoniach opartą, ciszej jeszcze zauważała:

- A Franka ogród kopie?...
- Kopie! — z zadowoleniem odpowiedział Paweł — cały ogród skopała. I wszystko robi: gotuje, krowę doi, szmaty pierze... chleb piecze... już tak jej jest przykazane.
- Ty przykazujeś?
- A ja. Codzień ranieńko ją budzę, pacierze z sobą mówić każę, a potem do wszelkiej roboty gnam. Tylko po wodę do rzeki nie przykazuje, bo do tego ona już nie silna... ale do czego tylko silna, to i musi robić...

- A słuchaż ona ciebie?
- Głową potwierdzająco skinął.

— Słucha. Choć czasem i zagniewa się, a posłuchać musi. Już teraz nic nie pomoże: nijakie jej gniewanie się i nijakie całowanie nie pomoże... ona swoje, a ja swoje. Pracuj — mówię — Pan Bóg każdemu człowiekowi na świecie pracować przykazał... Święta modlitwa — mówię — czortu do ciebie przystępu nie da, a przy robocie różne paskudztwa do głowy tobie przychodzić nie będą. Ot, jak ja z nią teraz postępuję.

— Dobrze, Pauluk, ot, tak to dobrze! — energicznie potwierdziła Awdocia — ja tobie i wprzódy mówiła, że tak trzeba robić, panowania jej nijakiego nie dawać...

— Mnie zdawało się wprzódy, — z rozważą mówił Paweł — że jak ja jej, po tej niewoli, co ona przez całe życie znosiła, wolę dam, i jak jej dobrze na świecie będzie, to i ona do złego ochoty nie poczuje. Ale potem i poznałem, że ze wszystkim inaczej trzeba mnie było robić. Teraz już ją przez świętą modlitwę do Pana Boga prowadzę, a przez napominanie i robotę od czorta odprowadzam. Już teraz ona u mnie żadnego pobłażania nie ma. Kiedy co złego zrobi, to napomnę i wykrzyczę...

Od ciekawości wielkiej powieki Awdoci nad biegającymi źrenicami zamrugwały.

- A co ona takiego zrobiła? Jakie ona złe robiła? — zaszepotała śpiesznie.

Ale Paweł niedbały gest ręką uczynił; uśmiech z ust, a pogoda z czoła mu nie zniknęły.

— Głupstwo! — odpowiedział — kiedy ogród kopała, z Ulaną klócić się zaczęła; a dwa dni temu, jak rano wstawać bardzo już nie chciała, nadaremnie dziecko wybiła. Taki już w niej charakter, nadto prędko. Ja ją i za klócenie się, i za bicie niewinnego dziecka wykrzyczał... Tak płakała, że niech Pan Bóg broni, a mnie najgorzej, jak ona płacze. Zdaje się, że i życie zaraz oddałbym, żeby tylko nie płakała. Ale już i to nie pomoże... już żeby nie wiem, jak płakała, taki napomnę i wykrzyczę... Niedługoż już tego będzie... Prędko już i nie będzie za co krzyżeć...

- Czemu? — zapytała Awdocia.

— Ot, i rozumna baba, a jeszcze pyta się: czemu? — zaśmiał się Paweł. — A toż modlitwa święta, a toż napominanie, robota! Żebyś już i modlitwa święta, i napominanie, i robota złego nie przemogły, chybaby koniec świata nastąpił. Przemogą, jak Pan Bóg wszechmogący na niebie jest, tak przemogą. Może i nie zaraz, może i czasu troszkę na to trzeba, ale przemogą.

W uśmiechu jego naprzód, a potem w spokojnej, prawie uroczystej powadze, czuć było przekonanie silne i głębokie. Jak przedtem mocno i niezachwianie wierzył w opokową moc przysięgi i w to także, że człowiek, któremu dobrze jest na świecie, do zła pociągu mieć nie może, tak teraz o konieczności zbawczego działania modlitwy, upomnień i pracy przekonany był głęboko i silnie.

Awdocia tę jego nową filozofję daleko lepiej rozumiała, niż uprzednią, a nawet zgadzała się ona zupełnie z jej własnym zdaniem.

- Głową też potakująco trzęsła.

— Dobrze — mówiła — dobre, twoja prawda, Pauluczku! Modlitwa święta wszystko może, i rozumne napomnienie może, i robota może... Żeby nie! Pan Bóg łaskawy zrobi, że wszystko dobrze będzie! Oj! kab dobrze było i wam, i nam! A u nas bieda!

Ze swoich z kolei bied przed przyjacielem zwierzać się zaczęła.

Trzy dni temu byczek u nich zdechł, a taki był piękny, silny; Maksym go na kiermasz prowadzić miał i pewnoby z pięć rubli za niego wziął. Pięć rubli! Nie żarty, jaka to strata! a znów przeszłej niedzieli z włościańskiej poczty list od Chwedorka przywieźli... Pisz, że nijak do wojska przyzwyczać się nie może; że ptakiemby, zdaje się, do chaty rodzonyj powrócił; że choć zdrów, ale mu cościć we środku boli; że wszystkim pięknie kłania się.

— I tobie, Pauluczku, kłania się, i Ułanie, i Pilipu, i Daniłku... i wszystkim!

Już gdy o zdechłym byczku mówiła, łzy miała w oczach a teraz zachlipała i zalała się łzami.

W tejże chwili, na progu chaty ukazała się kobieta młoda, wysoka, z dość ładną, ale bladą twarzą, na której znać było przebytą chorobę, ze sporem korytem, pełnem posiekanego zielska, w obu rękach. Była to synowa Awdoci. Przed dwoma laty ciężko chorowała i nigdy już potem, pomimo dawanego jej przez teściową podhrudniku, suchotniku i różnych gatunków poruszeniku, do dawnych sił wrócić nie mogła. Pod ciężarem koryta, silne snadź niegdyś, lecz zwątlale jej ciało boleśnie wyginało się to wtył, to naprzód.

— Mamo! — wołała — oj, mamo, zmiłujcie się, świniom jedzenie zanieście, bo mnie dziecko nakarmić trzeba, krzyczy i krzyczy!...

Z chaty dochodził istotnie przeraźliwy krzyk paromiesięcznego dziecka.

Awdocia na równe nogi skoczyła, palcami nos, a fartuchem zapłakaną twarz otarła i, z rąk synowej koryto wzięwszy, mężnie i raźnie, choć z niejaką trudnością, do bliskiego chlewka, w którym odbywało się rzeźenie świń, je poniosła. Chuda i blada Maksymowa zniknęła w sieniach chaty, wzamian wybiegło z niej dwoje małych dzieci i bosemi stopkami za babką ku chlewkowi podreptało.

Najstarszy, Tadeuszek, przed dwoma laty zmarł; ale Hanulka i Stepańczyk żyli, a teraz w głębi chlewka taki radosny krzyk i śmiech podnieśli, że Awdocia także śmiała się na całe gardło. Na świnię, chciwie jadło pożerające, patrząc i z wnukami swawoląc, zupełnie — choć może na chwilę tylko — zapomniała o zdechłym byczku i smutnym liście Chwedorka-soldata.

Paweł zaś na brzeg rzeki ku czółnu powrócił. Nie było ono tym razem puste, lecz znajdowały się w niem różne narzędzia rybackie i spory worek, chlebem, serem i słoniną napełniony.

Na niedalekim punkcie rzeki Paweł spotkać się miał z rybakiem, który często spółnikiem jego w pracy i zyskach bywał, i razem z nim dopłynąć dość daleko, do takiego miejsca w którym właśnie w tej porze roku najobfitsze zdarzały się połowy. Za trzy dni dopiero, albo i później, wrócić zamierzał, ale był tak spokojny, tak szczęśliwej przyszłości i dopięcia zamierzonego celu pewny, że przed wejściem do czółna, z cichą, ale promienającą wesołością w oczach, rozejrzał się po błękitnem niebie i zielonej ziemi, po całej ślicznej, złotej pogodzie dnia majowego i, na wiośle oparty, wygwizdywał przez chwilę nutę chłopskiej pieśni:

Oj, u luzi, pri doroz  
Razćwieła kalina;  
Paradziła biedna udowa  
Soldackoho syna...

Przestał gwizdać, ale w jednym z ogrodów wsi, od dwóch jabłoni i kilku wiśni gęstym i cienistym, kobiecey głos jakiś nutę, z pod stóp góry przybyłą, podchwycił i cienko, donośnie, na świat cały, zda się, dalej zawodzić zaczął:

Paradziła jena joho,  
Da ciomnoi noczy;  
Dała jomu biele liczko  
Da czornyje oczy...

Tego samego dnia, niewiele przed wieczorem, Franka z małym Chtawjanem na kolanach na progu chaty siedziała. Ubrana była znowu po chłopsku, ale już żadnych świecideł u szyi i uszu nie miała; wszystkie w ostatniej swej wędrownicy zostawiła. Wogóle teraz więcej niż wprzód wyglądała na chłopkę; uwiedła i znużona cera jej twarzy okryła się śniadą ogorzeliwą, ręce pociemniały i zgrubiały. Chudość jej tylko nie znikła wcale; owszem, zwiększyła się jeszcze, a światło zachodzącego słońca ukazywało mnóstwo drobnych zmarszczek, nagromadzonych dokoła jej ust i oczu. Dziecko na kolanach jej podskakiwało i szczebiotało, na psa, ptaki, drzewa małemi rękoma ukazując; ona także szczebiotliwie do niego przemawiała, mocno ramieniem obejmowała, często i głośno całując w głowę i w szyję; ale oczy jej zapadłe i ciemnymi kołami podkrążone, miały przytem wyraz dojmującego smutku, a drobne usta były blade.

Za płotem, wzdłuż podwórka biegnącym, słabo na ciemnym tle zagonów zieleniał ogród, jej rękoma skopany, zasiany i zasadzony. Bardzo mizernie wyglądał on obok drugiej połowy ogrodu, do Koźluków należącej i przez Ulanę uprawionej. Tam wszystko świeże, gęste, rosło dobrze i silną woń rozlewało; tu rzadko rozsiane roślinki nikłe były i przywiędłe. Obok tych ogrodów pracując, dwie kobiety widywały się były codziennie, i Ulana od drwiących uwag nad nieumiejętną i leniwą robotą Franki powstrzymywać się nie mogła, a może i nie chciała. Nazwała ją raz «panią», na co Franka, podnosząc się z nad ziemi, zawołała:

— A pewno, że nie taka chamka, jak ty!

Wtedy Ulana ze swojej połowy ogrodu kazała iść precz Chtawjanowi, który pomiędzy zagonami z jej trzyletnią Maryską piasek przesypywał. Poprostu, chwyciła go na ręce i przez niski płot do tej połowy ogrodu, w którym znajdowała się jego matka, przerzuciła. Oczy jej pałały więcej jeszcze wzdargą, niż gniewem, ale zęby zacisnęła i nic już nie mówiła, choć Franka, rękoma wymachując i to płacząc, to podrwiwając, rzucała jej różne obelżywe wyrazy, aż dopóki Paweł nie przyszedł i żony za rękę do chaty nie wprowadził.

Teraz podwórko Koźluków było puste i milczące. Ulana po krowę swoją na pastwisko poszła i dzieci z sobą zabrała; Filip i Daniłko najęli się dnia tego do koszenia we dworze dziedzica i ogrodu. Wróble tylko pod dachami obu chat i w starej gruszy przeraźliwie ćwierkały, głuchy gwar ludzkich i zwierzęcych głosów toczył się po wsi, bocian kędyś daleko klekotał, i Franka, na progu chaty siedząc, swemi smutnymi oczyma w twarz dziecka patrzyła i świergotała do niego blademi ustami.

Wtem za węglem chaty ozwało się chrypliwe, lecz dość głośne mruczenie, westchnieniami i uderzeniami kija o ziemię przerywane.

— Kirje alejson, Chryste alejson, Ojcie niebieski, zmiłuj się nad nami, Synu Odkupicielu, zmiłuj się nad nami...

Franka szybko twarz podniosła i oko w oko spotkała się z wyglądającą z za węgła wielką, w grube fałdy pomiętą twarzą, wśród której kredowej prawie białości czerwieniły się opuchłe i mrugające powieki.

— Marcelka! — z radością wykrzyknęła.

— A Pawła niema w chacie? — grubym szeptem zapytała żebraczka, głowę tylko, w brudną szmatę owiniętą, z za węgła wychylając.

— Niema! niema! trzy dni nie będzie! — śpiesznie odpowiedziała Franka i, dziecko z kolan spuściwszy, na spotkanie przybyłej pobiegła.

— A mojaż ty drogieńka, złota, brylantowa! — śmiejąc się i rękoma machając, trzepała — a jaż tak ciebie czekała, tak o ciebie wypytywała się... Wszyscy mówią: niema Marceli! jak przed Wielkanocą do miasta poszła, tak i nie powróciła. Już my myśleli, że ty może gdzie i umarła...

Kupa łachmanów, w dwie wielkie stopy, honuczami owinięte, i w dwie bezkształtne ręce kij trzymające, zaopatrzona, głową trzęsła i zwolna posuwała się ku chacie, do której też Franka ją wprowadziła i, witając, szczebiocząc, ciesząc się, na ławie posadziła. Potem do czerwonej szafki przypadła, kawał chleba, zimne kartofle w misce i trochę soli przyniosła.

— Jedz, mileńka, jedz — prosiła. — Oj, jak to dobrze, że przyszła, bo tu słowa przemówić do kogo niema!...

Żebraczka do jedzenia nie brała się; sytą widać była. Z pod czerwonych powiek przebiegłym i ciekawym wzrokiem ściagała ruchy Franki.

— Aaaa! — zadziwiła się — to ty tu taka sama gospodyni, jak i pierwej była!

— A taka sama! — triumfująco zawołała Franka. — Już i ślad tego, co było, przypadł... już tak, jakby nic i nie było!

— Nu, powiedz, kiedy Boga kochasz, powiedz, co z tobą działo się, gdzie była, co robiła, jak tutaj powróciła i z Pawłem pogodziła się? — prosiła żebraczka.

France nie trzeba było dwa razy prośby tej powtarzać. Siadła i rozpowiadać zaczęła, a gdy opowiadała o tem, jak Paweł jej wszystko darował i dziecko za swoje przyjął, łzy jej w oczach świeciły, i wargi drżały.

Marcela też spoważniała, skupiła się jakoś w sobie, od czego kwadratowa jej postać wydawała się jeszcze grubszą i cięższą.

— Ot, dobry! — zcicha i z podziwieniem przemówiła.

— Dobry! — potwierdziła Franka — już takiego dobrego pewno na całym świecie niema!

Nagle zamyśliła się, oczy jej znieruchomiały; westchnęła.

— Choć, wiesz co, Marcelko? — dodała — że jednakowoż nie taki już dobry, jak był...

— Nie może być? — wykrzyknęła żebraczka.

— Aha! Dawniej, bywało, co chciałam, robiłam; dopóki chciałam, spałam; kiedy cokolwiek w chacie zrobię, to dobrze, a kiedy nie zrobię, to tak samo żadnej wymówki od niego nie posłyszę. Jeszcze i cukierki przywoził, i na ręce jak małe dziecko brał. Pod koniec, kiedy już jego znieubiłam, kłóciłam się, krzyczałam... a on nic! Milczy jak ściana, albo obejmie i prosić zaczyna: cichoż już, dzieciątko! cicho! uspokój się! Teraz, gdzie! Raniusieńko, jak ten tyran, nad pościelą staje i wstawać każe. Co wyproszę codziennie, co wysprzeczam się, nic! ja swoje, a on swoje: wstawaj i wstawaj! Czasem za ręce weźmie i z pościeli ściągnie, a potem znów klękać każe i pacierze za nim głośno odmawiać... i z książki modlitwy czyta... a jakie to czytanie? Oj, Boże Świąty, zwyczajnie chamskie! Nim jedną modlitwę przeczyta, mnie od klęczenia w głowie kręcić się zaczyna. Po pacierzach znów do roboty gna, a to ogień rozpał, a to krowę wydójk... a to ogród kop, albo chleb piecz!... Nawet kiedy z chaty wychodzi, jeszcze przykazuje: patrzaj, Franka, żebyś zrobiła, co ja powiedział! — Jak powróci i zobaczy, że nie zrobione, kazanie zaczyna mówić, albo i wykrzyczy. Już wszystko i robię, choć przed samą sobą wstydzę się, że do takich prostych robót zaprzężnięta, choć czasem ze słabości, ot, zdaje się, że zaraz i upadnę. Ale wolę już to, jak te jego kazania o Panu Bogu, o czarcie, o wiecznym potępieniu i o różnych takich głupstwach. Przytem, niewolnica już ja teraz, z ciałem i duszą jemu zaprzędana. Zdrowie straciłam, dziecko na karku mam, i niema już dla mnie innej ucieczki i innego ratunku, jak w tej chacie i z tym człowiekiem żyć. Na taką już dołą ja skazana... w taką czarną godzinę na ten świat narodzona.

Gdy tak wyrzekała, coraz głębszy smutek napełniał i wprzód już smutne jej oczy, aż nagłym strumieniem łzy z nich pociekły i nagle też ciec przestały.

Za głowę się chwyciła.

— Aj, Marcelko — jęknęła — żebyście wiedzieli, jaką ja biedę z tą głową mam! Boli i boli! Jak tu powróciłam, cościś z tygodni kilka nie bolało, a teraz znów boli, i ten szum powrócił... nie taki wielki, jak był, ale powrócił...

Perkalową, kwiecistą chustkę z głowy zdjęła i, płócienkową szmatę w wiadrze wody umoczywszy, czoło i całą czaszkę nią obwiązała.

— Ot, jedyny ratunek mój! — mówiła — jak już bardzo rozboli i szumieć zaczyna, zimną wodą zmoczyć...

Usiadła znowu naprzeciw żebraczki, która, rękoma na kiju splecionemi, tak pilnie za nią wzrokiem wodziła i tak zamyśliła się, skupiła się jakoś w sobie, że na chwil kilka odstąpiła ją zwyczajna gadatliwość. Potem, zwolna chrypliwym swym głosem zaczęła:

— Patrzajcie, państwo! to on taki srogi zrobił się! Aaaa! Jednakowoż, moja mileńka, szczęśliwa ty, oj, jaka szczęśliwa, że takiego człowieka dostała! Co to! tyle żoncy wybaczyć i cudze dziecko, jak swoje, hodować, i jeszcze do roboty zapraszać, jak tę panią do stołu! Nie żart, mileńka, jaki on dobry!

— A dobry! — obu rękoma za głowę trzymając się, odrzuciła Franka. — Już ja i sama wiem, że za tę dobroć w niewolę jemu zaprzędałam się!

Marcela głową kiwała, w ziemię patrzała; po starej i brzydkiej jej twarzy jakieś ciemne zadumy płynęły.

Po chwili, jakby do tej ziemi, w którą wlepiła wzrok, zachrypiała i zajęczała:

— Oj, doloż moja, dolo! czemu ty mnie w młodych moich latach takiego człowieka i takiego zbawiciela nie zesłała? Czemu ty mnie, jak tę trawkę w polu, samą na świecie zostawiła? Wiedziałabym ja, oj, wiedziałabym, jak takiego człowieka i takiego zbawiciela szanować, i tylebym trudności wszelakich z dziećmi-sierotami nie poniosła, na starośćbym na taką biedę i poniewierkę nie zesła!

Bezkształtną od owijających ją łachmanów głową kołysała, a w piersi jej, ni to płacz, ni to śpiew wzbierał, aż wezbrał dygotliwą, chrapliwą, jednak żalosną nutę:

Powij, wietre, powij, wietre,  
Z zielonoho haju,  
Powiernisia nasz panoczek  
Z dalokoho kraju!

— Aha! — cienkim i ostrym głosem wykrzyknęła Franka — dobrze tobie, Marcelko, tak mówić, kiedy już, jak spróchniały grzyb, zestarzałaś! W młodym wieku człowiek świata, wesołości i różnych przyjemności pożąda...

Teraz Marcela oczy, mętną wilgocią z pod opuchłych powiek świecące, od ziemi ode-rwała i we Frankę wlepiła:

— A wieleż, moja mileńka, tobie lat będzie?

— A trzydziesty ósmy na Gromniczną zaczął się — z widocznym triumfem odpowiedziała Franka.

Marcela głową kołysała.

— Oj, to już i nie dziecina ty, i do sorokonki (czterdziestki) tobie nie daleko. Sorok liet, babskij wiek, moja ty mileńka!

— Ot, chamskie przysłowie! Albo to prawda? Aj-ej, jakby jeszcze za mną chłopcy latali, żebym tylko zdrowa była i w takiej jamie nie mieszkała!...

Czy w tej chwili wzrok Marceli na połyskujący w kącie samowarek upadł, czy spotkał się z wiszącym na ścianie workiem z mąką lub z krupami — dość śpiesznie, niby popełnioną omyłką naprawiając, potakiwać France zaczęła:

— Ale! Pewno! Czemu nie! Szczupleńka ty taka i delikatna, jak ta panienska, co w gorsecie chodzi, a rączki twoje, jak u dziecka, malenieczkie i oczy takie...

Wtem na podwórku Koźluków ozwały się głosy.

Franka na ławie u okna przyklekła i do mokrej szyby twarz przyłożyła. Zobaczyła Ulaną, do obórki krowę zapędzającą, czworo dzieci po trawie rozsypanych, Filipa z kosą na ramieniu, wchodzącego do chaty, i Daniłka, który, także z kosą na ramieniu, ze stojącym we wrotach równego mu wieku chłopakiem rozmawiał:

— Popatrzajcie, Marcelko — śpiesznie zaszepotała Franka — popatrzajcie, złocienka... jaki przystojny chłopiec zrobił się z tego Daniłka...

Chłopak istotnie był ładny. W płóciennej, krótkiej kapocie, wysokich butach, z połyskującą w ostatnich światłach dnia kosą na ramieniu, wyglądał zgrabnie i wesoło. Dzie-więtnasty rok zaczynał, twarz miał jak u dziewczyny gładką i złotorude włosy.

Sfaldowane policzki Marceli zatrzęsły się od cichego, filuternego śmiechu.

— Ot, dzieciuk! — wymówiła — młody, to i gładki...

— To nic, że młody — cicho trzepała Franka — ale taki cienki sobie i zgrabny, jak panicz. Patrzajcie, państwo! a ja do tego czasu i nie zauważyłam, że on taki przystojny!

Coraz wyraźniejszy i złośliwszy uśmiech trząsł fałdami policzków Marceli; zarazem przyciszonym i pochlebającym się głosem zapytała:

— To może temu dzieciuku powiedzieć, co ty o nim mówiła? A? Ot, uraduje się! A, Jezuz mój, Najświętsza Marjo Panno, czysta pociecha! Jemu i w głowie nie powstało, żeby jego kto chwalił, że ładny!

— Powiedźcie, moja złocienka, brylantowa, koniecznie powiedźcie! Ot, ciekawość, czy on uraduje się i co o mnie powie?

Ulana w tej chwili z obórki wyszła, a dzieci jak ptaki ku niej poleciały. Z szerokim uśmiechem coś do nich mówiąc, w mały garnuszek z dojnicy mleka zaczerpnęła i brzeg

jego, schylona, pokolei do czworga wyciągających się ku niej dziecięcych ust przykładła. Troje tych małych stworzeń do niej należało; czwartym był Chtawjan. Dała napić się mleka swoim, dała i jemu, naostatku wprawdzie, może najmniej, ale dała. Potem wszystkie czworo za nią do chaty pobiegły.

Franka, choć przez szybę ciągle patrzała, drobnej sceny, na przyległym podwórku zaślej, nie spostrzegła. Myślami swojemi zajęta była — milczała dość długo, aż w zmroku, zaczynającym już izbę napępniać, wyprostowała się, ruchem zmęczenia ramiona w górę podniosła; oczy jej zapadłe, wielkie, pod czołem, wilgotną szmatą oblepionem, napępniły się czarnym smutkiem.

— Oj, Marcelko, moja mileńka! — zcicha przewlekle przemówiła — tak mnie cośś we środku je... tak mnie na świecie niedobrze!

— Czemu tobie niedobrze? — zapytała żebraczka.

— A czemuż ma być dobrze? — odpowiedziała i z dłońmi, nad głową załamanemi, mówiła dalej: — On, widzisz, choć dobry, ale delikatności mojej szanować nie umie, ani gadać, tak jak lubię, nie umie i w takim odzieniu grubem chodzi, i taki jakiś... ja i sama nie wiem, jaki...

Po chwilowym zaś namyśle dokończyła:

— Ot, zwyczajnie cham... żeby nie wiem, jaki dobry był, zawsze cham!

A ciszej jeszcze dodała:

— I taki już teraz stary... stary!

## V

Pora kośby i żniw minęła; wiele rzeczy przez ten czas ubiegły działo się i stało w dwóch sąsiadujących ze sobą chatach. Raz, w czasie koszenia łączki, którą Filip w pobliżu wsi posiadał, Paweł, zrana przed chatę wyszedłszy i po niebie okiem powiódłszy, do szwagra, słomę ku oborze niosącego, rzekł:

— A żywo, Filipie, siano z łąki zabieraj, bo jutro, pojutrze, Pan Bóg deszcz przysśle, i cośś ja z wiatru czuję, że na długo.

W tyżące się zmian pogody przepowiednie szwagra Filip wierzył; śpiesznie więc konia do wozu zaprzęgać zaczął, a Daniłkowi grabie i widły przygotować rozkazywał. Ułana w domu zostać i, jeżeliby ktokolwiek promu zażądał, sama podróżnego przez rzekę przewozić miała.

Wąską teraz ta rzeka była i bardzo powolną. Z wiosny dwom mężczyznom trudno bywało przebyć ją z promem; teraz i jedna baba podoła, a gdyby aż dwa konie, albo ciężka jaka fura do przewiezienia była, Paweł dziś niedaleko u brzegu ryby łowić będzie, przyskoczy więc prędko i siostrze pomoże. Gdy tak umawiali się, a Filip konia zaprzęgać kończył, z za pleców Pawła wypadła Franka i wołać zaczęła, że ona pojedzie na łąkę siano grabić. Już wszystko, co trzeba było, w chacie zrobiła: jedzenie na cały dzień zgotowała, krowę wydoiła i chce Filipowi do zbierania siana dopomóc. Ubrana była w białą, jak śnieg, koszulę, błękitną perkalową spódnicę i różowy fartuch; czarne włosy z pod kwiecistej chustki wypływały jej na czoło, ramiona i plecy. Ruchy miała ożywione, wesołemi oczyma i białemi zębami błyskała.

Filip drwiącym uśmiechem zrazu ofiarę jej przyjął.

— Oj, z takiego grabienia, jak twoje, czortu chyba pociecha będzie!

Ale Daniłko odezwał się:

— Niechaj jedzie. Zawsze we troje łatwiej i prędzej...

— Niechaj jedzie. Pokażecie jej raz i drugi, jak grabiami robić, to i potrafi! A zawsze choć troszkę pomoże — zdecydował Paweł.

Z Filipem na wóz siadła i pojechała; Daniłko zaś pieszo krótszą drogą poszedł, ale zaledwie wóz trochę drogi ujechał, Franka na ziemię zeskoczyła i ku idącemu miedzą chłopcu pobiegła.

— Ej! — odbiegając od Filipa, zawołała — my tamtą drogą prędzej dojdziem, niż ty tą pojedziesz!

Po powrocie z łąki, Filip ze zdziwieniem żonie opowiadał, że ta chfichsatka Franka doprawdy nieźle siano grabiła i naprawdę troszkę do zebrania go dopomogła.

— Żeby leniwa nie była, wszystkoby potrafiła — dokończył.



— Jak tylko chce, wszystko potrafi, taka zgrabna — ustami wypchanemi chlebem zauważył Daniłko i przez okno na Frankę, po podwórku swoim zwijającą się, zerkał, a oczy mu, jak u kota, zielonawo pobłyskiwały.

I tak już potem bywało często. W żniwa z sierpem na pole Koźluków chodziła i, choć nie mogła ani wytrwale, ani tak dobrze żąć, jak Ulana, bo sił i wprawy jej brakowało, zawsze jednak właścicielom pola dopomagała.

Filip wtedy na innej części swego małego gruntu orał, albo przy domu i promie zostawał, a Daniłko z dwiema kobietami żął i snopy do stodoły woził. Franka też często razem z nim na furę zboża włąziła i do domu jechała, poczem razem powracali i brali się do roboty. Choć na gorąco i bóle w krzyżach narzekała nieraz, wesołą była, ruchliwą, gadatliwą i nigdy przedtem niewidzianą u niej gorliwość w pracy okazywała. Do Ułany przymilała się, złocienką i brylantową ją nazywała, dzieci jej wycalowywała i na rękę nosiła, do Daniłka zaś lgnęła, jak mucha do miodu. Na to lgnięcie przecież długo nikt żadnej uwagi nie zwracał, że z dzieciukiem swawoli i dokazuje, a w niedzielę gdzieś z nim na kilka godzin przepada, nic dziwnego. Choć opamiętała się, ochotę do roboty poczuła i ludziom w oczy, jak ta osa, rzucić się przestała; wszystkie głupstwa z głowy odrazu wylecieć jej nie mogły. Stara, a taka czasem durna, jak dziecko; że zaś i Daniłko jeszcze dzieciukiem jest, to im razem do pary. Zawsze jednak dobrze, iż opamiętała się, pracuje, ludziom pomaga, grzeczna. W sąsiedztwie takim bliskim jędzę mieć, nie żart jaka przykrość. Więc już niechaj sobie odmienna będzie i troszkę chfichsatka, byle jędzą nie była.

To też Ulana uprzejmie znowu obchodziła się z bratową. Chtawjana coraz częściej do siebie przygarniała i, wywdzięczając się za pomoc w polu, różne przysługi w gospodarstwie France oddawać zaczęła: to chleb za nią wymiesiła i upiekła, to bieliznę w rzece wypłókała i pralnikami wybiła, to, po wodę poszedłszy, jedno wiadro dla siebie, a drugie dla niej przyniosła.

Tak przez długie trzy miesiące ludzie ci, wśród ciężkiej pracy kryształowy żywot wiodący, nic nie spostrzegli i żadnego podejrzenia nie powzięli. Żaden cień występku nie przesunął się pomiędzy ich oczyma a pięknym słońcem letniem, w którego blaskach nurzali się po dniach całych; żadna kropla brudu nie ciążyła ich piersiom, gdy zmęczeni zasypiali i twardo, głęboko spali przez całe noce.

Paweł przez ten czas długie wycieczki po rzece odbywał, a do domu wracając, znajdował Frankę, pracującą wesoło, w śnieżną koszulę i różowy fartuch ustrojona. Choć często opryskliwie mu odpowiadała, a czasem i odpychała go z neutajonym wcale wstrętem, przypisywał to resztkom pokus djabelskich, których jeszcze modlitwa i napomnienia przemóc nie zdołały.

— Niech już sobie jaką chce będzie, byle poczciwa była! — myślał. Chtawjana na ręce brał, obwarzanki mu z miasteczka przywiezione dawał, coraz więcej dziecko to lubił i pieścił. Pieszcząc je, bawiąc się z nim, na gniewne warczenie Franki i złe słowa, które mu czasem rzucała, nie zważał, tem więcej, że wkrótce ona, znowu w dobry humor wpadłszy, przyjacielsko z nim rozmawiała, izbę gadaniem swym i śmiechem, za którym on szczególnie przepadał, napelniając. Żaden więc cień przez te długie trzy miesiące nie stawał pomiędzy pogodnemi jego oczyma a światłem pięknego letniego słońca, i nic wcale nie ciążyło jego szeroko oddychającej piersi, gdy w nocy twardo, spokojnie, usypiał.

Nagle, przy końcu jednego z dni sierpniowych, w chacie Koźluków zakipiła, jak w garnku. Podniósł się tam piekielny wrzask ludzi dorosłych i dzieci. Filip brata bił.

Było to o zmroku. Niewiadomo gdzie i jakim wypadkiem dowiedział się o tem, za co teraz brata bił, ale dowiedział się w sposób tak nagły i brutalny, że ta brutalność wstrząsnęła całą istotą tego nawet silnego, prostego chłopca. Nigdy przedtem dużo młodszego od siebie brata nie krzywdził; ale teraz zdawać się mogło, że oszalał, tak rozszokowany miał wyraz twarzy i tak mocno, jedną ręką brata za odzież trzymając, drugą po plecach walił.

— Sadoma i Hamora! — bijąc, krzyczał — a toż za ciebie Boski piorun chatę spali! A toż on tobie jak rodzonym dziadźkiem był, na rękach ciebie nosił, dobra, rozumu uczył! A ty jemu taki wdzięczny! A ty z jego żonką... A do pługa, a do cepa, a do roboty tobie, nie do łajdaczek! Karę Boską na nas i na dzieci nasze sprowadzać będziesz? Won z chaty! czujesz? żeby tutaj noga twoja nie powstała! słyszysz? Na włóczęgę po świecie idź! W najmy idź! choć i na wieczne zatracenie idź! A z mojej chaty, won! won! won!

Krzycząc tak, bijąc się z chłopcem, który od niego mniej wprawdzie był silnym, jednak siłę miał dużą mocując się, ku drzwiom go popychał. Ulana z głośnym lamentem ręce łamała. Dzieci krzyczały.

Daniłko u samego już progu z rąk brata wyrwać się potrafił i, czerwony jak piwonja, z oczyma palającymi, z rozdartą na plecach odzieżą, hardo krzyczeć zaczął:

— A ty nijakiego prawa nie masz z chaty mnie wypędzać! Taka ona twoja, jak i moja. Jednych my baćków dzieci.

— A kto tobie baćkiem był? — rzucając się ku niemu, huknął Filip — ja tobie baćkiem był, kiedy ty mały sierota na rękach moich zostałeś! Czy na to ja ciebie hodowałem i karmiłem, i dobra, rozumu nauczałem, żeby ty Sadowi i Hamoru robiłeś! Nu, nauczysz ja ciebie! nu, popamiętasz ty! Nu, będziesz ty!...

I z gradem słów grubych, nagich, ohydnych, na plecy i głowę Daniłka znowu posypał się grad razów. Szamotali się z sobą u drzwi zapamiętale.

Ułana, z twarzą łzami zalaną, krzycząc, ręce łamiąc, rozdzielić ich usiłowała. Dzieci już teraz rozkrzyczały się wniebogłosy.

Kury w podpiecku, obudzone, przeraźliwie gdakały. Nawet Kurta pod ławą zawył przeciągle, i bury kot, nadeptany czy przestraszony, nie mając kędy uciec, ze wściekłym miauczeniem po izbie się miotał.

Wtem do izby wszedł Paweł. Z rzeki wracał; u połowy góry wrzask, z chaty Koźluków wychodzący, usłyszał i, niespokojny, śpiesznie ku niej podążył.

Na widok wchodzącego, Ulana, może żalem nad nieszczęściem brata, albo obawą o utratę jego przyjaźni popchnięta, zanosząc się od płaczu, jak długa runęła mu do nóg.

Daniłko, wyrwawszy się z rąk Filipa, wypadł z izby, a Filip, ze zjeżonym włosom, z twarzą od wściekłości pijaną, ku Pawłowi się zwrócił i temi samymi grubymi, nagiemi wyrazami, jakimi chłopca, ciężko w oczach jego występnego, łajał, wszystko opowiedział.

Opowiadanie to nie trwało dłużej nad trzy minuty i, zaledwie Ulana, podniósłszy się z nad ziemi, na klęczkach jeszcze, do męża wołać zaczęła: — Cicho! milcz! Pilip, oj, Pilip, co ty robisz? Milcz! — Filip powiedział już wszystko, a Paweł z izby wyszedł.

Nie poszedł naokoło, aby przez własne podwórko do chaty swojej wejść, ale, niskie płotki ogrodu przestępując, po zagonach pełnych warzywa deptał.

Blady był jak płótno, z oczu wyrzucał złotawe połyski. Wszystko, co w człowieku jest gwałtem gniewu i miłosnej zazdrości, podniosło się w jego mózgu, nerwach, w tym kawałku ciała, który, na dnie piersi osadzony, nazywa się sercem, i targało niemi, rozdzierało je, prawie przytomności go pozbawiało.

Jak pijany, zataczając się, sięń przeszedł i drzwi izby ze stukiem otworzył.

W izbie, przed piecem, w którego ciemnej głębi krwisto i ognisto żarzyły się rozpalone węgle, stała Franka. Stała w skurczonej, zmalalej postawie, ramiona mocno u piersi zaciskając, a w krwistym świetle żaru twarz jej świeciła wśród zmroku krwistą także czerwonością.

Wiedziała dobrze, co zaszło w chacie Koźluków; przez okno widziała, kiedy Paweł do tej chaty wchodził, kiedy i jak z niej wyszedł: była więc przestraszona, ale daleko więcej była zawstydzona. Ten wstyd, którego doświadczyła, gdy po trzyletniej prawie włóczędze tu powracała, niczem był w porównaniu z tym, który teraz spadł na nią, piekący i ciężki. Dlatego skurczyła się, zmalala i twarz miała tak prawie czerwoną, jak płonący w piecu żar, a gdy tylko Paweł w progu stanął, z wyciągniętymi rękoma do niego zawołała:

— Nie wierz ty im, Pawełku! nie wierz, to nieprawda... oni umyślnie...

Pierwszy raz w życiu kłamała, i nie ze strachu kłamała, ale wstydu; połowę życia oddałyby za to, aby on w kłamstwo jej uwierzył.

Ale Paweł dwoma szerokimi krokami obok niej się znalazł i, nic nie mówiąc, bez oddechu nawet, w żelazną obręcz swoich palców ramię jej ujął. Krzyknęła przeraźliwie i do ziemi przypadła, pod razami opadającej na plecy jej pięści.

W ten sposób krzyknęła kilka razy, aż nagle uczuła, że ramię jej z żelaznej obręczy uwolnione zostało, i że jest w izbie samą.

Takim samym szerokim i chwiejnym krokiem, jakim wszedł, Paweł z izby wyszedł, ze strugami potu na czole chatę okrążył i do tylnej jej ściany, na samej krawędzi góry stojącej, czoło przycisnąwszy, płaczem ryknął.

Gwałt gniewu i miłosnej zazdrości, który tam, w mrocznej izbie, nad skurczoną u ziemi kobietą, ramieniem jego miotał, opadł teraz i stał w wielkiej, pierś mu rozrywającej żalości, żalości nad sobą, nad nią, nad tem ludzkiem, dobrem, świętem zadaniem ratowania i zbawiania, które dwa razy już ukazało mu było swe niebieskie oblicze i dwa razy w nicość zapadło.

Z złamanemi rękoma, z czołem do chropowatej ściany przyciśniętem, rycząc z płaczem, urywanemi słowami wymawiał:

— Niema już widać dla niej ratunku, ni wybawienia żadnego! niema już dla mnie szczęśliwej doli na świecie! Boże mój wszechmogący! Boże mój miłosierny! co mnie tu teraz robić?

W godzinę potem czółnem na rzekę wypłynął, jak błędny, drobny punkt czarny, po stalowej jej powierzchni pod występujące na niebo złote gwiazdy pomknął, a za czółnem jego biegła srebrna ścieżka wodna i perlistą, monotonną, wieczną pieśń swoją szemrała. Całą noc na rzece, a może i na samotnem wybrzeżu jakim, pod jaką wierzba starą albo drżącą osiką, przepędził.

W izbie zaś, w której po jego wyjściu Franka na ziemi leżąca została, w parę godzin później, szeptem i w ciemności toczyła się rozmowa, jękami i westchnieniami przeplatana.

— Aaaa! wybił! Patrzajcie, państwo, wybił! Musi bardzo już zazdrosny, kiedy aż wybił! Jeszcze on nigdy nikogo nie bił! taki spokojny, taki dobry... a wybił!

— Żeby jemu Pan Bóg nigdy tego nie darował, jak ja nie daruję! — wykrzyknął cienki i ostry głos kobiecy. — Nie daruję!... nie daruję!... do śmierci pamiętać będę taką hańbę... oj, hańbę! hańbę! hańbę! Oj, Boże mój, czego ja dożyłam, czego się doczekałam! Czy mnie na to matka rodziła, żebym chamskie kulaki na swoich plecach czuła! Z dobrej familji pochodzę, dziadunio swoje domy miał, matka edukowaną była, cioteczny brat bogaty, jak pan sobie żyje, a ot, co na mnie teraz przyszło! Żeby jego Pan Bóg za moją krzywdę skarał! Żeby on dobra na tym i na tamtym świecie nie doczekał!

Kłęsa, wyrzekała, czasem jak dziecko kwiliła, a czasem zrywała się jak furja i, na ścieli wyprostowana, za włosy targala się, pięścią o pięść biła.

— Dość już ja jemu za jego dobroć wywdzięczyła się, dość plecami swemi i hańbą swoją zapłaciłam! Popamiętam ja o tej jego dobroci, kiedy taki mnie wstyd ogarnął, że, zdaje się, gdybym mogła, żywcem zagrzebałabym się pod ziemię, byle tylko jego już nie widzieć i jemu w oczy nie patrzeć! Ale teraz niczego już przed nim nie wstydę się! niczego, niczego! Kiedy jemu wolno mnie bić, to mnie wolno wszystko robić. Żeby Danilka nie żalowała, tobym znów uciekła. Ale może i ucieknę! Ot, wezmę i ucieknę!

— A Chtawjan? — ozwał się gruby, ochryply głos, z kupy łachmanów wychodzący.

— Niechaj i jego djabli wezmą! Niechaj wszystko djabli wezmą! — rzucała się leżąca na łóżku kobieta; jednak nagle umilkła i po chwili dopiero wahającym się głosem rzekła:

— To co? Zostawię...

U bosych nóg swych czuła ciepło uspionego dziecięcego ciała — i zawahała się znowu.

— Otóż to! zaszepiała — ni to mnie jego tu zostawiać... ni to z sobą zabierać! Do tego i Danilka szkoda!... aj! żeby ty, Marcelko, wiedziała, jak ja jego lubię... jaki on miły! A nie widziała ty jego teraz, kiedy tu szła? a?

— Czemu nie widziała? widziała. Umyślnie zaszłam tam do nich, żeby zobaczyć, co z nim biednieńkim dzieje się, co on teraz nieszczęśliwy robi?

— A cóż? cóż? cóż? — zaszepiała Franka — może co mówił? może kazał mnie co powiedzieć?

— Nic on nie mówił i nic powiedzieć nie kazał — odpowiedziała Marcela. — Zwyczajnie dzieciuk! Brat wybił, to siedzi i płacze; co ma robić?

Franka gwałtownie westchnęła.

— Ot — zauważyła — cham także, a nie taki, jak wszystkie chamy... młodzieńki, zgrabnieńki i jeszcze grubjaństwa nie nauczył się...

— A tyż i o Pawle tak samo mówiła, że on, choć cham, ale nie taki, jak wszyscy...

— Niechaj jemu Pan Bóg nie daruje, że on mnie tak zwiódł i oszukał! Dobrego i delikatnego udawał, a teraz pokazał, kto i jaki. Ot, żebym ja była nie zwarzowała i za niego nie wyszła, terazbym za Danilka wyszła....

Marcela przeciągły krzyk zdziwienia wydała.

— A moją ty mileńka, co ty wygadujesz! toż to dzieciątko w porównaniu z tobą! tożby ty jemu matką mogła być! a bodaj ciebie! ot, wymyśliła! A Jezu mój najśłodszy! z czterdziestówką za takiego smerdusa wychodzić!

Pusty, do powstrzymania niepodobny śmiech porwał babę; wstrzymywała go jednak i w dłoniach tłumiała, z obawy obrażenia Franki.

Ta zaś, ręce nad głową wyginając, z niejaką obrazą w głosie zaczęła:

— Tak i co, że ja od niego starsza? Jedna moja pani starsza ode mnie była, a młodzieńkiego męża miała, i on przed nią skakał i wszyściutko, co tylko kazała, robił. Oj-ej! co to na świecie nie zdarza się! A może ty sobie myślisz, że onby nie chciał ożenić się? Otóż chciałby, chciałby, i jak chciałby!

— Mówił, że chciałby? — zapytała Marcela.

— Mówić nie mówił, ale ja wiem... — odpowiedziała Franka.

U łóżka siedząca kupa lachmanów trzęsła się ciągle od stłumionego śmiechu, a po chwili wyszedł z niej głos przymilający się i zawodzący:

— Oj, pewno, że chciałby, czemuby nie chciał? Jeszcze nie było na świecie takiego mężczyzny, coby takiej śliczności nie chciał. Taka ty delikatna, taka ty ładna i weselenka, i żwawienka, jak ta biała koza na łące, albo jak ta królowna w pałacu...

— Ot, widzisz! — ozwała się znowu Franka — ale cóż z tego, kiedy mnie ten cham, grubjanin, niedźwiedź, rozbójnik, krwiożerca, ręce i nogi związał!

Porwała się znowu, na łóżku usiadła, ręce we włosach zatopiła.

Kiedy zaczęła mówić, syk jej gwałtownej, namiętnej mowy rozchodził się po wszystkich kątach ciemnej izby.

— Nie lubiłam już ja jego i wprzódy... bo wół, niedźwiedź, nudny, stary... ale teraz, kiedy śmiał rękę na mnie podnieść, sto razy więcej nie lubię... Nie cierpię, nienawidzę, tak nienawidzę, że zdaje się, zabiłabym, zadusiła...

— Cicho! — z przerażeniem syknęła Marcela — jeszcze nadejdzie i posłyszysz!

— Nie nadejdzie, nie nadejdzie! Djabli go przez całą noc po rzece nosić będą! Już ja jego zwyczaję znam! A żeby i posłyszal? Ja jemu sama to powiem! Niech wie, co to kobietę, z dobrej familji pochodzącą, krzywdzić.

Zaniosła się spazmatycznym płaczem i poprosiła Marceli, aby płachtę w zimnej wodzie umoczyła i jej podała, bo takie ją bóle głowy chwyciły, i tak jej w uszach turkotać zaczęło, że chyba zaraz umrze.

Przez kilkanaście dni potem Franka miała już ciągle głowę mokrą chustką obwiązaną, a widać było po niej, że cierpienia, przeciw którym środka tego używała, istotnemi były i dotkliwemi.

Ciało jej coraz więcej nabierało suchości i żółtości trzaski, a na woskowo żółtych, bezkrwistych policzkach płonęły czasem czerwone rumieńce. Wstając z pościeli, drżała, jak w febrze, i chwiała się na nogach, a w napadach gniewu okazywała zadziwiająco sprężystość i siłę. Choroba, której silne już zadatki z niezdrowo spędzonego dzieciństwa, z młodości tułaczkiej i burzliwej, tu z sobą przyniosła, którą w czasie ostatniej włóczęgi wzmogły: nędza, poniewierka, hańba więzienia i trwoga o przyszłość — rozwinęła się teraz i szybko wzrastała.

Była to jedna z tych dziwnych, tajemniczych chorób, których nasiona przynoszą już z sobą na świat pewne ustroje ludzkie. W atmosferze spokojnej i czystej zanikać one niekiedy mogą, ale wśród burz tragicznych, albo błotnistych wyziewów życia, wydają owoc, zatruwający mózg i wolę.

Mózg i wola Franki działały świadomie, przytomnie i z energią, namiętnie wyprężoną, ale zwracały się w jednym wyłącznie kierunku. Myślała, że jest strasznie, okrutnie skrzywdzoną i poniżoną; pragnęła za tę krzywdę i poniżenie gryźć, dokuczać, szkodzić, mścić się. Daleko więcej jeszcze, niż gryzienia i mszczenia się, pragnęła zupełnej, nieograniczonej, dzikiej swobody. Przymus i zależność jątrzyły ją zawsze, były dla niej nienawistnemi, ale znosiła je z potrzeby, z musu, niecierpliwąc się i warcząc; teraz zupełnie już znosić ich nie mogła. Dawna jej niecierpliwłość, głucha i niekiedy tylko wybuchająca, zmieniła się w rozmiotany i ustawiczny niepokój, warczenie przeszło w krzyk.

Przeszkody, które spotykała w widywaniu się z Danilkiem, do szalu doprowadzały jej nie znające nigdy przeszkód ani skrupułów miłosne instynkty, a wspomnienie razów,

od Pawła otrzymanych, wprawiało jej dumę w obłądne prawie wyobrażenia o własnej wyższości i wielkości.

Cechy temperamentu, charakteru, procesów myślenia, rozwinięte w niej, a w części zapewne i wytworzone przez całokształt jej życia, wzmagaly chorobę nerwów istotną i dotkliwą, która znowu potęgowała je i do stanu ostatecznego natężenia doprowadzała.

To też, na ciasnej przestrzeni podwórzy i ogrodu, dwie chaty rozdzielających, działy się teraz codzien rzeczy, nigdy przedtem w tym stopniu przez mieszkańców tej wsi nie widywane; wrzało istne piekło kłótni, pogroźek i płaczów. Spokojna i odważna Ulana ze swojej strony także rozjadła się przeciw bratowej, której ani krzywdy brata, ani obelżywych wyrazów, ciągle od niej otrzymywanych, przebaczyć nie mogła. Cała istota Franki wydawała się jej garścią błota, zmieszana z jakimiś mętnymi przebłyskami ognia, czy krwi, które ją przerażały. Bezwzględna i bezwarunkowa w swoich pojęciach o cnotcie niewieściej, z nauk baćków i z otaczających widoków zaczerpniętych, dla erotycznych szalów Franki miała dwie tylko nazwy: rozpusta i Sadoma i Hamora, które wymawiała, czerwieniąc się ze wstydu, jak dziewczyna, i spluwając z obrzydzeniem, koralowe jej usta tak wykrzywiającem, jakgdyby brzydkiego jakiego owada połknęła, albo cuchnącej wody napila się z kałuży.

Z innej znowu strony, przez całe życie z jednym tylko gatunkiem ludzi przebywając i o żadnym innym nie mając wyobrażenia należytego, lękała się tej odmiennej, tej przybłądy, tej chfichsatki, do wszystkiego, zdaje się, choćby do podpalenia chaty, albo do skręcenia szyi niewinnemu dziecku, gotowej. Alboż o tem wszystkim nie mówiła? Alboż — nazajutrz po owem pamiętnem zajściu — wybiegłszy na podwórko, nie wygrażała Filipowi i Ulanie, że chatę im spali za to, że ją przed mężem oskarżyli, że z ich to łaski ona, z dobrej familji pochodząca, edukowana, delikatna, przez niego, przez chama, wybitą została? Co więcej i straszniej jeszcze! raz, gdy, zdaleka idącego w pole Daniłka zobaczywszy, za nim lecieć chciała, a mała Maryśka, bawiąca się u wrót, pod nogami jej się plątała i, padając, za spódnicę ją uchwyciła, czyż nie porwała tego dziecka, jak korszun skowronka, i nie cisnęła go od siebie tak mocno i tak daleko, że Maryśka o płot się uderzyła i od uderzenia tego szerokie sińce dotąd jeszcze na plecach i czole nosi?

Wtedy już i Ulana, i Filip rzucili się byli na nią i za krzywdę dziecka wybić ją chcieli, ale do chaty swojej uciekła i drzwi z wewnątrz zasunęła. Nazajutrz zato złajali ją oboje za Maryskę i jej sińce od słów ostatnich a ona nic nie odpowiadała, siekierę schwyła i z góry ku rzece zbiegła.

Nie wiedzieli wcale poco siekierę brała i czego ku rzece biegła.

— Może utopi się, da Pan Bóg! — mówili.

Ale ona topić się nie myślała wcale. W wodę po kolana prawie wlaższy, siekierą prom Filipa rąbać zaczęła. Chuda jak trzaska, żółta jak świeca woskowa, z głową, mokrą płachtą owiniętą, tak jednak w złości silna była, że, jak mężczyzna, siekierą o deski promu uderzała, aż trzaski z pod niej wyskakiwały.

Szczęściem dla Filipa, Paweł, który niedaleko stamtąd ryby łowił, dostrzegł ją, domyślił się, co robi, i, przyskoczywszy, siekierę jej z rąk wyrwał. Potem, krzycząc i wijąc się, na górę wciągnął, do chaty wepchnął i drzwi chaty z zewnątrz zamknął. Okno nawet słomianą matą założył i drewnianym kołem podparł, aby przez nie wyskoczyć nie mogła.

Po odejściu Pawła, Filip, na prośbę żony ku oknu zcicha podszedł, róg maty odchylił i przez utworzoną w ten sposób szczelinę zobaczył Frankę, w kącie ciemnej izby na ziemi siedzącą. Siedziała i, za chorą głowę trzymając się, zanosila się od cichego tym razem, całym jej ciałem wstrząsającego płaczu.

— Niechaj płacze! Żeby cała roztopiła się w tym płaczu, daj Boże!

Filip zaklął, do najwyższego już stopnia za prom swój rozgniewany. Ale Ulana, wysłuchawszy opowiadania męża, zamyśliła się, westchnęła i, milcząc, zwróciła się ku chacie, a spostrzegłszy małego Chtawjana, którego przed godziną, kłócąc się z jego matką, wylażała i z podwórka swego wypędziła, w strwożonej i smutnej postawie, u wrót siedzącego, przyzywając głową ku niemu skinęła i zawołała:

— Chadzi!

Chłopiec natychmiast do niej przybiegł, a ona, pogłaskawszy go po włosach, łagodnie powiedziała, aby do jej dzieci, które na piasku pod laskiem biegają, bawić się szedł. Pomimo wstrętu i nienawiści, które dla Franki miała, obraz kobiety, w słoneczny dzień

Boży siedzącej w ciemnym kącie i, jak opowiedział Filip, trzęsącej się od płaczu, wywarł na niej wrażenie smutku.

Najpewniej niczemu z tego, co pomyślała i czuła, żadnego imienia nie dawała, ale najpewniej też doświadczyła przeblysku pojęcia, że wielkie złe bywa też dla człowieka, w którym mieszka, wielkim nieszczęściem. Nad tą rozpustnicą, jędzą, fiksatką uczuła litość i wylała ją z siebie życzliwym obejściem się z jej dzieckiem, tak samo, jak przystępy gniewu i nienawiści względem matki wylewała nietylko na nią, ale i na jej dziecko.

Tego samego dnia nad wieczorem Paweł u brzegu rzeki rozmawiał z Awdocią. Wyglądał jak człowiek ciężko zmęczony albo chory. Kark trzymał pochyło; z pod sfałdowanego czoła zapadłe jego oczy ponurem spojrzeniem wpijały się w ziemię. Policzek na dłoni oparł i zcicha, powoli, mówił:

— Co mnie tu robić? Boże mój miłosierny! Boże wszechmogący! co mnie z nią robić?

Awdocia, niska, szczupła, bosa, nad wiadrem pełnym wody stała wyprostowana, jak świeczka, z podniesioną ku niemu rumianą, pomarszczoną twarzą, na której malowało się zmartwienie i podziwienie. Usta miała otwarte, ale nic nie mówiła; nie wiedziała, co mówić i jak radzić przeciw tej biedzie, o której, jak o cudowisku, cała wieś od końca do końca gwarzyła. I Paweł już poznał, że niema pogo z tej biedy sekretu robić, bo o niej wszyscy wiedzą.

Tak stali oboje naprzeciw siebie, nieruchomi i milczący; on z wybladłym policzkiem, na dłoń opuszczonym, ona prosta, jak świeczka, z rękoma pod fartuchem splecionymi, z podniesioną ku niemu głową w czerwonej chustce i z otwartymi ustami. Dokoła nich nikogo nie było; u pustego piaszczystego brzegu pozłożona od świateł zachodnich woda płynęła spokojnie, jednostajnie, nieustannie, nad przeciwległym borem siał się długi seledynowy obłok; na górze, we wsi ryczało bydło. Świat był cichy, ciepły, pogodny.

Awdocia palce jednej ręki do policzka przyłożyła i jeszcze chwilę milczała, myślała, aż nagle z wybuchem, z energią, z silnie jakby powziętem postanowieniem, zawołała:

— Biej!

Z nogi na nogę przestępując, prędko i z błyszczącymi oczyma mówiła dalej:

— Bij ją, Pauluk! bij i duchu słuchaj! Za wszystko bij! i za rozpustę, i za złość, i za hultajstwo, bij! Nie żałuj, a bij! Łaskawość nie pomogła, i modlitwa święta nie pomogła, i gonienie do roboty nie pomogło; może jeszcze bicie pomoże. Może będzie bać się, może na nią groźby potrzeba, może, groźbę przed sobą widząc, upamięta się! Już widać innej rady dla niej niema! bij!

— Już widać rady i innego ratunku dla niej niema! — machinalnie powtórzył i nagle rękoma plasnął.

— Co mnie tu robić? — zaczął znowu — żeby mnie jednemu nieszczęście robiła, niechajby już... ale tamtych szkoda! Zaco oni od niej łajania i szkody znoszą? Może pieniądze jej dać, wszystko oddać i z chaty wyprawić? Jużbym, zdaje się, teraz tak i zrobił, już zdaje się i nie lubię ja jej teraz... a jednakowoż żal mnie ją na ostatnie zatracenie w świat wypędzać. I grzech na duszę wezmę, kiedy wypędzę. Przed świętym ołtarzem przysiągłem, że nie opuszczę aż do śmierci? ha? I tak źle, i tak jeszcze gorzej! co mnie tu robić?

— Bij! — powtórzyła Awdocia.

— Oj, kiedy mnie to bicie...

— Dla jej własnego ratunku bij! może przelęknie się, i ze strachu upamiętanie na nią przyjdzie...

— Dla jej własnego ratunku... może jeszcze i upamięta się... — wzroku od ziemi nie odrywając, powtórzył Paweł.

W godzinę potem do chaty swojej wszedł, omackiem lampkę znalazł i zapalił, po izbie rozejrzał się.

— Franka, jeść dawaj! czujesz? chutko!

Głos jego brzmiał surowo i szorstko.

Ona z kąta izby wyskoczyła i z gwałtownym ruchem ramion krzyknęła:

— A ty do mnie swoim chamskim językiem mówić nie śmiej! I rozkazywać mnie nie śmiej! Ja nie twoja sługa! Ja, choć zwarzjowawszy i wyszłam za ciebie, w porównaniu

z tobą panią jestem! księżną! królową! Ty mnie służyć powinien i pył przed memi nogami zamiatać, nie żebym ja tobie służyć miała!

Długo jeszcze w ten sam sposób mówiła, tem, że ją był na kilka godzin w ciemnej izbie zamknął, do ostatka rozwścieczona.

Paweł nie odpowiadał nic; jak kamienny na ławie siedział, kiedy zaś wreszcie umilkła, powtórzył:

— Daj jeść!

— Niema u mnie dla ciebie żadnego jedzenia! — krzyknęła.

— Zgotuj, a zaraz! — podniesionym głosem zawołał.

Czy sama, przez cały dzień nic w ustach nie mając, głodną się czuła, lub też, czy, drżąc na całym ciele, przy ogniu ogrzać się zapragnęła, ale z sieni wiązkę drewek przyniosła i w milczeniu, ponurem warczeniem tylko przerywanem, ogień w piecu roznieciła. Wody potem do garnka nalawszy, kilka garści krup w nią wyspała.

Paweł przez chwilę wodził za nią błędami i niekiedy ostre błyski rzucającymi oczyma, aż przysunął się do stołu, leżącą na nim „Służbę Bożą” otworzył i w karty jej wzrok wlepił. Chciał może odpędzić od siebie myśli, które kręciły się mu po głowie — półgłosem bąkać zaczął:

— Niech o-pła-ki-wam wi-ny mo-je, niech od od-od-r-z-u-rzu odrzu-cam po-ku-sy...

Przed piecem, w którym płonął już ogień, rozległ się ostry, zjadliwy śmiech.

— Ot, czytanie! Ot, śliczne czytanie! Ot, widać zaraz, że edukowany! Ot, gnój tobie wozić, ale nie książki czytać, chamisko!

— Niech po-pra-wiam złe s-k-l-o-n skłon-n-o-s noś, skłonnoś c-i skłonności mo-je.

Paweł, z głową w dłoniach, półgłosem czytał dalej.

— Nu, czy przestaniesz? — krzyknęła Franka — wolałabym skrzeczenia żab słuchać, niż tego chamskiego czytania. Czytać zachciało się! pan! hrabia! rabin żydowski!

Paweł czytał, a raczej bąkał:

— Niech się sta-ram o cno-ty p-r-z-y-z przyz-wo wo przyzwo...

Wtem mała, zgrabna, drżąca ręka z pod samej twarzy jego książkę porwała. Jednocześnie zerwał się i on z ławy, prosty jak struna, z rozbłysłymi oczyma.

— Oddaj książkę! — krzyknął.

— Nie twoja książka, moja! do mojej własności prawa nie masz! Kiedy zechcę, to spalę i adję! Na tamtym świecie chyba djabli ci książki do czytania dawać nie będą!

— Franka, oddaj! słyszysz? bić będę! — przez zaciśnięte zęby przemówił i widać było, że z wysileniem nadzwyczajnym tłumił w sobie gniew straszny, gniew cichego i łagodnego, w głębi zaś namiętnego człowieka.

— Bij! — krzyknęła — a ja książkę spalę!

Ramieniem zamachnęła tak, jakby «Służbę Bożą» w ogień cisnąć miała, ale powstrzymała ją ta sama twarda, żelazna obręcz, która już raz przed kilkunastu dniami objęła była jej ramię. Książkę z ręki jej wyrwał i, ramię z uścisków palców swych uwolniwszy, na ławę ciężko upadł.

Pobladł, jak płótno, ciężko i głośno oddychał, parę razy zcicha powtórzył:

— Piekło! piekło! gorące piekło!

Jeszcze pohamował się, jeszcze nie wybił jej, a nawet po kilku minutach zniżonym i przez śpieszny oddech przerywanym głosem mówić zaczął:

— Franka! upamiętaj się! Na Pana Boga wspomnij, duszy swojej pożaluj... toż ty mnie wtenczas na mogiłkach przed krzyżem świętym przysięgała... i drugi raz w kościele przysięgała... toż ja tobie nic złego nie zrobił... za co ty mnie męczysz? za co ty sama siebie gubisz?...

Ona, przed ogniem stojąc, milczała i drżącą ręką mieszała w garnku wodę i krupy. Po twarzy jej, czerwonym blaskiem ognia oblanej, błędziły jakieś wahające się wątpliwości i namysły.

Szarpiące nią furje uspokajać się zdawały; gdy Paweł wymawiał:

— Toż ja tobie nic złego nie zrobił, za co ty mnie męczysz? — policzki jej boleśnie zadrgały i powieki opadły na źrenice, mniej niż wprzód rozgorzałe. Znowu tak wyglądała, jakgdyby wstyd przejmować ją zaczynał.

Wtem drzwi otworzyły się ze stukiem, ale wąsko, i przez ten wąski otwór ukazał się mały Chtawjan, w dwóch wielkich czerwonych rękach trzymany. Zarazem głos niewidzialnej za uchylonymi drzwiami Ulany, popędliwy, wzgardliwy, grubszy niż zwykle, zawołał:

— Masz swego bękartą... czemu jego sama nie pilnujesz! Żeby nie ja, jużby z niego tylko garść kosteczek została. Po drodze łąził... z pod wozu go wyrwałam... z pod samutkiego wozu! Czemu nie pilnujesz! Kiedy urodziłaś, to i pilnuj! Ale taka ty matka, jak i żonka! Szelma, nie matka! Sadoma i Hamora nie żonka!

Ze stukiem znowu drzwi zamknęła, a Chtawjan, przez próg do izby wrzucony, ręce ku głowie podniósł i płaczem wrzasnął.

Na głos Ulany, tej nienawistnej dla niej kobiety, przez którą i przez której męża obita została i Daniłka utraciła, Franka z zaciśniętymi pięściami i groźbą w oczach porwała się ku drzwiom.

— Zabiję! — krzyknęła — dalibóg zabiję... za gardło schwycę i jak sukę zaduszę...

Łatwo było uwierzyć, że, gdyby dopędziła teraz Ulaną, spróbowałaby przynajmniej groźbę swą uskutecznić. Ale znowu uczuła na ramieniu swem tę samą, co wprzód, obręcz i znowu z przeraźliwym krzykiem ku ziemi przypadła.

W izbie zaś, razem z jej krzykiem i chlupaniem przeleknionego dziecka, słychać było głuchy stuk zadawanych razów i śpiesznym, urywanym, zdławionym szeptem wymawiane wyrazy:

— Nie zabijesz! Nie zabijesz! Wprzód ja ciebie... Cierp! Pokutuj! upamiętaj się! Za grzechy cierp! O zabijaniu nie myśl! Pokutuj!

Nakoniec ucichło wszystko, i mężczyzna wysoki, z nieco schylnym karkiem, z twarzą bladą i potem oblaną, z gwałtownie podnoszącą się i opadającą piersią, przed chatę wyszedł. Silnym był, a jednak nogi pod nim drżały. Na progu usiadł, głowę w obie ręce wziął i całą postacią zakołysał się w obie strony.

— Jezu mój! Jezu! Jezu najmiłosierniejszy! — głośno i rozpacznie wzdychał.

Z pół godziny kołysząc się, miłosierdzia Boskiego wzywając, z głową w dłoniach siedział, aż nagle, o czemś sobie przypomniawszy, wstał i do chaty wszedł. Co się dzieje z dzieckiem? Rozejrzał się po izbie, Franki nigdzie nie zobaczył. Tak schowała się w jakimś kącie, że wcale jej widać nie było, ale Chtawjan przed piecem na ziemi siedział, z trzasek dom budować, czy płot stawiać próbował, a mrużącemi się od senności oczyma na garnek, przed dogorywającym ogniem stojący, spoglądał.

Pawła ujrzawszy, trzaski z rąk wypuścił i żałośnie zawołał:

— Tatku! jeść!

Krupnik zgotowany nie był, więc Paweł z szafki kawał chleba wyjął, cienki płatek słoniny na nim położył i dziecku dał. Potem, schyliwszy się, wziął je na ręce i, przez izbę przeniósłszy, na łóżku posadził.

— Jak zjesz, połóż się i śpij! — nauczył.

Z najciemniejszego kąta izby, tego, w którym wśród rybackich i gospodarskich narzędzi najczęściej i najgłośniej zwykle były łomotać myszy, ozwało się gniewne, z jękami zmieszane warczenie:

— Nie rusz mego dziecka! słyszysz? to moje dziecko... Pańskie... a ty rozbójnik, krwiożerca... cham! cham podły! Słyszysz?

Paweł nie odpowiedział nic. Lampkę zgasił, z chaty znów wyszedł i przez całą noc nie powracał.

Ale niebawem, bo może w trzy dni po tym wieczorze, przyszedł dzień, dla wszystkich mieszkańców obu chat najstraszniejszy, w którym Franka całkiem już prawie od przytomności zdawała się odchodzić. Tem większem zaś przerażeniem i obrzydzeniem przejmowało to Koźluków, że o przyczynie tego najsroźszego napadu jej szaleństwa dobrze już wiedzieli. Dowiedzieli się zaś o niej od Daniłka, który wczoraj o zmroku do izby wpadł z takim impetem, jakby kto go był z procy wyrzucił, i prawie z płaczem zawołał:

— To cóż ja zrobię? Potem znów cała bieda na mnie spadnie! Czepia się, jak ta smoła... I teraz do gumna przyleciała... obejmuje... kusi... prosi...

— A ty, co zrobił? — głowę z nad brony, którą naprawiał, podnosząc, srogo zapytał Filip.

— W kark dał i uciekł... — ciekim głosem odpowiedział Daniłko.



- Nie łiesz?  
— Jak Boga kocham, prawda! — zaprzysiągł chłopiec.  
— Nu, patrzaj, bo jeżeli co... kijem skórę z pleców zedrę!

Ulana nad dzieżą, w której chleb miesiła, kilka przekleństw wymruczała i z wykrzywionymi ustami na stronę splunęła.

Daniłko mówił prawdę. Myśl o widzeniu się z nim samnasam gwoździem w mózgu siedziała i warem toczyła się w żyłach Franki.

Nie tyle już instynkt miłosny ku niemu ją pociągał, ile żądza postawienia na swoim, pomimo wszystko i wszystkich, dziki bunt przeciw więzom, które nałożono na nią; i przeciw tej nienawistnej pięści, która ją karciała. Im większą nienawiść uczuwała względem Pawła i jego krewnych, tem szalniej pragnęła jakimkolwiek kosztem swoją wolę im pokazać, z ładnym chłopcem choć na chwilę o tem, co ją wewnątrz bolało, paliło, targało, zapomnieć. Była zresztą najpewniejszą, że Daniłko przepada za nią, że gotówby nawet ożenić się z nią, gdyby wolną była, że tylko ze strachu przed gniewem Filipa i Pawła jej unika.

Unikał jej istotnie. Choć zrazu, olśniony i upojony pierwszą w życiu miłosną przygodą, z łatwością dał się szeptom Marceli i Franki zalotom pociągnąć, teraz zląkł się, nietylko gniewu brata, ale także grzechu, więcej jeszcze zawstydził się, ochłonął i, ręką machnąwszy stanowczo sobie powiedział:

— I znać jej nie chcę!

To też, gdy, upatrzwszy nakoniec stosowną chwilę, do gumna za nim wbiegła i do rąk, do szyi jego, szepcząc coś, mizdrząc się, czepiać zaczęła, odepchnął ją z gniewnymi słowy:

— Odczep się! czego przyklepiła się, jak ta smoła? Czego chcesz?

A gdy natarczywiej jeszcze ku niemu wróciła, pięścią nieco powyżej pleców ją uderzył i sam uciekł.

To przechodziło już wszystko, co znieść mogła.

Jakto! więc poto urodziła się, aby każde chamisko śmiało na jej plecy pięści swe opuszczać! A któż to ona jest, aby w takiej poniewierce móc zostawać? Pokaże im, poznają oni, kto ona taka! Dobrze ją popamiętają!

Wszystko to, nazajutrz po niefortunnym widzeniu się swoim z Daniłkiem, wypowiedziała i wykrzykiwała, pomiędzy płotkami, podwórko otaczającymi, chodząc i pięściami ku sąsiedniemu podwórzu wygrażając.

Ranek był jeszcze wczesny, ale Paweł o świcie już nad rzekę poszedł, a Filip i Ulana przed drzwiami swojej chaty stali, co mówić i poczynać już nie wiedząc. Na twarzach ich, nieco pobladłych, malowała się trwoga. Gromadka ludzi, krzykami i ciekawością tu przywiedziona, we wrotach stała, temu, co działo się na przeciwległym podwórku, przypatrując się z otwartymi ustami. Była tam i Awdocja, która ze wsi pobliskiej, od chorej kobiety powracając, tędy przechodziła i także u wrót stanęła.

— Ja wam, chamy, pokażę, kto ja taka! — krzyczała Franka — ja was nauczę wyższych szanować! Ja pani z panów! Ojciec mój w kancelarji służył, dziadunio swoje domy miał, matka na fortepianie grała... Słyszycie? Ot, kto ja taka! Do Kluczkiewicza napisz! A wiecie wy, kto on taki? Adwokat, wszystko jemu opiszę, a on was wszystkich za moje krzywdy na Sybir powysyła! On pan, z panią żonaty, bogaty, wszyscy panowie przed nim czapkę zdejmują, i wszystkie sądy w garści trzyma, i wszystko może! On brat, on za mną ujmie się... wszystkich was na Sybir ześle... wszystkich... wszystkich... do katorgi... na całe życie... żeby tu i nogi waszej nie było...

Tak wykrzykiwała, przechwałki i pogróżki grubemi wyrazami lajań i przekleństw przepłatając, pięściami wygrażała, a potem przyciszała się na chwilę i z głuchem tylko warczeniem, po żółkłej trawie podwórka, pomiędzy niskimi płotkami chodziła wkółko, wkółko, nieustannie. I wtedy właśnie najstraszniejszy miała pozór.

W brudnej koszuli, na plecach tylko przykrytej dziurawą chustką, w różowym fartuchu, z nagimi nogami, a stopami w płytke trzewiki obutemi, z czołem oblepionem mokrą płachtą, skurczona, naprzód podana, gdy tak wkółko pod płotem chodziła i głucho warczała, podobną była do dzikiego zwierzęcia, które, wściekłym gniewem i żądzą wolności opanowane, krąży dokoła prętów swojej klatki. Wyraźnie przytem rozróżnić było można wymawiane przez nią słowa:

— Kara boska! Kara boska! Kara boska na mnie spadła za to, że sama siebie szanować nie umiałam i między chamów wlałam! Ojciec i matka przewracają się w trumnach na moją hańbę patrząc! Kara boska! Kara boska! Kara boska na mnie za to, że sama siebie szanować nie umiałam!

A potem znowu, prostując się i do płota, z podwórkiem Koźluków graniczącego, przyskakując, ściśnięte pięści wyciągała i krzyczała:

— Chatę podpalę, dzieci poduszę, prom porąbię! Do Kluczkiewicza napiszę, do jednego mego pana napiszę, żeby na was krzywdy mojej poszukiwali, do turmy posadzili, na Sybir posyłać... Ja pani z panów, z panami znam się, wszystko mogę... i chatę wam z dymem puszcę... moja matka na fortepianie grała... ja ją z grobu wyciągnę... ja na was policję i sędziów posprowadam... ja pani z panów... Wszystkich was chamów zgubię...

Teraz znowu, gdy suchą kibić swą prostowała, ramiona swe ze ściśniętymi pięściami w górę wyprężyła, a piękne jej włosy, jak czarne, połyskujące węże, wily się po jej plecach i piersiach, oczy zaś wielkie, zapadłe, z pod oblepiającej czoło mokrej szmaty płomienie i błyskawice ciskały, wydawać się mogła bezprzytomną i rozszalałą warjatką. Ale ludziom, którzy patrzyli na nią, wydawała się piekielnym, nadprzyrodzonym zjawiskiem. To też coraz większe osłupienie ich ogarniało, i coraz większy lęk występował na ich twarze, szczególnie na twarze Ulany i Filipa, do których bezpośrednio zwracały się groźby jej i przekleństwa. A może sprawdzi się którekolwiek? A może ten jej Kluczkiewicz doprawdy wielkim jakim adwokatem jest i biedę na nich sprowadzi? Może cokolwiek z tego, co wygaduje, w zły moment wygada? Że sama zdolną była do podpalenia chaty, albo zaduszenia dziecka, o tem Koźlukowie w najmniejszej mierze nie wątpili. Stali tedy przerażeni, oglupieli, niemi, a w gromadce kobiet i mężczyzn, u wrót stojących, rozlegały się czasem stłumione chichoty, lecz daleko częściej zadziwione i przerażone szepty.

— Komedja!

— Wiedźma!

— Chfiksotka!

— Kab ją do miasta zawieźć i do szpitala chwarjatów posadzić!

— Czy ten Pauluk Boga nie boi się, żeby taką w chacie trzymać...

Nikt przecież i nie chciał, i nie śmiał zbliżyć się do niej z napomnieniem lub pogróżką. Nikt prócz Awdoci, która długo i prędko powiekami mrugała, głową kiwała, ciche wykrzyki zgrozy wydawała, aż szybkim ruchem przeżegnała się i, jak świeczka wyprostowana, z rękoma pod fartuchem schowanymi, drobnym kroczeniem małą przestrzeń przebyła i, na podwórko Pawła wszedłszy, drogę France zaszła.

— Franka — łagodnym i poważnym głosem zaczęła — słuchaj, Franka! Tobie ktośś coś zrobił, ty oczarowana. Już teraz ja wiem, dlaczego ty taka, i takiego ziółka ja tobie przyniosę, że, jak napijesz się, od razu ciebie złe odstąpi. Już ja takie ziółka od zrobienoho mam i tobie dam. Pomogę, wyratuję! Tylko teraz przeżegnaj się, moja mileńka, przeżegnaj się... raz tylko przeżegnaj... a zobaczysz, że lżej stanie... To tobie zrobiono... to na ciebie ktoś nieczystą siłę naślął... przeżegnaj się!...

Franka łagodnej i prosiącej mowy starej kobiety zrazu z gorączkową ciekawością zdawała się słuchać, ale wkrótce z przyspieszonym oddechem i ściśniętymi pięściami do niej poskoczyła.

— Ty sama wiedźma! — krzyknęła — co ty mnie czarami straszyc przysła...

— Ja wiedźma! — odkrzyknęła Awdocia, dla której sroższej nad tę obelgi być nie mogło.

Lekarką była, ale nie wiedźmą, dobrze ludziom robić lubiła, ale robieniem złego brzydziła się, jak śmiertelnym grzechem.

Pierwszy raz w życiu wiedźmą nazwana została i, schwyciwszy się za głowę, wielkim gniewem wybuchnęła:

— Ty sama z czartowskiego plemienia!... — zakrzyzczała.

— Ja pani z panów a ty czartowska sluga... Precz! czego mnie w oczy wlała... czarownica, chamka... precz! precz!

Dwie postacie niewieście zaszamotały się teraz u płota, dwa piskliwe głosy krzyczały tak, że już słów rozróżnić nie było można.

Aleksy Mikuła z gromadki u płota stojącej wyskoczył i na ratunek Awdoci pobiegł; za jego przykładem, choć nieco powolniej posunęli się i inni.

— Związać ją i do szpitala chwarjatów odwieźć! — krzyczał Aleksy.

— Związać! zbić! w chacie zamknąć! po Pauluka posłać! — rozlegały się wołania innych.

Ulana, przed chatą swoją wciąż stojąc, drżąca, jedną ręką u czoła i piersi znak krzyża czyniła, drugą przygarniała cisnące się ku niej, przerażone dzieci, pośród których znajdował się i Chtawjan.

Wtem, z za węgła chaty ukazał się Paweł. Ktoś go już nad rzeką był wynalazł i o tem, co działo się, zawiadomił. Szedł prędko, z czapką nisko na oczy zsuniętą, z policzkami, jak ogień czerwonymi.

Na spotkanie mu poskoczyła Awdocja, ręce łamiąc i głośno skargi zawodząc, że Franka ją wiedźmą nazwała i wybiła, a pewnoby i zabiła, gdyby Aleksy i inni ludzie jej nie obronili.

Paweł przyjaciółkę swoją porywczym gestem usunął, dwóch mężczyzn, którzy na drodze mu stali, odepchnął i Frankę, za ramię pochwyciwszy, ku chacie pociągnął. Wszystko to uczynił bez słowa, bez tchu prawie, z oczyma, daszkiem czapki zasłoniętymi, i czerwonymi jak ogień policzkami. Gdy razem z Franką we wnętrzu chaty zniknął, obecni w części rozeszli się, w części na Koźlukowem podwórku pozostali i, niby czegoś jeszcze oczekując, milczeli.

Wśród tego milczenia rozległ się z chaty Pawła wychodzący krzyk kobiecy i powtórzył się już nie kilka, jak przedtem, ale kilkanaście razy. Potem wszystko zupełnie ucichło, ludzie rozeszli się do reszty, Koźlukowie nawet do codziennych swych robót poszli, czworo dzieci tylko swawolą i śmiechem dzwoniło u stóp cementarnego borku, i żółty Kurta, wygrzewając się na bladym słońcu wrześnieowem, od czasu do czasu poszczekiwał.

W bladym słońcu wrześnieowem chata Pawła stała cicha, jak grób, z drzwiami zewnątrz zamkniętymi, z oknem, zawieszonem słomianą matą i drewnianym drągiem podpartem. Wewnątrz, w ciemnej izbie, Franka ogień w piecu rozniecała. Przed kilku minutami Paweł, wychodząc stąd, surowym i ciężko z piersi wychodzącym głosem przemówił:

— Ogień rozpal i strawę zgotuj, żeby mnie, jak z rzeki wrócę, zgotowana była. Kiedy nie będzie, znów wybiję!

Zaraz potem ciemność otoczyła Frankę, ale skurczona, oniemiała, siedziała ona wśród niej na ziemi tylko minut kilka, potem zerwała się i prędko, śpiesznie ogień rozniecać zaczęła. Trzęsącemi się rękoma wrzucając do pieca polana i suche trzaski, urywanym, świszczącym szeptem mówiła:

— Zgotuję ja tobie strawę, zobaczysz, jaka będzie smaczna! Wywdzięczę się ja tobie... Pokażę ja wam wszystkim... będziesz ty kontent z tej strawy, którą ja dziś zgotuję... Będzie tobie dobrze po niej! Poczekaj! poczekaj! na tamtym już świecie chyba spróbujesz swoje chamskie kulaki na takie, jak ja, spuszczać!

Można było mniemać, że po wszystkim, co dziś zaszło, czuć się musi zmęczoną i osłabioną. Bynajmniej. Dziwnie żwawo i sprężysto krzątała się koło rozpalenia ognia, nalewania wody do garnka, wydobywania krup z worka. Nóż z szafki pochwyciła, trochę kartofli z łupin okroiła i do gotującej się wody wrzuciła, z zapaloną trzaską do sieni poszła i stamtąd garnek z mlekiem przyniosła.

Jakaś myśl, jakieś uczucie rękoma jej przysparzały siły, ciału giętkości, ruchom pośpiechu. Zdawać się też mogło, że opanowała ją niezmierna gorliwość i troskliwość o to, aby jadło, które sporządzała, jak najsmaczniejszym być mogło. To też sól do garnka z wodą i krupami sypiąc, kartofle wkładając, mleka wlewając, ciągle ze świstem w ustach i chrypką w gardle, szeptała:

— Ot, najesz się, ot, syty już będziesz... taki syty, że już nigdy się tobie nie zechce! Podziękujesz mnie! W godzinę śmierci poznasz, co to znaczy na taką, jak ja, rękę podnosić!

Czasem jednak po tym zjadliwym i triumfującym szepcie następował ponury i rozpasany:

— Kara boska! Kara boska! Kara boska na mnie za to, że sama siebie szanować nie umiałam i między chamów wlałam! Ot, do czego przyszłam. Ot, co mnie teraz robić przyszło! Kara boska!

Wtedy blask ognia, na twarz jej padający, ukazywał w jej oczach przepaścisty, czarny, osłupiały smutek.

Kiedy już krupnik zupełnie był zgotowany, do skrzynki swojej, stojącej w kącie, poszła, otworzyła ją, ze spodu podartą i obloconą spódnicę wywlókła i przez chwilę kieszeni jej

ręką szukała. Kieszeń znalazłszy, rękę w niej pogrzyżyła i coś w papierek owiniętego z niej wyjęła. Potem niedbale spódnicę na ziemię upuściła, skrzynki nie zamknęła i, z papierkiem w ręku przed piec wróciwszy, to, co się w nim zawierało, do garnka wsyłała.

Wszystkiego tego dokonała z prędkimi, ale spokojniejszymi niż wprzód, ruchami, w zupełnym milczeniu. Do zgotowanego i mlekiem zaprawionego krupniku biały proszek wysypawszy, dużą, drewnianą łyżką w garnku mieszać zaczęła. Mieszała zwolna pilnie, regularnie, sine usta jej były mocno zwarte, w oczach świeciło nieruchome płomień, na policzkach płonęły czerwone rumieńce...

Najniewątliwiej czyniła to wszystko z zupełną świadomością swego celu, nawet z nymysłem, bardzo jednak biegly chyba psychjatra udzieliłby mógł wiadomości, czy jej psyche całkowicie w niej była przytomną. Co pewna, to, że w tej chwili żyła jedynie i wyłącznie tą chwilą i ani wspomnień, ani przewidywań nie miała. Nie było też w niej ani skrupułów, ani walki... Pierwszych przez całe życie swe nie doświadczała nigdy; przez całe życie ta składowa część uspołecznionej istoty ludzkiej, która budzi skrupuły i walki, była w niej nieobecna. Teraz, pod wpływem jednej, do ostatecznego natężenia doszłej myśli i namiętności, mniej niż kiedykolwiek powstać w niej ona mogła.

W plecach, ramionach, szyi, czuła ból od popychań i uderzeń tych, którzy stawali w obronę Awdoci, i od razów, które jej zadał Paweł. Myślała, że jest sponiewieraną, skrzywdzoną, spętana, nienawidziła i nienawiścią tą w najpotężniejszy możliwy sobie sposób uderzyć w kogo pragnęła. Więcej nic. Najniewątliwiej psyche jej całkiem nie opuściła, ale na tej wąziutkiej linijce, która przytomność z obłędem rozgranicza, chwiała się kaleka, pijana, bezpamiętna i — rozboleła.

Paweł, po zamknięciu drzwi i okna swojej chaty, szerokimi krokami, z czapką ciągle na oczy nasuniętą, zmierzał do tej, w której mieszkała Awdocia. Zobaczył ją, wieszającą na płocie upraną bieliznę i, na dziedziniec nie wchodząc, z przeciwnej strony płotu przed nią stanął. Czapki nie podnosząc, głuchym głosem zaczął:

— Wybaczajcie, kumo, że taką nieprzyjemność przeze mnie mieliście... Wybiłem...

Splakana Awdocia jednak wyprostowała się i, ręce pod fartuch chowając, powiekami mrugając, zaszepiała:

— Nic jej i bicie nie pomoże. Jej to zrobione i póki odrobione nie będzie, nic nie pomoże. Już ja dziś poznałam, że to nie boska wola, tylko ludzka robota... Dziś wieczorkiem kopytniku nagotuję i jej do picia przyniosę... kopytnik od zrobionego najlepszy, ale kiedy nie pomoże... co innego pomoże... bo to jest zrobione...

Paweł milczał długo, aż, ramionami wzruszając, odpowiedział:

— Czy ja wiem? może i twoja prawda... może to i zrobione... Ani przysięga i łaskawość nie pomogły, ani święta modlitwa i robota nie pomogły, ani bicie nie pomaga... Czyż to boska wola taka może być? Chyba to już czartowska wola i siła... chyba może... chyba kto jej tak zrobił...

Wahał się, nie dowierzał, jednak, nieszczęściem swem zgnębiony, zawodami, które wiarę jego, tak zawsze silną, po kolei niszczyły, do osłupiałości zadziwiony, nadprzyrodzone wpływy, na Frankę działające, przypuszczając zaczął.

Awdocia zaś szepiała:

— Wieczorkiem pod ogród podejść i ciebie zawołam. Jak wyjdiesz, garnuszek z kopytnikiem tobie dam, a ty go jej wypić każesz... żeby nie wiem, jak nie chciała, każ... zły w niej krzyk będzie, ale ty nie zważaj i wypić każ... Ojciec nasz przy tem mów i żegnaj się, ciągle żegnaj się, i ją żegnaj... Wieczorkiem już ja tobie wszystko powiem, jak robić...

— Dobrze — odpowiedział Paweł — przynieście, nauczcie, poratujcie, i niech wam Pan Bóg wynagrodzi za to, że mnie w biedzie nie opuszczacie.

Prędko odwrócił się i ku rzece zszedł.

Nie do pracy mu jednak było dnia tego. Wyglądał tak, jakby sam ciężko był zbitym; cierpienie zagłębiło mu policzki i w grube fałdy ściągnęło czoło.

Na parę godzin przed wczesnym, wrześnieym zmrokiem matę u okna chaty swojej zdjął, drzwi otworzył i do izby wszedł.

Otwór pieca był drewnianą deską zasunięty; Franka, na łóżku skurczona i z głową w dłoniach ściśniętą, siedziała. Gdy tylko jasno zrobiło się w izbie, skoczyła, leżący na ławie kawał płótna z wetkniętą igłą schwyciła i, na uprzednie miejsce swe wróciwszy, szyć zaczęła.

Widok pieca i deski, za którą gospodynie zazwyczaj stawiają zgotowaną strawę, przypominał Pawłowi, że od wczorajszego wieczora nic w ustach nie miał.

— Czy jest co jeść? — zapytał, a głos jego brzmiał już daleko spokojniej i łagodniej, niż przed kilku godzinami; był to głos człowieka, który, po wybuchu wielkiego gniewu, uczuwać zaczyna wielką litość, po burzy i kłótni, niby właściwej dla siebie atmosfery, pragnie pogody i zgody.

— Jest co jeść, Franka? — zapytał po raz drugi.

Głowy ani oczu nie podnosząc, mruknęła:

— Jest.

— Nalej na miskę i daj.

— Weź sam — odpowiedziała.

Odjął deskę, z głębi pieca wysunął garnek i, ukroiwszy kawał chleba, przed piecem, który mu za stół służył, w stojącej postawie jeść zaczął. Jadł bardzo powoli. Przed chwilą czuł się głodnym, teraz jednak strawa z trudnością przez gardło mu przechodziła. Czuł w niej smak nieco gorzkawy. Myślał, że to zgryzota goryczą mu usta i gardło zalała. Ona też istotnie — ale nie smak gorzkawy, bardzo lekki — głód w nim tłumila. Część więc tylko zawartości garnka zjadłszy, łyżkę w krupniku zatopioną z ręki wypuścił, siermięgę zdjął i, pod głowę sobie ją położywszy, z głośnym odetchnięciem ciężko zmordowanego człowieka na ławie się wyciągnął.

Franka, z głową nisko schyloną, ciągle i prędko szła. Gdy Paweł jadł, wcale oczu od płótna nie odrywała; teraz rzucać zaczęła na niego spojrzenia badawcze, szybkie. Kiedy zobaczyła, że powieki zamknął i usnął, płótno odrzuciła, łokcie na kolanach oparła i twarz w dłoniach zanurzyła.

Cisza zupełna, przerywana tylko oddechem śpiącego człowieka, długo panowała w izbie. Z zewnątrz też dochodził do niej gwar, wzniecany przez bawiące się dzieci, pomiędzy którymi znajdował się i Chtawjan. Ulana go dziś nakarmić musiała, co zresztą zdarzało się dość często; z dziećmi jej na słońcu ciepłem dokazywał, do chaty nie przychodził.

W powietrzu trochę już szarzyć zaczęło; jeszcze dzień był, ale już kłonił się ku wieczorowi. Paweł we śnie poruszył się parę razy niespokojnie i zcicha zajęczał. Usta przytem skurczyły mu się, jakby od bólu. Nie obudził się jednak.

Franka głowę podniosła, na zcicha jęczącego popatrzała, z siedzenia zerwała się i z chaty wypadła. Ściany chaty okrążywszy, skrajem góry, za stodólkami, których tam kilka rzędem i blisko siebie stało, prędko iść zaczęła. Widać było po niej, że sama nie wiedziała, po co i dokąd idzie; niewiedzieć też dopóki i gdzieby szła, gdyby nie zobaczyła, na spotkanie jej także skrajem góry i za stodólkami posuwającej się kwadratowej, ciężkiej, lachmanami okrytej, kijem podpierającej się postaci.

— Marcelka! — krzyknęła takim głosem, jakim ktoś, długo wśród wrogów przebywający i przez nich dręczony, wita jedyną na świecie przyjemną mu istotę.

Dawno już starej żebraczki nie widziała; Marcela bowiem, jak przedtem w sprawie z lokajem, Karolem, tak teraz w zająsci z Daniłkiem niewinną się nie czuła, Pawła i Koźluków lękała się, jak ognia, a w oddalonej chacie na kącie teraz przesiadując, wołała wcale nie nawijać się im na oczy. Ciekawą jednak była, bardzo ciekawą, dowiedzieć się, co po dzisiejszej hawanturze, o której od ludzi słyszała, dzieje się z Pawłem i Franką; więc za stodołami ku ich chacie szła, w nadziei, że pokryjomu coś może zobaczy, posłysz, Frankę samą gdzie spotka i u niej rozpyta się. Spotkała i kroku przyśpieszyła.

Franka ku niej nie szła, ale biegła; blisko niej znalazłszy się, ramiona wyciągnęła, na szyję żebraczki je zarzuciła i, całem swem wyschłem, giętkiem ciałem do niej przyłgnąwszy, gwałtownym płaczem wybuchnęła.

Zdawało się, że radość, której doznała, przyjazną sobie istotę ujrawszy, serce jej, stwardniałe i ciężkie jak kamień, zmiękczyła nagle i w lzy roztopiła.

Marcela przyciszonym głosem zawodziła:

— Biję! a co? bije i bije? Taki zdaje się dobry był, a teraz zrobił się taki zły! biedna ty, rybeńko moja, biedna! Nie do tego ty stworzona, nie do tego urodzona... Królować tobie i panować na tym świecie, a nie poniewierkę taką znosić... oj, Boże mój, Boże! a ja przyjść do ciebie lękałam się... jeszczęby mnie wybił... Moja ty złocienka, może ty mnie wieczorkiem ze dwa kawałeczki cukru przyniesiesz... ja tu na ciebie czekać będę...

okropnie cośiś brzuch rozboleł, stanouniku sobie nagotowałam, ale nadto gorzki, osłodzić trzeba...

Franka nagle płakać przestała.

— Już on mnie nigdy bić nie będzie — zaszepiała.

— Czemu? — zapytała żebraczka.

— Już ja jemu tak zrobiła... że nie będzie...

— Mojaż ty mileńka, a cóż ty jemu takiego zrobiła?...

Zcicha, grubo, porywczco Franka rzuciła wyraz:

— Otrułam!

— W imię Ojca i Syna!... czy ty zwarzjowała, Franka, żeby takie rzeczy gadać? — krzyknęła Marcela.

— Może i zwarzjowałam, ale już on żyć na tym świecie nie będzie...

Stojącą przed nią kupę lachmanów porwało drżenie.

— Jezu najśodszy!... Franka, nie łiesz?

Uderzyła się pięścią w pierś.

— Jak Boga kocham! — odpowiedziała.

— Ratujcie ludzie! Jezus, Marja, Józefie Świąty!... Ojcie nasz, któryś jest w niebie... Świąty Antoni Padewski, Najświętsza Marjo Panno... W imię Ojca, i Syna, i Ducha... Kyrje... Alejson... — płaczącym się w ustach językiem, drżąc, żegnając się, wtył się cofając, plotła Marcela, a siwe jej oczki, pod czerwoną, opuchłą powieką słupem stawały.

— Ach, szelmaż z ciebie! ach, djabelże ciebie skusił! Oj, głowa moja nieszczęśliwa! czegoż ja tu przyszła! na co ty mnie to powiedziała... jeszcze i na mnie bieda spadnie... ach, niegodziwa ty! czy w tobie duszy ludzkiej nie było!...

Wtem, od strony chaty Pawłowej, z podwórka, dało się słyszeć wołanie:

— Ułana! Ułana! Ułana!

Był to głos donośny, silny, ale bardzo dziwny, bólem zdjęty, na pomoc wołający.

Franka, w kierunku tego głosu cała naprzód się podała, a potem sama jak strzała pobiegła. Do bocznej ściany chaty przypadłszy, z za węgla jej na podwórko patrzeć zaczęła.

Paweł stał przed drzwiami, twarzą do podwórza Koźłuków zwrócony, i coraz słabiej, ciszej Ułany wołał.

Dzieci bawiły się tuż za wrotami, ale na to wołanie uwagi żadnej nie zwracały; Ułana zaś z głębi komórki ozwała się nakoniec:

— Czego?

— Chadzi! — zawołał jeszcze Paweł — jeżeli Boga kochasz, prędzej... tutaj!...

Z dłońmi do piersi przyciśniętymi, chwając się, do chaty wszedł; Ułana, słowami i brzemieniem głosu jego przelekniona, z obórki wypadła i prędko biegła. Filip ze swej chaty wychylił się i za żoną zawołał:

— A czego ty tam lecisz, Ułano?

— Chadzi chutko! — odkrzyknęła i do chaty braterskiej wbiegła.

Przez dobrą godzinę potem przytłumione jęki cierpiącego człowieka, z płaczliwym zawodzeniem kobiet zmieszane, rozlegały się w tej chacie, i panowała w niej zawierucha krzątających się około chorego osób.

Paweł, bez obuwia i siermięgi, w płóciennym odzieniu na posłaniu leżał, czasem jęcząc i wijąc się od doświadczanych wewnątrz bólów i mdłości, czasem uspokajając się na chwilę, i tylko nieustannie osłabłym głosem o wodę prosząc. Zamiast wody podawano mu ziółka, które Awdocia przed ogniem gotowała, przelewała, studziła, chlapiąc i za głowę chwytając się, gdy Paweł więcej cierpiał i głośniej jęczał, gdy zaś ulgi doświadczwał i przycichał, z zapalem rękoma rozmachując i gadając.

— Ot, co zgryzota może! Wszystko ze zgryzoty! Zamęczyła szelma ta biednińskiego, przed czasem do mogiłki go wtrąciła! Może jeszcze Pan Bóg da, że odejdzie... Może ziółka pomogą!...

Gorący popiół z pieca wygarniała, w worki go wsypywała i Ułanę uczyła, jak ma niemi brata okładać. Ułanie gęste łzy po czerwonych policzkach ciekły, gorliwie spełniała wszystkie zlecenia lekarki i czasem tylko przed chatę wybiegała, aby na dzieci najrzec.

Filip na ławie siedział nieruchomy, zmartwiony, nic do roboty nie mając, tylko gdy raz Awdocia do chorego, który gwałtownie zajęczał, przyskoczyła i przeraźliwie krzyknęła:

„umiera, ot, już i umiera! hromnicę, ludzie, zmiłujcie się, prędzej hromnicę dawajcie!” — poskoczył i z chaty swojej kawał grubej woskowej świecy przyniósł.

Obce kobiety śpiesznie i z głośnym płaczem gromnicę tę zapaliły i w rękę chorego włożyły.

Odtąd zaczęło się ciągle gaszenie i zapalanie, podawanie choremu i odbieranie mu gromnicy. Ile razy cierpienia jego zwiększały się, zapalały ją i podawały; ile razy zdawały się zmniejszać, z rąk mu ją wyjmowały i gasiły. Wtedy też do izby wsunęła się Franka i, jak widmo cicha, przesunawszy się pod ścianą, w kącie na ziemi usiadła. Nikt na nią żadnej uwagi nie zwrócił.

Raz tylko Ulana, wody z wiadra zaczerpnąć potrzebując, bo Awdocia nowe jakieś zioła gotować zamierzała — kobietę, przy wiadrze siedzącą, popędliwie z drogi usunęła.

Franka głębiej jeszcze w kąt zasunęła się i, łokcie na kolanach oparłszy, twarz w dłoniach zanurzyła. Nie podniosła jej ani wtedy, kiedy Paweł głośnie jęczeć zaczynał, a kobiety z wielkiem szamotaniem się i szlochaniem zapaloną gromnicę mu z bratem podawały, ani wtedy, gdy Daniłko do izby wszedł i, półgłosem porozmawiawszy, zmieszany, z pochyloną twarzą wyszedł.

Była to już druga i straszniejsza od pierwszej godzina tej zawieruchy, w chacie Pawła panującej. W połowie trzeciej, chory rzadziej jęczeć zaczął, uspokajał się; ciężkie jego ciało, na posianiu wyciągnięte, coraz większej nieruchomości nabierało; twarz, która ze zmroku, słabo oświetlonego palącą się na stole lampką, wynurzała się, jak sino błąda, kurczami bólu ściągnięta maska, do zwykłych zarysów swych powracała.

— Lżej tobie? — pochylając się nad nim, zapytała Awdocia.

— Lżej — słabym głosem odpowiedział.

Wtedy Ulana znowu sobie o dzieciach przypomniała.

— Pilip! — śpiesznie zwróciła się do męża — idź zobaczyć, czy dzieci w chacie... ogień zgaś, bo jeszcze sobie co złego zrobią... może Łukasz płacze, to przynieś go tutaj.

Filip wstał i z chaty wyszedł; wieczór był już zupełny; chłodnawy, pogodny, gwieździsty.

W zmroku, przez światło gwiazd rozświetlonym, Filip, ku wrotom idący, zobaczył stojącą za nimi grubą kwadratową postać ludzką, a do uszu jego doszło półgłośnie ochryple mruczenie:

— Jezu Nazareński! zmiłuj *sia* nad nami! Jezu przedziwny, zmiłuj *sia* nad nami! Jezu, ucieczko nasza, zmiłuj *sia* nad nami!

Nie było to zwyczajne modlitewne mruczenie żebraczki; odzywały się w niem: przestrasch, groza, gwałtowne wołanie do Boga o ratunek. Filip jednak nie zwrócił na nie uwagi, tem bardziej, że, przy zbliżaniu się jego, ciężka, mrużąca postać odstępiała i w inną stronę poszła. Zaledwie jednak Filip, ku podwórku swemu zmierzając, zwrócił się ku niej plecami, wróciła także i kilka śpiesznych kroków za nim uczyniła. W ten sposób chodziła ona od trzech już blisko godzin, idąc, wracając, na jednym miejscu drepcząc, przysiadając na ziemi, gdy stare nogi posłuszeństwa jej odmawiały, i znowu podnosząc się, aby iść, wracać, dreptać...

Modliła się żarliwie, walczyła. I powiedzieć lękała się o tem, co wiedziała, i zamilczenie zgrozą ją przejmowało. W pierwszym wypadku lękała się podejrzeń, na nią także spaść mogących, kłopotów, sądów; w drugim przerażał ją straszny sąd Boży. Litość przytem czuła nad tym człowiekiem, którego jęki aż po podwórku rozlegały się czasem i uszu jej dochodziły, i ohyda ją zdejmowała dla tej kobiety, która chyba duszy ludzkiej w sobie nie miała, gdy to robiła...

— Pilip! — odezwała się nakoniec — a! Pilip!

Filipowi wydało się, że tuż za jego plecami piła jakaś imię jego wygrzytała. Już do chaty swojej miał wchodzić, obejrzał się.

— Czego? — zapytał.

Ze stojącej przed nim na dwu wielkich stopach kupy lachmanów wynurzyła się ku niemu wzniesiona, sfaldowana, wyrazem zgrozy wykrzywiona twarz Marceli.

— Wiedajesz, Pilip — zaczęła — wiedajesz szto?... on... znaczy Pauluk... twój dziewier... otruty!

— Co! — wykrzyknął Filip.

— Dalibóg! — zaszeptala znowu żebraczka — nie mów tylko nikomu, mój mileńki, nie mów, że to ja tobie mówiłam; bo jeszcze i mnie bieda będzie... Trucizny do jedzenia jemu wyspała... nie mów tylko nikomu, że ode mnie dowiedziałeś się, jeżeli Boga boisz się, nie mów...

Filipa nagle światło w oczy uderzyło. Dawno już myślał, że ona kiedykolwiek jaką okropną rzecz zrobi, że wszystko zrobić gotowa. A toż! Skądże Pawłowi ta nagła choroba przyszła? Marcela prawdę mówi, jak Bóg na niebie, prawdę!

Za głowę się schwylił.

I zgroza go przejęła, i uczucie triumfu: zgrozę w nim budziła dokonana zbrodnia, triumf uczuwał na myśl, że Paweł przekona się sam nakoniec, jaką biedę i jakie niebezpieczeństwo na siebie i na nich sprowadził. Przez głowę, jak błyskawica, przemknęły mu: turma, sąd, Sybir! Do turmy ją zabiorą, na Sybir wyślą i wszystkich ich od niej na zawsze wybawią.

Z miejsca porwał się, Marcelę odepchnął, krótszą drogą przez płoty i ogród ku chacie Pawła pędem biegł i do izby, w której zapanowała była chwilowa cisza, z krzykiem wpadł:

— Ot, co! ot, jak! Wiedajesz, Pauluk! ty otruty... żonka tobie trucizny zadała! słyszysz?

Tak dobrze usłyszał, że, jak sprężyną podjęty, całą górną połowę ciała z postania dźwignął, wyprostowany usiadł i z ust jeden tylko, przeciągły, pytaniem nabrzmiały, dźwięk wydał:

— Ha?

— Otruła — powtarzał Filip — do jedzenia trucizny wyspała...

Awdocia i Ulana ręce załamały, a potem schwyliły się za głowy.

Pierwsza do chorego przyskoczyła:

— Jadł ty dziś co?

Paweł, jak był nagle i sztywnie podniósł się, tak nagle i sztywnie na posłanie opadł.

— Jadłem — zcicha odpowiedział.

— A co ty jadł?

— Krupnik — wyszeptał.

— A gdzie ten krupnik? — zaszamotała się po izbie Awdocia.

Ulana, głośno dysząc, z przerażeniem na twarzy garnek z utopioną w nim łyżką z ziemi podjęła.

— Ot, ja tu postawiłam, bo ogień rozpalać przeszkadzał...

Zdawało się, że kasztanowate jej włosy, dwoma pasmami ukazujące się z pod chustki, od zgrozy powstały nad czołem, tak stała się nagle rozczochraną. Filip, ze wzburzonemi także na głowie włosami, z latającą żrenicą u otwartych drzwi stał; za otwartymi drzwiami widać było w ciemnej sieni pobladałą twarz Daniłka i czworo drobnych dzieci, w ścisłą gromadkę zbitych, krzykami i niezwykłym ruchem zadziwionych...

Awdocia garnek z krupnikiem pod samą prawie twarz chorego podsuwała:

— Ten krupnik jadł?

Ale on już nie odpowiadał; osłupiałym, błędnym, strasznym wzrokiem po izbie wodził. Na skrzynkę Franki w kącie otwartą i na leżącą obok niej spódnice spojrzął; papierek zmięty, nieduży, stopami krzątających się po izbie osób na środek jej wyciągnięty, zobaczył; coś sobie przypomniał i powieki zamknął. Pierś jego podnosiła się wysoko, ciężko, ale ze ściśniętych ust nie wydobył się dźwięk najłżejszy. Daremnie Awdocia i Ulana zapytania swe i badania w same ucho mu wykrzykiwały, daremnie go za koszulę i ręce targały; z czołem spotniałem, z zaciśniętymi ustami, ze szczelnie zamkniętymi powiekami, leżał jak martwa i ciężka kłoda, zdając się nie czuć i nie słyszeć nic. Tylko szybki i ciężki oddech upewniał o tem, że żyje, ale kobietom znowu przez głowy przemknęła myśl, że już kona, a ponieważ tym razem, nie od zwykłej choroby, lecz od trucizny w mniemaniu ich konał, więc zgrozą zdjęte wyprostowały się, przeżegnały i pacierze ciche mówić zaczęły.

W tej ciszy, przerażonym szepcie kobiet i trzaskiem ognia przerywanej, zdala, z przeciwległego brzegu rzeki doszło basowe, przeciągłe, w jednostajnych odstępach czasu po wiele razy rozlegające się wołanie:

— Po-rooom! Po-o-o-rom! Po-ooo-rom!

Filip, po raz pierwszy może odkąd prom posiadał, na wołanie to żadnej uwagi nie zwracał, ale Daniłko natychmiast z sieni wyskoczył, a po minucie wrócił i, głowę do izby wsuwając, głośnym szepcie zawołał:



— Filip! chodź prędzej! Uradnik!

Zdała znane mu dobrze konie policyjnego urzędnika, i głos woźnicy jego poznał.

Filipa jakby coś w górę podrzuciło, tak podskoczył i w mgnieniu oka z izby wypadł, a potem, szost z pod ściany chaty swojej porwawszy, bez czapki, cały naprzód podany, z góry zbiegał.

— Ot, chwala Bogu — wołał — ot, Pan Bóg miłosierny jego tu zesłał! Ot, w czas przyjechał!

Nic w tem dziwnego nie było, że teraz przyjechał, bo w tem miejscu przez Niemen przeprowadzał się bardzo często, robotę urzędową po obu stronach rzeki do spełnienia mając. Ale Filip zrządzenie samego Boga w tem upatrywał i z szostem, wysoko nad głową mu sterczącym, ku rzece pędził; Daniłko z takim samem narzędziem za nim biegł. Wkrótce też na rzece stalowej, w zmroku, od światła gwiazd przezroczyście, czarny prom z dwiema czarnymi postaciami ludzkimi, to pochyłającymi się, to prostującymi, i suche, czarne linie ukośne w wodzie zanurzającymi, cicho, szybko, widmowo wszecz rzeki pomykał.

Izba Pawła zaś na krótką chwilę opustoszała. Ulana do chaty swojej pobiegła, aby starsze dzieci do snu ułożyć, a najmłodsze choćby zobaczyć i ogień zgasić; Awdocia w przeciwną stronę, po ziółko od zadanego, najprędzej jak mogła, podreptała. Miała jedno, tak wyborne i doświadczone, że gdyby niewiedzieć co komu zadanem było, zadane z ciała wyprowadzało. Gdyby była wprzód wiedziała, od czego Pauluk chory, byłaby je już dawno zgotowała; teraz zato po nie biegła.

Gdy w izbie zrobiło się pusto i cicho, Paweł powieki podniósł.

— Franka! — słabym głosem wymówił.

W kącie, pomiędzy wiadrem z wodą a gospodarskimi i rybackimi narzędziami, dał się słyszeć lekki szelest, i cicha, skurczona, przygarbiona, z głową i czołem owiniętymi płócienną szmatą, jak ponure, zgnębione widmo, wychyliła się z niego Franka. Parę kroków naprzód postąpiła i, z rękoma, kurczowo u piersi koszulę ściskającymi, z twarzą schyloną i wzrokiem utkwionym w ziemię, stanęła.

— Franka — słabym i powolnym głosem zaczął Paweł — czy to prawda?

Milczała.

— Franka — przemówił znowu — ty nigdy nie łgała... Powiedz i teraz sprawiedliwie, czy to prawda?

— Prawda — odpowiedziała.

Paweł znowu zamknął powieki.

Nie jęknął przecież, nic nie powiedział, tylko obfitszy pot czoło mu oblał, i wargi zwarły się jeszcze silniej.

Franka stała ciągle na jednym miejscu, nieruchomie w ogień zapatrzona. W wyrazie jej oczu nie było ani obawy ani żalu. Nie miały one w tej chwili żadnego pewnego wyrazu. Malowało się w nich jakby bezmyślne osłupienie, czasem tylko urągłiwymi światełkami przerywane.

Wtem w sieni ozwał się chód przyspieszony; Filip, bez czapki, zdyszany, z roztarganymi włosami i uroczystym wyrazem twarzy, do chorego przystąpił.

— Nie gniewaj się, dziewier — stanowczym głosem wymówił — zaraz uradnik tu przyjdzie szelmę tę zabierać...

Słowa te jakby z ciężkiego snu Frankę przebudziły; zatrzęsła się całym ciałem, przeźliwie krzyknęła i rzuciła się ku drzwiom. Ale zastąpiła jej drogę Ulana, z niemowlęcim swem na rękę powracająca, a po kilku sekundach wszedł do izby ten sam człowiek, w ubraniu z połyskującymi guzikami, który przed dwoma laty, na bryczce siedząc, o zginiętej podówczas France z Pawłem rozmawiał.

Przez kilka minut panowały tu gwar głosów i zawierucha stąpań ludzkich. Filip, Ulana, Awdocia, która z ziółkiem swem wróciła, razem mówili, opowiadali, świadczyli, garnek z krupnikiem pokazywali, Frankę, która na całym ciełe drżąc, kilka razy jeszcze rzucała się do drzwi, zatrzymywali i w głąb izby popychali.

Policjant słuchał, dziwił się, oburzał, do Pawła podszedł i pytania zadawać mu począł. Ale Paweł, z zamkniętymi oczyma, z zaciśniętymi wargami, w całej długości swego ciężkiego ciała na pościeli wyciągnięty, jak kłoda nieruchomy był, jak grób milczał i wtedy dopiero podniósł powieki, kiedy uradnik rozkazującym głosem do Franki przemówił:

— No, odziewaj się, a prędko... na spacer pojedziem...

Potem Filipowi mówił jeszcze, że do wyższego urzędu dziś wieść ją już zapóźno, więc ten miły ptaszek u niego przenocuje. Do miejsca, w którym mieszka, niedaleko, cztery wiorsty, a on tyle dziś miał roboty, że chce choć kilka godzin spokojnie przespać. Jutro zato raniutko dalej ją powiezie.

— Już tylko ją stąd zabierzcie! Zmiłujcie się, zaraz zabierzcie!

Paweł, najłżejszego poruszenia nie czyniąc, rozmowy dwóch mężczyzn słuchał, a oczyma za Franką wodził. Na całym ciełe drżąca, cicha, jak grób, spełniała rozkaz urzędnika i ubierała się. Czyniła to nawet z rozmysłem i niejakiem staraniem. Wcale na obecność w izbie kilku mężczyzn nie zważając, zmieniła samodziałową spódnicę na tę miejską, z obłożonemi falbanami, którą podniosła z ziemi, włożyła pończochy, nowe buciki, kaftan, wатовaną algierką i, z głowy płócienną szmatę zdjawszy, wełnianą chustkę na nią zarzuciła. Wtedy uradnik wziął ją za ramię i ku drzwiom poprowadził.

Gdy oboje przez izbę przechodzili, Paweł mógł widzieć wyraz jej spojrzenia. Szła cicho i bardzo posłusznie, na całym ciełe drżała, a oczy jej, rozszerzone i nieruchome, wyrażały śmiertelny przestach.

Filip urzędnikowi aż do bryczki towarzyszył, kobiety zbliżyły się do chorego.

— Lepiej tobie, Pauluk? — pytały.

— Już i zupełnie dobrze — odpowiedział.

Kłamał.

Za mało trucizny przelknął, aby od niej umrzeć, za wiele, aby tak rychło wyzdrowieć. Najdolegliwsze cierpienia już minęły, bo organizm jego, silny i zdrowy, z zabójczym pierwiastkiem skuteczną walkę toczył, a dopomogły mu w niej trochę i leki Awdocia. Ale wewnątrz doświadczał jeszcze bólów, które jednak mógł już utaić.

— Napij się ziółek! — prosiła Awdocia.

— Dawaj! — odpowiedział i z podanego sobie garnka wypił tyle, ile kazała.

— Dobrze? — zapytała stara lekarka.

— Dobrze, tylko bardzo spać chce się.

— To i chwała Bogu, że spać chce... to i zdrow będzie — zdecydowały kobiety, on zaś odezwał się:

— Dziękuję ja wam, moje dziatki, i za pomoc, i za ratunek, i za dobre serce... Teraz już spać idźcie, odpocznijcie... bardzo przy mnie napracowali się...

Awdocia odezwała się, że nocować przy nim będzie.

— Nie trzeba mnie, kumo, ciebie — odpowiedział — nikogo mnie nie potrzeba... Zgaście ogień i idźcie sobie... sen mnie nadto mroczy...

Zupełnie uspokojone, zgasiły w piecu ogień, na stole lampkę i wyszły.

Kiedy kroki ich i przyciszone rozmowy w oddaleniu umilkły, Paweł z głośnem stęknieniem na posłaniu się dźwignął, nogi spuścił, usiadł i, z twarzą nisko zwieszoną, nieruchomy siedział.

Dlaczego tak uporczywie wszystkich z chaty wyprawiał? Dlaczego pragnął pozostać sam? Dlatego, aby w samotności i ciszy zastanawiać się nad tem, co mu w głowie zamajaczyło było już wtedy, gdy Franka, przez urzędnika ku drzwiom prowadzona, przechodziła tuż prawie obok posłania jego, drżąca, posłuszna, ze śmiertelnym przestachem w oczach. Zamajaczyła mu wtedy w głowie myśl: «ot, już zgubiona ona na wieki! Do turmy, na Sybir pójdzie, i nijakiego wybawienia już dla niej, ani na tym, ani na tamtym świecie nie będzie!» A potem, jakby echo zdala, zdala dochodzące, przyplęły doń wyrazy, które niegdyś sam przed ołtarzem w kościele wymawiał, «a iż cię nie opuszczę aż do śmierci».

Długo w ciemnościach, napelniających izbę, panowało grobowe milczenie, aż po godzinie prawie rozległy się wśród niej półgłosem wymówione słowa:

— Nie opuszczę ciebie aż do śmierci!

Jednocześnie prawie błysnął silny płomyk roznieconej zapalki; Paweł, chwycąc się, postąpił kilka kroków i lampkę zapalił.

W oknach Koźluków było już zupełnie ciemno, wszyscy tam w całej wsi spali. Paweł ukląkł przed łóżkiem i, aż do ziemi zgięty, zaczął z pod niego ciężki jakiś przedmiot wyciągać. Z trudnością mu to szło, kilka razy prostował się i odpoczywał, stękał. Cierpiał jeszcze dotkliwie i osłabionym czuł się, ale tak samo, jak przed kilku godzinami, działał się z Franką, jedno jakieś uczucie, jedna myśl podniecały mu nerwy, głużyły bóle, wzmagaly siły.

Po kilku minutach całkiem z pod łóżka wysunął sporą skrzynkę, żelazem okutą, na klucz zamkniętą. Kluczem, którego w kieszeni siermięgi swej wyszukał, otworzył ją i naprzód odzienie różne letnie i świąteczne wyrzucać z niej zaczął. Ruchy jego stawały się coraz niecierpliwszymi i śpieszniejszymi. Czasu do stracenia nie miał. Tej nocy, jak najprędzej, albo już nigdy.

Buty wciągnął, siermięgę włożył i śpieszył, śpieszył. Noce były już wprawdzie dość długie, ale cztery wiorsty przed świtem ujechać musiał... Czem ujechać? Czy konia Filipa pocichu ze stajenki wyprowadzi i do woza zaprzęgnie? Mógłby to uczynić, bo stajenki, niezamykanej nigdy, Kurta tylko strzegł, a Koźlukowie nie obudziliby się pewno i nie usłyszeli... Coś go jednak od tego powstrzymywało; nie zdawał sobie sprawy, co mianowicie, ale do używania w tym wypadku Koźlukowego konia wstręt czuł.

— Jak Żydzi na Hamana, tak oni na nią zawzięli się — myślał — prawda, że i jest za co, ale kogo ona najwięcej skrzywdziła? Mnie? A toż mnie swoją krzywdę darować można. I co mnie takiego stało się? Nie umrę!

Czuł, że nie umrze. Pomimo nieustających jeszcze cierpień, wiedział, że nie takimiby one były, gdyby miał umrzeć. Jednak konia Koźluków brać nie chciał. Czólnem jeszcze prędzej tę krótką przestrzeń przepłynie, a od brzegu rzeki do mieszkania uradnika ćwierć wiorsty może.

Czapką głowę okrył, lampkę zgasił, w sieniach omackiem wiosło o ścianę oparte znalazł, chatę z zewnątrz zamknął i z góry ku rzece zszedł.

Kilka godzin minęło, późny świt jesienny na niebie pogasił już gwiazdy, a nad ziemią i wodą kłębił mgły wilgotne i chłodne, kiedy czólno z dwojgiem siedzących w niem ludzi do brzegu pod wsią przybiło. Czy siły zawiodły Pawła i, wiosłując słabo, płynął on powoli, że tak nieprędkiem powracał? Ale też nie powracał sam jeden; powoli, choć szerokim krokiem, na górę wchodził, głowę schyloną miał i policzki wklęsłe, bardzo blade. Za nim, w znacznej od niego odległości, szła wątła, skurczona kobieta w watomanej algierce, z twarzą całkiem prawie nikanącą w fałdach chustki.

Kiedy on drzwi chaty swojej otworzył i do sieni wszedł, ona stanęła i za progiem pozostała. Zwrócił się ku niej twarzą i rzekł:

— Chodź!

Próg przestąpiła, przez sień za nim przeszła, do izby weszła i u drzwi stanęła znowu, tak nieruchoma, jakby ślepą była, albo też, co począć i dokąd iść nie wiedziała.

Paweł, ciężko na ławę opadając, znowu rzekł:

— Rozbierz się!

Chustkę tylko powolnym ruchem z głowy zdjęła, odkrywając czarne, rozpuszczone, roztargane włosy i twarz woskowo żółtą, ze zsiniałymi ustami i spuszczonej powiekami. Ramiona jej wzdłuż ciała opadły; wyglądała zupełnie tak, jak winowajcy czasem, przed obliczem sądu stojący wyglądają; wszystko w niej wyrażało straszny, druzgocący ciężar wstydu.

Po chwili powieki jej drgnęły kilka razy i podniosły się, a oczy, spotkawszy się z oczyma Pawła, zaczęły nabrzmiewać łzami. Bez słowa, cicho, z oczyma po brzegi nabrzmiałymi łzami, dwa kroki uczyniła i, również o kilka kroków od Pawła oddalona, zgięła się przed nim całym ciałem, szybko a tak nisko, że włosy jej końcami swemi ziemi dotknęły. Tak za doznane dobrodziejstwa dziękując, lub o nie prosząc, kłaniają się czasem chłopcy i dziewczynki. Widziała to pewno nieraz, i teraz, w ten sam sposób ukloniwszy się przed Pawłem, szybko zwróciła się ku drzwiom i do sieni wyszła.

On ręką po oczach powiódł i, mokrą dłoń od nich odjąwszy, ciężką głowę na niej wsparł. Tak kilka minut przesiedział; Franka z sieni nie powracała. Wstał, drzwi otworzył i w ciemnym kącie ujrzał ją, z czołem do ściany przyciśniętą stojącą.

— Chodź! — rzekł znowu.

Posłuszna, weszła i przed piecem, twarzą do izby zwrócona, stanęła.

Paweł, na ławie usiadłszy, powoli, słabym głosem mówić zaczął:

— Jeszcze i ten raz wyratowałem ja ciebie, choć ty wielkiego grzechu dopuściłaś się... ale żebyś tam została, tobyś już na wieki zginęła, a tutaj może jeszcze i upamiętasz się, może choć teraz złości swojej przelęknieś się i do upamiętania przyjdiesz... Pożałowałem ciebie, oj, jak pożałowałem! a do tego i przysięgałem, że do śmierci ciebie nie opuszczę.

Przysięga nie żart. Kiedy przysięgłem, że nie opuszczę, to nie opuściłem... i do śmierci tak, jak przysięgłem, nie opuszczę...

Trudno mu było mówić; jednak widząc, że nieruchoma, osłupiała stoi, dodał jeszcze:

— Nu, czego tak stoisz?... ogień rozpał, bo w chacie zimno i herbaty zgotuj dla siebie samej i dla mnie... Rób, co chcesz, i co potrzeba. Taka sama ty tu gospodyni, jak i wprzód była.

Jakiej natury siłę zawierały w sobie ostatnie słowa jego, że niby kula ognista, niby pocisk potężny, w samą zda się pierś tej kobiety ugodziły? Zachwiała się na nogach, kolana ugięły się pod nią i czerwonym rumieńcem naprzód, a potem łzami oblana, na ziemię upadła.

Nie krzyczała, nie łkała, nie jęczała; przeciwnie, z czołem do ziemi przyciśniętem, przez minut kilka leżała, jak grób cicha, i to, że żyła, zdradzały tylko rytmiczne ruchy jej pleców, wysoko podnoszących się i opadających w płaczu rzęsiwym, ale tak cichym, że najłżejszego szmeru nawet z niej nie wydobywał.

Po kilku minutach zerwała się i ogień rozpałać zaczęła. Czyniła to cicho, szybko, gorliwie. Paweł na pościeli z zamkniętymi oczyma leżał, na ławie zaś, niczem nie przykryty, w grubej koszuli, która mu pierś i nagie nogi osłaniała, spał mały Chtawjan. We wczorajszej zawierusze, snem znużony, wlaź tu, zasnął i spał dotąd, od chłodu skurczony. Przechodząc, Franka go spostrzegła i chustką, którą przedtem na głowie miała, okryła. W kwadrans potem, zielonawą szklankę z herbatą ku Pawłowi niosła, ale zanim mu ją podała, dziwnym wahaniem zdjęta, na środku izby stanęła. Myślała, że będzie lękał się pić to, co mu ona podawała. Ale on nie lękał się; rękę wyciągnął, szklankę wziął i z pożądlivością nawet, przez osłabienie i zmęczenie wywołaną, herbatę tę pić zaczął.

Franka zdala na pijącego patrzyła, patrzyła, aż nagłym ruchem obie dłonie do twarzy przycisnęła tak mocno, jakby pragnęła, aby do niej przyrosły i na wieki już przed nim zasłoniły.

— Napij się herbaty, poduszke weź i zaśnij — odezwał się Paweł, i oczyma na jedną z dwu leżących na łóżku poduszek wskazywał.

— Nie trzeba, i algierkę pod głowę podłożywszy, wyśpię się — cicho odpowiedziała.

Paweł oczy zamknął. Śmiertelne znużenie malowało się na jego twarzy. Wkrótce głębo boko zasnął.

Koźlukowie o powrocie Franki dowiedzieli się wtedy, gdy Ułana, zaraz po obudzeniu się, przypomniawszy sobie chorobę brata i chcąc dowiedzieć się, co się z nim dzieje, przez okno naprzód do izby jego zajrzała. Zajrzała, rękoma plasnęła i jak strzała puściła się do swojej chaty.

Na posłaniu zobaczyła głęboko uspiętego brata, a na ławie, z głową na zwiniętej algerce złożoną, z oczyma szeroko otwartymi, leżącą Frankę. Czary, czartowskie sprawy i różne inne straszne rzeczy do głowy jej przyszyły. Z krzykiem śpiącego jeszcze męża obudzwszy, o widocznym cudzie mu opowiadała. Ale Filip, chwilę tylko pomilczawszy, domyślił się wybornie, jakie w tym niespodziewanym powrocie Franki do domu męża czary i cuda działały.

— Twój brat sfichsował! — z gniewem zawołał, a gdy Ułanie domysł swój powtórzył, ona, płaczem wybuchając, powtarzała także:

— Sfichsował! ze wszystkim taki sfichsował! Czy ja kiedy spodziewała się, żeby on takim durniem i takim chfiksatem był?

Innych nazw dla postępków Pawła nie mieli; gniewali się na niego, sarkali, jak struci chodzili; Filip nawet układał projekt jechania do miasta i oskarżenia przed wyższym urzędem tak Franki, jak uradnika, który ją z aresztu wypuścił; chodził nawet do starszych gospodarzy i rady ich w tym celu zasięgał; ale gdy to jakoś zwlekało się dni dwa, trzy, ostygła zwolna, i Ułana też zastanawiać się nad tem zaczęła, że Pauluk ją, kiedy baćki zmarli, na rękę swoich wyhodował, pół ogrodu swego w posagu jej dał, to i to dla niej zawsze robił, pożyczał, pomagał, radził... Nadal też nieraz potrzebnym być mógł, oj, i jak potrzebnym przy tyłu dzieciach, a ziemi kawałku niewielkim! Nad tem wszystkim medytując, płakała i mężowi mówiła:

— A może już, Pilip, wszystkiemu pokój dać! Może niech już i po jego woli będzie! Na co nam ją przesładować? Niech już ją sam Pan Bóg karze! Chaty i dzieci pilnować będziemy... a Paulukowi już lepiej nie sprzeciwiajmy się...

Filip sarkał, nie zgadzał się, codziennie pojechaniem do miasta wygrażał, ale nie jechał i żadnych innych kroków nie robił; wahał się także i namyślał. Dobroć szwagra pamiętał i zgody z nim żałował. W gniewie, przeciw France, w nienawiści dla niej, Koźlukowie ostygli tem łatwiej, że nie widywali jej zupełnie. Awdocia, pomimo oburzenia, w niej przez postępek Pawła wznieconego, nie wytrzymała i poszła raz dowiedzieć się, co z nim biednińskim dzieje się. Opowiadała, że zdrow on jest, tylko jeszcze bardzo słaby, ciągle leży i z chaty nie wychodzi. Franka przed nią tak w kącie sieni schowała się, że jej wcale widzieć nie mogła; ale Paweł zdrow i nawet wesoły. Powiedział jej, że jeszcze dni dwa, trzy odpocznie sobie, a potem na rzekę pójdzie. W okno też spoglądając, mówił, że piękna pogoda niedługo potrwa i prędko, prędko już zaczną się wielkie wiatry i deszcze. Kiedy zaś mu o France wspomniała, głową pokiwał i rzekł:

— Już ona teraz nie taka, jak była! już upamiętała się i dobra będzie... jak Bóg jest na niebie... teraz już dobra będzie!

Tak myślał istotnie, takie stopniowo powstawało w nim przekonanie, gdy, na posłaniu wyciągnięty, po wielkich jakby trudach odpoczywając, wzrokiem ścigał jej ciche teraz, nieśmiałe, prawie pokorne ruchy. Nigdy nie zbliżała się do niego, nawet ilekroć mu co podawała, aby nie zbliżyć się, ramię w całej długości wyciągała. Nigdy też pierwsza do niego nie przemówiła, a gdy on na rozmowę ją wyzywał, odpowiadała cicho, grzecznie, ale urywanemi słowy i ze spuszczonei powiekami.

Pierwszego zaraz wieczora, po powrocie swym od uradnika, grube radno na ławie zasała, algierkę swą pod głowę sobie położyła i, w pół tylko rozebrana, kawałkiem staro kilimka okryta, do snu się ułożyła. Daremnie kilka razy jej powtórzył, aby jedną z poduszek pod głowę wzięła, albo i na łóżko położyła się, a on będzie na ławie spał.

Na pierwszą propozycję krótko, ale stanowczo odpowiedziała:

— Nie chcę, nie trzeba!

Na drugą ze słabym odgłosem dawnej swej niecierpliwości sarknęła:

— Jeszcze czego!

Kiedy Chtawjan napał się raz, aby spać przy niej, naprzód persadowała mu, aby na łóżko włożył i przy „tatce” spał, a potem Pawła poprosiła, aby dziecko do siebie wziął. W prośbie tej dźwięczało wyraźnie coś naksztalt przerażenia.

Zdawać się mogło, że myśl o przytuleniu się do niej dziecięcego ciała obawę w niej budziła.

Obawa też, przestrasz nawet, że zgrozą graniczący, malowały się często na jej twarzy, bez żadnego bezpośredniego powodu, pod wpływem jakby myśli, powstających w jej głowie, czy widm, przed oczyma mających. Robiła wszystko, co tylko w chacie do zrobienia było: zamiatała, gotowała, o świcie albo o zmroku, dlatego pewno, aby nie spotykać się z ludźmi, po wodę z dzbankiem chodziła — z dzbankiem, bo wiadra udźwignąćby nie mogła. Raz nawet chleb upiekła; niekiedy też do szycia się brała. Wszystko to spełniała prędko, cicho, gorliwie; ale często wśród pracy ustawała nagle, jakby zniemożona, albo strasznemi myślami opanowana i przed ogniem, albo pośrodku izby, z garnkiem czy miotłą w ręku nieruchoma stawała, w przestrzeń wlepiając czasem ponure i rozżalone, częściej daleko przerażone oczy. Raz nawet wydała krzyk przestraszenia.

— A co? — twarz od ściany odwracając, zapytał Paweł.

Opamiętała się, jakby oprzytomniała, i niechętnie odrzekła:

— Nic. Bardzo przelęknąłem się...

— Czego? — zapytał jeszcze.

Nie odpowiedziała i dalej izbę zamiatać zaczęła.

Jemu od tej pokory jej i cichości serce w piersi tajało.

Nakoniec poprawiła się! Nakoniec przezwyciężył on tego djabła, który w niej siedział! Ale tem większy zdejmował go żal nad nią.

— Franka — odezwał się raz — czego ty, jak ten zbity pies, uszy tulisz i w oczy mnie nie patrzysz? Ja nie gniewam się na ciebie i bardzo kontent, że ty już zrobiłaś się dobra. Gadaj sobie jak dawniej, śmieję się, choć i dokazuj. Wesołość nie grzech!

Ona słuchała, zrazu z niepokojem, potem ze zdziwieniem, aż odwróciwszy się prędko, wierzchnią stroną ręki oczy sobie zakryła i krótko, głęboko załkała.

Innym razem, leżąc, zawołał ją do siebie, a gdy, jak zwykle, o dwa kroki od niego stanęła, przemówił:

— Czego ty boisz się, Franka? Czego ty czasem taka przestraszona, jakby umarłego przed sobą widziała? Może ty kary boskiej za wszystko, co złego zrobiłaś, boisz się? Nie bój się! Już ja tobie mówię, nie bój się! Wypowiadasz się! Pana Boga przeprosisz, to i daruje.

— Głupstwo Pan Bóg! — zcicha sarknęła; on zaś, sprzeciwiać się jej w tej chwili nie chcąc, mówił dalej:

— Nie stara jeszcze jesteś, dobrem życiem złe odpokutujesz i wynagrodzisz. Ot, i ja zaraz zupełnie już wyzdrowieję, Koźluków za ciebie przeproszę... będziem sobie wszyscy żyli w zdrowiu, zgodzie i dobrem powodzeniu... a potem Chtawjan podrośnie... ryby ze mną łapać zacznie.

Przy ostatnich wyrazach uśmiech rozszerzył mu usta, rozpląnął się po całej bladej i chudej twarzy i znowu oblał czoło blaskiem, do księżycowego światła podobnym.

Ona słuchała; czerwone, jak krew, rumieńce występowały na jej policzki; aż nagle, wtedy właśnie, gdy, chcąc ją do siebie przycisnąć, rękę ku niej wyciągał, ku drzwiom rzuciła się, do sieni wypadła i przez parę godzin stamtąd nie wracała.

W sieni jednak nie siedziała, z chaty się wyslizgnęła, boczną ścianę jej okrążyła i na skraju góry, pomiędzy uschłemi łądkami łopuchów i ostów usiadła. Siedziała tam od kwadransa może, kiedy usłyszała za sobą kroki, z szelestem suche łądygi i trawy łamiące.

Z za jednej ze stodółek wyszła Marcela.

— Franka! — odezwała się zdaleka i nieśmiało.

Odwróciła głowę.

— Chodź! — odpowiedziała.

Żebraczka zbliżała się powoli. Nie była pewną, czy Franka wie o tem, że ona ją przed Filipem wydała. Trochę lękała się jej gniewu, ale bardzo też pragnęła dowiedzieć się od niej o wszystkim, co zaszło, i stosunki swe z nią korzystne znowu zawiązać.

— Jakżeż ty, koteczko, masz się? — zaczęła — chwała Bogu, że tu siedzisz... a ludzie już Bóg wie, co gadali...

— Ludzie nic nie wiedzą — porywczo sarknęła Franka — ja jedna wszystko wiem... ludzie głupi, źli, niegodziwi... on jeden dobry...

— Kto, serdeczko, kto taki dobry? — zapytywała, do najwyższego stopnia rozciekawiona, Marcela.

— Siadaj, to wszystko opowiem.

Uszczęśliwiona zaproszeniem, kupa łachmanów wnet obok niej w ostach usiadła; Franka zaś, jakby jej to, co w sobie miała, strasznie ciążyło, jakby ten ciężar wyrzucić z siebie pragnęła, dawną swą mową, prędką, ognistą, niepowstrzymaną, mówić zaczęła.

Opowiadała o tem, jak uradnik ją, do swego mieszkania przywiózłszy, w zimnej śpiżarni zamknął, i jakie ona tam męki przechodziła, strasznie, okrutnie, niewymownie bojąc się tego, o czem wiedziała, że spotkać ją teraz musi. Do turmy ją teraz zamkną, przed sądem postawią, na Sybir, do katorgi wyślą... Męża przecież trula, a za to kara jest wielka, długa, wiedziała o tem dobrze. W śpiżarni było ciemno, ale omackiem szukała na podłodze i ścianach jakiego sznurka i gwoźdźcia; wszystko, zdaje się, oddałaby za kawałek sznurka i gwoźdź, na którym powiesićby się mogła i od wszystkich, od wszystkiego uciec... na tamten świat, gdzie jej już nikt dopędzić nie może, uciec. Wtem, kiedy tak męczyła się, w zimnie i ciemności tarzała się po ziemi i o ścianę głową tłukła, głos Pawła posłyszała. Uszom swoim wierzyć nie chciała, a jednak był to głos jego. Do okna uradnika stukał i prosił, aby mu drzwi otworzył. Uradnik wstał, Pawła wpuścił, świecę zapalił; ona zaś, przez szczelinę drzwi światło zobaczywszy, do tej szczeliny skoczyła i wszystko widziała, wszystko słyszała...

— Coś ty widziała, moja milénka? co ty słyszała? gadaj! — od ciekawości, a może i od wzruszenia trzęsąc się, zapytała Marcela.

Widziała ona i słyszała, jak naprzód Paweł uradnikowi mówić i przekładać zaczął, że ona, Franka, jest niewinna, że to tylko takie plotki i ludzkie gadania na nią padły, że on przecież nie otruty, żyje i nijakiej pretensji do niej nie ma.

— Wypuście ją, panie, i mnie oddajcie — prosił.

Aż uradnik, trochę może i z ukontentowania, że ktoś mu kłania się i prawie do nóg pada, nie wytrzymał dłużej i zgodził się ją wypuścić. Śmiał się przytem tak, że aż za boki brał się.

— Ot, dureń — mówił — takiego durnia jeszcze chyba na świecie nie było!

A Paweł, na śmiech jego wcale nie zważając, o nią tylko się dopominał.

— To i gdzież ona, panie? — zapytywał. — Wypuście ją i mnie oddajcie.

Uradnik śpiżarnię otworzył i ze świecą musiał jej szukać, bo ona, Pawła, idącego ku drzwiom zobaczywszy, za beczkę jakąś schowała się i tego tylko pragnęła, aby pod ziemię zapaść się i zniknąć. Ale Paweł ją z ziemi podniósł, za rękę wziął i do czółna swego poprowadził. Ot, jak to było! Ot, co ona widziała i słyszała.

Umilkła nakoniec, a Marcela zrazu oniemiała, później szeptać zaczęła:

— Oj, dobryż on, dobry! Jak Pan Jezus dobry! A ty, Franka, szczęśliwa...

— Niech takie szczęście djabli wezmą! — sarknęła.

— Nie znasz ty swego szczęścia i nie rozumiesz... głupia... — zaczęła Marcela, ale Franka gwałtownie jej przerwała:

— Zabił on mnie tą swoją dobrocią, zamordował tak, że już żyć na świecie nie mogę... z samego strachu żyć nie mogę...

Wstrząsła się całym ciałem i zaszeptała:

— Jezus Marja! Jezus Marja! Jezus Marja! Żeby mogła, to, zdaje się, zabiłabym ją, jak tę wściekłą sukę!

— Kogo? — zapytała przestraszona żebraczka.

Franka szeptała dalej:

— Stoi mnie przed oczyma i stoi... gdzie obróć się, wszędzie ją widzę... a taka straszna!

— Któż to taki? moją ty mileńka! Któż to tak ciągle przed oczyma tobie stoi?

Franka spojrzała na nią zdziwionym wzrokiem.

— A jaż sama! — odpowiedziała.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha... — zaczęła Marcela.

Franka za ramię ją pociągnęła.

— Nic ty nie wiesz i nic nie rozumiesz — zaszeptała — samej siebie ja boję się... tego, co zrobiłam, boję się... od tego momentu, kiedy przez szczelinę widziałam i słyszałam, jak on za mnie uradnika prosił, cośś mnie takiego zrobiło się, że już żyć nie mogę... Gryzie mnie tak we środku, spać nie daje... straszy... Siebie samej ja boję się i jego boję się... gorzej teraz jego boję się, niż wtedy, kiedy bił... oczu na niego podnieść nie mogę... wstyd taki!

— Porzuć! uspokój się! — persadowała żebraczka — szanuj jego teraz, miłuj, jak u Pana Boga za piecem w chacie sobie siedź... i wszystko będzie dobrze.

Franka przecząco wstrząsnęła głową.

— Już ja ją znam... ona jak ta pijaczka... kiedy trzeźwa, to i dobrze, a jak kiedy upije się, to znów jemu co takiego zrobi...

— Kto? co ty wygadujesz, Franka? Kto taki?

— A jaż! — ze zdziwieniem znów odpowiedziała i po cichu, takim głosem, jakim bardzo słabi ludzie przemawiają, skarżyć się zaczęła:

— Nie dobrze mnie... oj, moja Marcelko, tak mnie nie dobrze, że już i żyć nie mogę... Jakie już moje życie na świecie! Ręce i nogi mam związane, boję się znowu licha jakiego narobić i tego życia boję się, co mnie przy nim czeka, i wszystkiego boję się... Nic mnie już niemiłe, niczego już nie chcę... Jak w grobie zakopana...

A po chwili milczenia poskarżyła się jeszcze:

— Tak mnie nie dobrze, moja Marcelko, tak mnie źle... tak mnie we środku coś je... smokcze... ssie...

Z trudnością z ziemi wstała... Wiatr chłodny od rzeki powiał, wstrząsnęła się.

— Zimno!

— Ale — potwierdziła Marcela — jesień już... a ty, moja koteczko, moje zlotko, kawałek słoninki mnie daj, bo nie mam czem cieplej stawy okraścić...

— Ludzie gadają — gdzieś daleko za rzekę patrząc, zaczęła Franka — że kiedy człowiek jaki wiesz się, wtedy zawsze wielki wiatr powstaje...

— A gadają! — potwierdziła Marcela i mówiła dalej: — może jutro Paweł na rzekę już pójdzie, to ja do ciebie, moja mileńka, przyjdę...

— Aha! jutro!

— A słoninki dasz?

— Jutro! — powtórzyła Franka i, nic już nie mówiąc, z rękoma u piersi zaciśniętymi, skurczona, przez gęstwinę uschłego zielska do chaty odeszła.

Gdy do izby weszła, Paweł przy stole na ławie siedział, a mały Chtawjan, u kolan jego zwieszony, opowiadaniem jakimś, z głośnym śmiechem zmieszaniem, na całą izbę dzwonił.

— A gdzie byłaś? — zapytał wchodząc Paweł.

Powiedziała, że za chatą siedziała, i że na dworze zrywa się wiatr.

— Jesień — odpowiedział — ale to nic. Jutro na rzekę pójdę... choćby i fala była duża, teraz miętusów przepaść nałowić można.

Wieczere przy zapalanej lampce zjedli. Franka jadła także i dziecku jeść dawała.

Gdyby biegły jaki psychjatra w tej chwili na nią patrzył i widział ten nieruchomy, przepaścisty, czarny smutek, który napelniał jej zapadłe oczy, zrozumiałby może, iż psyche jej, jak motyl z pokaleczonemi skrzydłami, trzepotała znowu nad samą wąską linią, przytomność z obłędem, rozum z szalem rozgraniczającą. Ale Paweł widział tylko, że kobieta, naprzeciw niego z dzieckiem na kolanach siedząca, spokojną była, łagodną, zawstydzoną, i myślał, że nazajutrz, przed wypłynięciem na rzekę, z Koźlukami pogodzić się i o niej pomówić musi.

Wkrótce po wieczery Franka nad skrzynką swoją pochyliła się, i twardą, kolorową taśmę, dziaha zwaną, z niej wyjęła. Ubrana była w samodziałową spódnicę, różowy fartuch i miejski swój podarty kaftan. Teraz go wyjętą ze skrzynki taśmą przepasała.

Paweł na to żadnej uwagi nie zwrócił. Na posłaniu siedząc, do snu rozbierać się zaczynał i właśnie buty zdejmował, kiedy Franka ze śpiącym Chtawjanem na ręku do niego się zbliżyła.

Głośno i krótko w policzek dziecko pocałowała i położyła je na łóżku, tuż przy nim.

— Bądź dla niego łaskaw, tak jak dla mnie byłeś... on niczemu nie winien! — szepnęła.

Paweł zdziwił się.

— Czy ty zdureła, Franka? Alboż ja jego nie lubię i nie żałuję?

Ale ona, o parę kroków przed nim stojąc, pochyliła się aż prawie ku ziemi, tym samym, co wówczas, gdy ją z aresztu uwolnił, szybkim, niskim, chłopskim ukłonem. Tak zupełnie kłaniał się Paweł uradnikowi, gdy go naprzód o jej wolność prosił, a potem mu za nią dziękował. Można by mniemać, że te jego pokłony naśladowała.

Paweł jednak nic już nie powiedział. Głowę na poduszkę kładąc, myślał:

— Wstydy się jeszcze! Jeszcze zapomnieć o tem, co zrobiła, nie może! To i chwala Bogu! Widać, że upamiętała się już zupełnie.

Tak myśląc, usnął. Spał i nie słyszał wzmagających się na dworze szumów jesiennego wiatru. Nie usłyszał też, że wśród nocy drzwi izby lekko skrzypnęły.

Zrana, bardzo wcześnie obudził go rozlegający się w pobliżu chaty gwar ludzkich głosów, wśród którego powtarzano wciąż imiona jego i Franki. Zerwał się i w płóciennej tylko odzieży, bosi, przed chatę wybiegł. Tam, gdzie kończyła się zagroda Koźluków, piaszczystą drogą z cmentarnym borkiem rozdzielona, stała gromadka mężczyzn i kobiet, rozgadana, rozkrzyczana, przerażona, ze wskazującymi palcami, wyciągniętymi ku temu punktowi borku, w którym z pomiędzy dwu starych sosen wystrzeliwał cienki, bardzo wysoki krzyż. Paweł z głośnych rozmów i krzyków kilka wyrazów dosłyszał i ku rozgadanej, rozkrzyczanej, przerażonej gromadce ludzi jak szalony biegł. Zanim jednak do niej dobiegł, wiatr silnie powiał, a z pomiędzy sosen wyfrunął i o parę stóp nad ziemią gwałtownie zaszamotał się różowy fartuch Franki. Oprócz tego różowego łachmanka, w bładem świetle wychodzącego z za chmur słońca rozmotanego, Paweł nie zobaczył nic, ale odgadł wszystko. Teraz już i on jej nie wyratuje. Ręką chwycił się płotu, a biegnące naprzeciw niego Awdocja i Ulana coś strasznego na twarzy jego spostrzec musiały, bo, rozłożywszy ramiona, krzyknęły obie:

— Ratujcie, ludzie! trzymajcie! ratujcie! umrze! Padnie i umrze.



Nie umarł. Nieprawdą jest, że ludzie zdrowi, silni, z natury nie ułomni, umierają z cierpień moralnych. Silny, zdrowy, chłopski organizm Pawła Kobycyckiego nie rozłożył się i nawet nie osłabł w tym kilkoletnim epizodzie życia, który ognistą błyskawicą, czy burzliwą nawałnicą przerznął jego niską, równą, cichą drogę.

Od nagłego zakończenia tego epizodu sporo lat już minęło, a dziś jeszcze widzieć można tego nadniemeńskiego rybaka, rankiem po srebrnej rzece mknącego naprzeciw różanej jutrzence, lub wieczorami płynącego pod chmury i zmroki zachodu. Gdy pod sosnowym borem na piaszczysty brzeg z czołna wychodzi, albo przybija do wyspy, śnieżystą bielą goździków usłanej i lasem wysokiej dziewanny zarosłej, towarzyszy mu często dziecko, chłopak dziesięcioletni, o włosach, jak len jasnych, i wielkich, czarnych, długą rzęsą ocienionych oczach. Stary rybak trzyma się nieco pochyło, osiwiwały jest, zamyślny, milczący; dziecko żywe, śmiałe, policzki ma rumiane i nieustannie szczebiocze; ale od razu poznać można, że zgoda pomiędzy nimi panuje zupełna, i że im z sobą dobrze. Czasem, gdy dziecko na długo przepadnie w dziewannach, po rzece rozlega się męskie wołanie:

— Chtawjan! a! Chtawjan!

A z gęstwiny lodyg, wielkimi, kosmatemi liśćmi zawieszonych, głos dziecinny, jak donośny dzwonek, odpowiada:

— Ku-ku, tatku! a kuku!

Wtedy po surowych ustach rybaka przesuwa się uśmiech, i woła on na dziecko, aby mu garnek, w który złowione ryby wrzuca, wodą napelniło. Chtawjan z pękiem białych goździków w rękach z gęstwiny dziewanny wybiega, u brzegu wyspy siada i na wodę do garnka napływającą patrząc, dzwoni znowu:

— Guł, guł, guł, guł!

Widocznie dziecko to jest szczęśliwym.

Co zaś czuje, co w nieskończonych swych po wodzie wędrówkach myśli opiekujący się niem człowiek? Nikt nie wie, bo przed nikim nie zwierza się on ze swych uczuć i myśli. Ludzie opowiadają, że o swojej żonce, wisielicy, od dnia jej pogrzebu ani razu przed nikim nie wspomniał, że towarzystwa ludzkiego, tak jak i dawniej, nie szuka, że, tak jak i dawniej, przez wiosnę, lato i jesień niebo mu chatą, a rzeka żonką.

Ale w zimowe wieczory przez długie godziny okno nadniemeńskiego rybaka błyszczą bładem światelkiem lampy, a parobcy i dziewczęta, którzy tamtędy na wieczornicę do Koźluków chodzą, słyszą za tem okienkiem monotonne, nieustanne, wpółgłosne bąkanie. «Służba Boża» rozłożona na stole leży, a nad nią pochyłony, wysoki i silny człowiek, z pomarszczonym czołem i siwym dokoła ściągłych policzków zarostem, niektóre z wyrazów sylabizując z trudnością, powoli czyta zawarte w tej książce modlitwy. Innej książki, niż ta, Paweł Kobycycki dotąd nie zna i zapewne nie pozna nigdy, bo w miasteczku, do którego uczęszcza, żadnych książek nie sprzedają, a u ludzi ich dostać, albo wiadomości o nich zasięgnąć, bardzo mu trudno. Tę zato od pierwszej stronicy do ostatniej przeczytał już trzy razy, a teraz zaczął czytać po raz czwarty.

Zresztą, od lat dwu na czytanie «Służby Bożej» mniej już ma czasu, bo obok niej leży często rozarty elementarz, bardzo stary, żółkły, podarły, a nad nim na wysokim stołku siedzi Chtawjan i, z rękoma utopionemi w lnianej kądzieli włosów, bąka:

— B-a — ba, b-e — be.

Zeszłej zimy doszedł już był do kombinacji z różnemi samogłoskami litery *k*, ale że przez lato wiele z tego, czego nauczył się, zapomniał, Paweł do *B* powrócić mu kazał. Bąkanie Chtawjana trwa zwykle dość długo, potem dziecko usypia, a Paweł półgłosem «Służbę Bożą» czyta.

Potem okno rybaka zalega ciemność, i cały ten szereg chat, na skraju nadrzecznej góry rozciągnięty, pod grubemi kołdrami śniegu usypia głęboko i spokojnie. Oprócz rzadkiego poszczekiwania psów, lub stłumionego przez ściany piania kogutów, żaden głos z żyjących stworzeń nie mąci wtedy bezdennej ciszy wiejskiej, zimowej nocy; ale wzamian wyraźniej dają się słyszeć głosy natury.

Czasem lodowy olbrzym mrozu tuła się po wsi, gniewnie i z wielkim stukiem uderza to w jedną chatę, to w drugą, to daleko, to bliżej cichem huskaniem odzywa się dokoła

okien, po płotach z suchem trzeszczeniem chodzi. W inne znowu noce odwilże piersią wiatru wzdychają, roztapiającemi się u okapów soplami lodu cicho i monotonnie pluskają i płaczą, szeleszczą w drzewach i tajemniczymi szepty rozbiegają się szeroko po suchych badyłach ogrodów.

Ale niekiedy bywa tam daleko huczniej i groźniej. W ciemnych przestworach zrywają się szalone orgie wichrów; powietrze nabrzmiewa kotłowaniem i wrzaskiem wszystkich głosów świata; są to uganiające się z sobą olbrzymie kule czyli kłęby, trzaski piorunów, huki armatnich wystrzałów, grzmoty, z nieustannym turkotem od krańca do krańca ziemi lecące, wycia smaganych psiarni, krzyki mordowanych, płacze zrozpaczonych, przeciągłe biadania... Wszystko to piekielnym hałasem i szaleńcem napelnia ciemne przestworza, lecz ludzi, usypiających pod niskim szeregiem dachów, śniegowymi kołdrami okrytych, nie budzi wcale.

I tylko, kiedy mróz stuka, huska i trzeszczy, odwilże wzdychają, szlochają i szepczą, wichry zaciekle w przestworzu szaleją, pod jednym z tych dachów jeden człowiek nie usypia długo.

Tuż przy nim, na posłaniu, szemrze oddech uspiętego i do boku jego przytulonego dziecka, a on bezsennie patrzy w nieprzeniknioną ciemność i wsłuchuje się w głosy natury. Podówczas często w nieprzeniknionej ciemności i bezdennej ciszy, głosami natury napelnionej, dają się słyszeć głośnie, wielokrotnie powtarzane uderzenia pięści o pierś twardą i silną, i głośny, błagalny, żarliwy szep, wielokrotnie powtarzający:

— Boże, bądź miłościw jej grzesznej! Boże, bądź miłościw jej grzesznej i nieszczęśliwej!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-cham/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Cham, nakł. Gebethner i Wolff, Warszawa 1932.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0605-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.